

„ORZEŁ BIAŁY“
(White Eagle)
(L'Aigle Blanc)

Juillet-Août 1967

Cena 3/6
\$ 0.50; 2.50 F.



SYRENA

B.D.I.C

ORZEŁ BIAŁY

LIPIEC —
SIERPIEŃ

1967

Nr 36/7—1183/4

Polska walcząca o wolność

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM WSPÓLCZESNYM



Z drzeworytów L. Kosmńskiego

Wilno — całość Litwy gród najślawniejszy

F° P 2156

Po przerwie wakacyjnej —
następny numer „Orła Białego“
ukaze się 1 września.

KONKURS „ORŁA BIAŁEGO“

W NUMERZE:

Z. Stahl: Wojna Izraela z Arabami i jej międzynarodowe konsekwencje	1
J. Żaba: Młodzież w polskim życiu narodowym poza granicami kraju	3
T. Podgórski: Krzywda inwalidów	6
J. Pieper: Podstawowe formy sprawiedliwości	7
Z. Grabowski: Lekcja 60 godzin wojny	9
K. Głabisz: Nowy grom z dwudziestoletniej chmury	11
Z. L. Zaleski: Zmiana warty	13
M. Kaluski: Czy możemy zrezygnować?	14
M. Wilczewska: Z Kazachstanu do domu	16
W. Günther: Dzieje współczesnego Polaka	18
K. Brzozowska: Płock wczoraj i dzisiaj	19
J. Junosza: Bazylipek z Glamis Castle	20
C. Dobek: Saga polskich pork-nockerów	22
S. Legeżyński: Wystawa letnia w Royal Academy	23
J. Ostr.: Notatnik kulturalny	24
W. Witrylak: Jak to było pod Narwikiem	28
Kage: Kronika wojskowa	28
J. Adamski: Walka z wiatrakami	29
Wiślan: Kraj kontrastów	30
Z życia polskiego	32
Rada Jedności Narodowej uczciła pamięć St. Lisa	34
P. Hęciak: Kląnam się nisko szkockim piłkarzom	35
Z różnych dziedzin	36
O niechwalebnym organizowaniu emigracji	37
W. Stefański: Podróże kształcą	38
Książki i wydawnictwa nadesłane	39
Świat się śmieje	40

Redakcja miesięcznika „Orzeł Biały“ ogłasza „KONKURS PRZEŻYĆ I MYŚLI“ Polaków żyjących poza Krajem. Warunkiem konkursu jest napisanie dzienniczka obejmującego 7 dni dowolnie wybranego tygodnia. Dziennik ten ma dawać autentyczny obraz wszystkiego co robił, mówił i myślał autor w tym czasie. Rozmiar dzienniczka nie powinien przekraczać 4—5 stron maszynopisu na papierze formatu handlowego z podwójnym odstępem między wierszami.

Materiały wyróżnione będą drukowane na łamach „Orła“ za podwójne honorarium autorskie. Przewiduje się także nagrody książkowe. Wszystkie materiały

będą zachowane w archiwum „Orła Białego“ jako przyczynek do historii naszej emigracji.

Celem umożliwienia wzięcia udziału w konkursie również młodszej generacji, termin nadsyłania prac został przedłużony do 30 września 1967.

Prace należy przysyłać pod adres: Krystyna Brzozowska, 8, Carlton Mansions, Holland Park Gardens, London, W.14, z dopiskiem na kopercie „Konkurs „Orła Białego““.

Do pracy należy dołączyć zapieczętowaną kopertę z godłem i nazwiskiem oraz adres autora. Koperta będzie otwarta jedynie w wypadku ogłoszenia pracy.

WÓDKI I LIKIERY NAJWYŻSZEJ JAKOŚCI

J. A. BACZEWSKI

Lwów

1782

Wiedeń

Wiśniówka — Krupnik — Starka — Wiśniak
Jarzębiak — Malinowa — Tea Rum — St. Bernhard

Importowane przez:

PODOLIA COMPANY LIMITED

Zamówienia kierować do:

PODOLIA CO. LTD. — 159, Waterloo Street,
Oldham, Lanc's. Tel.: 061 MAI 4626

lub do:

J. A. BRUCE & CO. — 9, Lenthal Place,
London, S.W. 7. Tel.: 373 5808

Żądać wszędzie

Ceny przystępne

NO W O Ś Ć !

NO W O Ś Ć !

Zbigniewa Grabowskiego

OJCZYŻNA EUROPA

Niezwykle interesująca książka o 14 krajach kontynentu europejskiego. Wizerunek Europy powojennej, skreślony przez wrażliwego obserwatora, podróżnika, doskonałego znawcę jej historii i kultury.

Cena: £ 2.10.0

Str. 484

S k ł a d g ł ó w n y :

GRYF — KSIĘGARNIA S.P.K.,
20, Queens Gate Terrace, London, S.W. 7.

Do nabycia w księgarniach polskich.

O STATECZNIE, wojna światowa z okazji konfliktu między krajami arabskimi z Izraelem, jak się tego obawiano, tymczasem nie wybuchła, ale od możliwości tej nie było daleko.

Sowiecka flota wojenna przepłynęła Cieśniny Dardaneelskie i pojawiła się na wschodnich wodach Morza Śródziemnego w bezpośrednim sąsiedztwie Szóstej Floty Stanów Zjednoczonych, po czym jednostki zbrojne obu supermocarstw ocierały się o siebie, pilnowały wzajemnie i śledziły swoje ruchy. Równocześnie, Biały Dom i Kreml musiały sobie przypomnieć o założonym przez prez. Kennedy'ego i Chruszczowa „czerwonym drucie“ bezpośredniego połączenia telefonicznego, które używane było dotąd wyłącznie do protokularnych i bieżących spraw. L. B. Johnson z Kosyginem odbyli podobno w kryzysowym tygodniu walk izraelsko-arabskich kilka niemiłych rozmów.

Zasadnicza sprzeczność podstawowych idei, które w pragmatycznym języku amerykańskim określane są jako „way of life — sposób życia“, oraz równie istotne przeciwieństwo mocarstwowych interesów na coraz kurczącej się kuli ziemskiej i w przestworzach, które — poza odwołującą starcie taktyką koegzystencji — istnieją między Stanami Zjednoczonymi a Rosją Sowiecką, dotyczą również Środkowego Wschodu. W ostatniej wojnie światowej, chociaż prez. Roosevelt poświęcił Sowietaom w Jałcie wschodnią część Europy, tuż po niej jego następca Truman wezwany przez W. Brytanię do udzielenia pomocy Grecji, sformułował zasadę obrony Środkowego Wschodu przed naporem oraz dywersją komunistyczną. Nazwana odtąd „doktryną Trumana“ i uzupełniona przez Eisenhowera, zasada ta weszła do kanonów amerykańskiej strategii światowej, ale do kanonów zaniedbywanych i niekonsekwentnie przestrzeganych.

ZYGZAKI AMERYKAŃSKIEJ POLITYKI

Obroniono więc wprawdzie w pierwszych latach powojennych, przed organizowanym z Moskwy naciskiem, Grecję i Persję, lecz następnie dyplomacja amerykańska nie zdołała postawić tamy wpływom sowieckim, mniej brutalnym i pośrednim. Od 1955 r. zaczęły Sowiety zbroić Egipt, w którym po obaleniu monarchii doszedł do władzy rząd wojskowy płk. Nassera, a potem — gdy nie doszło do porozumienia między J. F. Dullesem, wszechwładnym sekretarzem stanu Eisenhowera a rządem Nassera w sprawie sfinansowania Zapory Assuańskiej na Nilu oraz po nieszcześniejszej aferze sueskiej z jesieni 1956 — Rosja usadowiła się w Egipcie i z kolei w całym świecie arabskim na



ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca o wolność
MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM
WSPÓŁCZESNYM

Nr 36/7 — 1183/4

LIPIEC—SIERPIEŃ 1967

Rok XXVI

Wojna Izraela z Arabami i jej międzynarodowe konsekwencje

dobrze. Zamiast Ameryki, od której pierwotnie Nasser tego oczekiwał, Rosja podjęła się finansowej i technicznej pomocy w Assuanie, stała się stałym dostawcą broni dla Egiptu i poprzez Kair odciągać zaczęła kraje arabskie od wpływów zachodnich i wiązać z neutralistycznym obozem „trzeciej siły“, lub ze swoim blokiem bezpośrednio.

Warto tu stwierdzić, że przyjąwszy wyrażoną przez Trumana i rozwiniętą przez Eisenhowera zasadę stawienia tamy sowieckiej ekspansji na Środkowy Wschód, Ameryka starała się równocześnie odciąć od innych mocarstw zachodnich, kiedyś wpływowych na tych obszarach, czyli Francji i Anglii, jako „kolonialnych“, rzekomo w tym celu, aby w ten sposób mieć lepsze szanse w oczach narodów arabskich. Pod tym względem, antyeuropejskim, polityka Waszyngtonu była konsekwentniejsza niż w dążeniu do pozyskania Arabów i obrony przed Rosją. Jesień 1956 pokazała, że — odepchnięty przez Dullesa — Nasser nawiązał już współpracę z Sowietai, a Stany Zjednoczone wraz z tymi ostatnimi głównymi swoimi wrogami, zadały wtedy cios próbie brytyjsko-francuskiej odzyskania Suez i utraconych tam pozycji.

Po tych dziwnych łamańcach strategiczno-politycznych, dyplomacja amerykańska musiała zacząć odrabiać zranienie sobie Arabów, przystąpiła do pogłębiania różnic wewnętrznych między nimi i do wiązania się z arabskimi przeciwnikami „postępowo-neutralistycznej“ linii Nassera. Fakt, że Stany Zjednoczone były w oczach arabskich obciążone poparciem finansowym i politycznym, uznanego przez Waszyngton Izraela, zdawał się tymczasem nie szko-

dzić kultywowanym stosunkom z Arabią Saudyjską, Jordanią i formowanym pod ich egidą ruchem tradycjonalistycznych muzułmanów.

WOJENNE PRZYGOTOWANIA, KTÓRYCH WASZYNGTON NIE WIDZIAŁ

W rezultacie, na wiosnę tego roku 1967 i po kilkuletniej nierozegranej a przeciągającej się wojnie Arabów tradycjonalistycznych z „postępowymi“ pod wodzą Nassera na obszarze Jemenu, wpływy nasserowskie na świat arabski zaczynały słabnąć, neutralistyczna jedność Arabów ulegała podkopaniu i obóz prozachodni zaczął krzepnąć, nawet — jak wyglądało — nabierać rozmachu. Wytwarzająca się sytuacja musiała wywołać niepokój Kairu oraz jego moskiewskich protektorów, ponieważ wpraw Kosiżyn i ostatnio Gromyko odwiedzili Egipt i Syrię, gdzie od lutego 1966 utrzymywał się z coraz większym trudem, jeszcze miłszy Sowietaom od Nassera, socjalistyczny rządem lewicy partii Baath, pod wodzą dr. Nuruddina al Atassi. Oba kraje otrzymały nowe dostawy sowieckiej broni i sprzętu wojennego, co wyraźnie wskazywało na przygotowania do wojny, oczywiście przeciw Izraelowi, symbolowi — według nasserowskiej propagandy — zachodniego „imperializmu i agresji“ na arabskie kraje Afryki oraz Środkowego Wschodu.

Tych niepokojących zapowiedzi wojennych zdawała się jakby nie zauważać amerykańska dyplomacja. Jeśli nawet prawdziwe są przypuszczenia, że wojskowy zamach w Grecji, który był uprzedzeniem zamierzonej tam rewolu-

cji komunistycznej, miał jakieś poparcie amerykańskiego wywiadu i jeśli nawet Izrael otrzymał ostatnio jakieś uzbrojenie od Stanów Zjednoczonych dla zrównoważenia dostaw sowieckich dla Egiptu i Syrii, polityka prez. Johnsona tak dalece była skupiona na Wietnamie i pld. wschodniej Azji, że jakby nie wzięła pod uwagę grożącego konfliktu w Azji Mniejszej. Inaczej trudno by sobie wyobrazić bierność dyplomatyczną Waszyngtonu tuż przed wybuchem wojny czy obojętność, jaką zachował wobec zdumiewającej zgody Sekretarza Generalnego U-Thanta na wycofanie oddziałów wojskowych ONZ, natychmiast po wysunięciu tego żądania przez Nassera.

**CZYIM SUKCESEM
BYŁA TA WOJNA?**

Istnieją dość rozpowszechnione poglądy, że błyskawiczne zwycięstwo Izraela było zarazem pośrednio, na terenie międzynarodowym klęską Rosji Sowieckiej, a sukcesem zachodnim, w szczególności amerykańskim. Rosja proteguje Egipt i Syrię, uzbroiła je i popierała, czyli skoro jej pupile ponieśli wojskową klęskę, jest logiczne rozszerzyć to niepowodzenie także na nią. Wydaje mi się jednak, niestety, że skutki bardziej istotne i dalsze czerwcowego konfliktu zbrojnego na Środkowym Wschodzie mogą być wyzyskane właśnie przez Sowiety i dla ugruntowania ich wpływów w świecie arabskim. Nie sądzę też, aby militarnie wspaniały sukces Izraela musiał stać się w konsekwencji trwałą poprawą jego położenia politycznego i podmurowaniem dalszego bytu. Sam Ben Gurion podobno kiedyś powiedział, że Izrael może wygrać tylko trzy wojny z Arabami, a ta ostatnia była właśnie trzecia.

Po zakończeniu tygodniowych walk, wojskowe osiągnięcia Izraela są imponujące. Zniszczenie lotnictwa egipskiego i całej armii Nassera na pln. wschód od Suez, w Gazie i na półwyspie Synaj, aż po cieśninę Tirańską, której zamknięcie przez Egipt stało się bezpośrednią przyczyną wybuchu wojny; dalek zajęcie całej Jeruzolimy i innych posiadłości jordańskich na zachód od Morza Martwego oraz rzeki Jordan, wreszcie odrzucenie z nad swoich granic, groźnych dla siebie forpoczty syryjskich, to wszystko złożyło się na zwycięstwo wręcz druzgocące. Obszar administracji Izraela powiększył się około dwukrotnie i prawie o tyleż liczba ludności, jednakowoż arabskiej czyli stwarzającej poważne kłopoty gospodarcze i polityczne.

Najważniejsze jest wszakże pytanie,

czy i jak po takim wygraniu wojny zdoła dyplomacja Izraela wygrać dla siebie pokój? Dotychczasowe stanowisko jej, to: 1) stanowcza chęć zachowania całej Jeruzolimy i gwarancji wolnego przejazdu przez cieśninę Tirańską, oraz 2) wola, jakby mniej twardo wyrażana, utrzymania granicy na rzece Jordan i wolności żeglugi przez Suez; 3) po trzeciej, Izrael chce rokować bezpośrednio z Arabami, a wyeliminować od rozstrzygania o sprawach swego rejonu czynników trzecich, czyli mocarstw i ciał międzynarodowych, w szczególności ONZ. Ta trzecia wytyczna jest o tyle zrozumiała, że nawet najprzyjaźniejsze Izraelowi Stany Zjednoczone stoją wprawdzie na stanowisku obrony bytu Izraela, ale w dawnych granicach. Podobną postawę zachowują inne mocarstwa zachodnie, nie mówiąc już o antyizraelskiej postawie Rosji. Warunek jednak rokowań dwustronnych z Arabami nie wydaje się realny, ponieważ reakcja arabska na te propozycje, jak dotąd, jest nawskróś negatywna. Trudno zresztą sobie wyobrazić, aby mocarstwa dopuściły do regulowania skutków wojny arabsko-izraelskiej bez ich współdziałania.

**ODBUDOWANIE
FRONTU ARABSKIEGO —
ZASTÓJ HANDLU NAFTĄ**

Upokarzająca klęska wojskowa, jak dotychczas, nie zmiękczyła antyizraelskiego fanatyzmu Arabów, ani ich między sobą nie poróżniła. Przeciwnie, Nasser po zrezygnacji entuzjastycznie odrzuconej rezygnacji umocnił swoją pozycję, a jednolity front Arabów został utrzymany. Obecne stanowisko ich rządów, to odmowa jakichkolwiek rozmów z Izraelem i bez zawierania pokoju, kontynuacja nieprzejednanej z nimi walki. Ponadto, co zwraca się przeciw mocarstwom zachodnim, jako „protektorom“ Izraela, kraje, arabskie — na których czoło wysunął się ostatnio algerski plk. Boumedienne — postanowiły na konferencji w Kuwaicie, póki Izrael nie opuści wszystkich zajętych terenów, zastosować bojkot naftowy w stosunku do państw, popierających Izraela, a Nasser zapowiedział utrzymanie zamknięcia kanału sueskiego.

Na tych zarządzeniach stracą gospodarczo same kraje arabskie i zachodni, głównie europejscy, odbiorcy ich nafty. Mniej poszkodowane będą Stany Zjednoczone, a wcale nie — Rosja Sowiecka. Przeciwnie nawet prasa brytyjska podaje informacje o możliwości zastąpienia nafty ze Środkowego Wschodu — sowiecką. Stąd wynikało by, że ostatnia awantura wojenna na Środkowym Wschodzie oprócz wykopania jeszcze głębszej przepaści między Izraelem a Arabami, oprócz

PIOTR GUZY

**ŻYWOT
BOHATERA
POZYTYWNEGO**

Wyd. Instytut Literacki
w Paryżu

Cena: 15/-

GRYF/SPK — 16, Queens Gate Terrace,
LONDON, S.W.7.

nastrojenia ich jeszcze skrajniej przeciw Zachodowi i związania mocniej z Sowiecami, otwarła jedynie przed tymi ostatnimi jakieś pomyslnie widoki ekonomiczne bez żadnych strat.

Rozczarowanie, jakie Moskwa sprawiła Arabom przez brak bezpośredniej na ich rzecz interwencji i przez poparcie w Radzie Bezpieczeństwa wniosku o zawieszenie broni, postanowiła ona rozmaitymi sposobami odrobić. Rozpoczęła wielką kampanię na forum ONZ jako rzekoma protektorka arabskich interesów, co miało by jej zapewnić na dalszą przyszłość rolę ugruntowanego na Środkowym Wschodzie i możliwie w najszerszej mierze rozstrzygającego czynnika politycznego.

**BOMBA CHIŃSKA I ZNOWU
NADZIEJE ZACHODNIE NA
POROZUMIENIE Z ROSJĄ**

Zachodnie mocarstwa, w odpowiedzi na kontrofesywę polityczną Moskwy, myślą raczej o dogadaniu się z nią, niż o należytej reakcji. Sowiecki wniosek o zwołanie nadzwyczajnego Zebrania Ogólnego ONZ spotkał się ze słabą kampanią sprzeciwu ze strony zachodniej i miękkie „nie“ Waszyngtonu pozostało niemal bez echa. Wyprawę Kosygina przez Paryż do Nowego Yorku potraktowano w zachodniej prasie przede wszystkim, jako upragnioną okazję do światowego „odprężenia“, a nie dyplomatyczno-propagandowej rozprawy o zgodne ze stanowiskiem zachodnich stolic rozstrzygnięcie konfliktu Izraela z Arabami.

Przybycie sowieckiego premiera do Stanów Zjednoczonych wypadło w dniu wybuchu pierwszej chińskiej bomby wodorowej, któremu prasa zachodnia nadała wielki rozgłos. Rozgłos ten ma sprzyjać atmosferze zbliżenia do Rosji, by grać rolę dodatkowego argumentu za tym obrotem międzynarodowych stosunków. Rzekomo przerażone tą bombą, Sowiety miały by być skłonniejsze do pojednania z Ameryką i wznowić z nią sławetną koegzystencję, na której nieświętym otłarzu miały by być poświęcone interesy ujarzmionych i mniejszych narodów.

Zdzisław Stahl

MŁODZIEŻ W POLSKIM ŻYCIU NARODOWYM POZA GRANICAMI KRAJU

Poniżej zamieszczamy tekst referatu, który wespół z dwoma innymi referatami był wygłoszony 13 maja b.r. na zebraniu dyskusyjnym Biura Studiów SPK, poświęconym sprawom młodzieży.

NA wstępie próba kilku definicji. Przez **życie narodowe** rozumiem całość działania ludzkiego, wynikającego z poczucia wspólnoty narodowej, opartej na wspólnym pochodzeniu, związkach kulturalnych, wspólnym języku, często na wspólnych wierzeniach religijnych. Szczególnie w wypadku zwartego zamieszkiwania na pewnym terytorium poczucie wspólnoty narodowej łączy się ze wspólnotą interesów w zabezpieczeniu samego istnienia i warunków ekonomicznych. Naród wytwarza wówczas organizm państwowy. Życie narodowe poza krajem pochodzi z opiera się głównie na uczuciowych węzłach z biegiem czasu przeważnie zanikających.

Na ziemi ojczystej młodzież w normalnych warunkach w ramach naturalnego procesu ewolucji, przy nieuniknionych większych lub mniejszych konfliktach nie mając z resztą innego wyboru przejmuje odpowiedzialność od starszego pokolenia za całość życia narodowego. Poza granicami kraju jest inaczej. Młodzież ma przed sobą wybór formacji narodowej i w ostatecznym rozrachunku sama musi go podjąć. Ta możliwość wyboru będzie w znacznej mierze podstawą naszych dalszych rozważań. Możliwość wyboru decyduje bowiem o tym, że normalny automatyzm nie działa, a środki przymusu, pod różnymi formami w życiu ludzkiem bardzo powszechne, muszą stać się nieskuteczne, lub wielce szkodliwe.

Definicja **młodzieży** w warunkach życia we własnym kraju jest też łatwiejsza. Jest to chyba okres życia do czasu przejścia pewnej odpowiedzialności lub nabycia pewnych praw. Ukończenie studiów, rozpoczęcie pracy zarobkowej, uzyskanie pra-

wa głosowania mogą być uważane za słupy graniczne. Określają one też przejście pewnej odpowiedzialności za życie narodowe.

W warunkach życia poza granicami kraju z tego punktu widzenia łatwo zachować wieczną młodość. Gdy polskie życie narodowe jest w pewnej mierze dodatkiem do życia w kraju osiedlenia, granice pojęcia „młodzież“, trzeba chyba w skali wieku przesunąć w górę poza okres ukończenia studiów, rozpoczęcia pracy zarobkowej i przyjąć ją arbitralnie gdzieś około trzydziestki. Dlatego, że przez okres tak długi trwa często formowanie się świadomości narodowej, przed dokonaniem wyboru stopnia świadomego związania się z polskością.

Rozważanie roli młodzieży w polskim życiu narodowym poza granicami kraju jest w znacznej mierze tym samym co rozważanie przyszłości polskości osób polskiego pochodzenia i stąd granice tematu stają się trudne.

Związek z kulturą polską: Młodzież polska poza granicami kraju ma bardzo ograniczony zakres możliwości związania się z kulturą polską. Jest pod ustawiczną presją bogatej kultury kraju zamieszkania dysponującego ogromnymi środkami oddziaływania. Dom jest często bezradny. Szkoła jest tylko dodatkiem do szkoły normalnej, wymaga dodatkowego wysiłku. Książka jest często oddzielona barierą nieznaności języka i obcości pojęć. Toteż związek z kulturą polską będzie się wyrażał w ogromnej skali rozpiętości od skromnego zakresu tradycji świątecznej, często nawet bez znajomości języka do naprawdę imponującej „dwukulturowości“ stwarzającej bogactwo przeżyć duchowych. Zapewnienie związku z kulturą polską jest przede wszystkim **odpowiedzialnością pokolenia starszego**. Środki działania dotychczas rozwinięte są z jednej strony imponujące, gdy brać pod uwagę ofiarność jednostek i grup, często nadspodziewanie skuteczne, a z drugiej strony zupełnie niewystar-

czające na dłuższą metę. Improwizacja i rozrzutność organizacyjna w dziedzinie szkolnictwa rzucają się w oczy. Pomimo wielu pokoleń emigracji zarobkowej i prawie ćwierćwiecza ostatniej emigracji politycznej nie posiadamy dotychczas ani programu, ani metod pracy zmierzających systematycznie do utrzymania związku młodych pokoleń z kulturą polską, ani nie posiadamy centralnych dostatecznie silnych instytucji, które by dostarczały środków działania w postaci podręczników szkolnych, instruktazu kulturalno-oświatowego itp., w ilości i jakości na miarę potrzeb.

Na jedno z osiągnięć szkolnictwa polskiego w W. Brytanii pragnę w tym miejscu zwrócić uwagę. Wprowadzenie egzaminów z języka polskiego w ramy angielskiego szkolnictwa na „O“ i „A level“ może mieć bardzo duże znaczenie. W sposób dla młodzieży konkretny i zrozumiały daje jej metodę pracy i satysfakcję, a z języka polskiego czyni uznany przez otoczenie element wykształcenia.

Pewność pozostawiania poza granicami kraju milionów osób polskiego pochodzenia, a w tej liczbie być może przez dalsze dziesiątki lat dzieci rodziców z emigracji politycznej, nie zarzucających myśli o powrocie do kraju, stwarza konieczność skoncentrowania środków na utrzymaniu jak najściślejszej więzi nowych pokoleń młodzieży polskiej z kulturą polską. Zasadą powinna tu być **dwukulturowość**, powiększanie kulturalnego ekwipunku a nie przeciwstawianie kultury polskiej kulturze kraju osiedlenia. Intensywna popularyzacja książki polskiej, krajowej i emigracyjnej, filmu polskiego, teatru, pieśni i tańca, pogłębianie solidnej niezniekształconej dla celów politycznych, wiedzy o kraju może stworzyć podstawę utrzymania związku z kulturą polską **młodzieży** a równocześnie wytworzyć dziedzinę owocnej współpracy starszego pokolenia z młodzieżą. Specjalną troską należy tu otoczyć młodzież wych-

dzącą ze szkół polskich. Rozbudowane życie sportowe i towarzyskie naszej młodzieży należy uzupełnić również intensywnym wysiłkiem w dziedzinie kulturalnej i do współodpowiedzialności w tej dziedzinie wciągnąć młodzież.

Sylwetka duchowa młodzieży: Na oblicze duchowe młodzieży polskiego pochodzenia poza granicami kraju ogromny wpływ mają ideały wyznawane przez otoczenie lub ich brak. Oblicze to ukształtuje się jako jakaś wypadkowa tych wpływów otoczenia, wpływów domu i środowisk polskich. Jeżeli w duszy młodego człowieka ideały przezeń przyjęte rozejdą się z ideałami środowiska polskiego jego rodziców to nawet ścisły językowy i kulturalny związek z polskością nie włączy go w to życie narodowe, w którym obecnie tkwi większość starszego pokolenia.

Nawet najrzetelniejszy patriotyzm starszego pokolenia często graniczy z szowinizmem, a miara przykładana do spraw polskich jest często wysoce odmienna od stosowanej do innych narodów, chociażby sąsiednich.

Uzasadniona duma z hartu ducha wykazanego przez nasz naród w wielu historycznych momentach i zdolności do poświęceń idą często w parze z gloryfikacją całości naszych dziejów, która nie ostanie się krytycznej analizie bystrzejszego ucznia polskiej szkoły sobotniej. Gdy „Pax“ oskarża nasz katolicyzm o nadmierną maryjność to polityczne tłumaczenie motywów tej krytyki może być słuszne. Gdy jednak sprawa kultu maryjnego wypłyne w dyskusji ekumenicznej, a młody człowiek zestawi w swym umyśle słuszną troskę o ograniczanie przez reżym peregrynacji obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej z nigdy niedotrzymanymi przyrzeczeniami polskiego króla składanymi Matce Boskiej Łaskawej, w młodym umyśle powstaną wątpliwości na temat rozbieżności pomiędzy oficjalną pobożnością i niechrześcijańską treścią polskiego życia w różnych dziedzinach.

Dokonując wyboru w kształtowaniu swej sylwetki duchowej przynajmniej najlepsza część młodzieży odrzuci wszelką blagę i powierzchowność. Do dziejów narodu ojców i do położenia w Polsce współczesnej podejście przede wszystkim od strony ideałów ogólnoludzkich.

Zaangażowanie się młodzieży w

polskim życiu narodowym poza krajem jak również w wysiłkach na rzecz przyszłości naszego narodu w kraju zależeć będzie przede wszystkim od sylwetki duchowej, jaką młodzież sobie wybierze i od jej zgodności z aspiracjami narodu polskiego w kraju i grupy kierowniczej polskiego życia narodowego poza jego granicami. Istnieją w tym kierunku powody do optymizmu. Walka narodu polskiego o wolność jest fragmentem walki ogólnoludzkiej. Kościół sztykanowany w Polsce z okresu sztykanowacji może wyjść wewnątrz odnowiony. Odnowiony, tolerancyjny kościół katolicki może stanąć w pierwszych szeregach ludzkości walczącej o wolność i prawo do sprawiedliwości społecznej. Proces politycznego całkowania się Europy idzie po linii interesów narodu polskiego. Nauka ma wszelkie szanse stania się decydującym elementem w kształtowaniu przyszłości. Ogólnoludzkie aspiracje młodzieży mają zatem szanse zupełnej zgodności z potrzebami narodu polskiego w kraju, a udział młodzieży w życiu narodowym polskim poza granicami kraju może być dla niej okazją do służby jej własnym ogólnoludzkim ideałom.

Wzrastający udział młodzieży w polskim życiu narodowym poza granicami kraju może mieć dla tego życia i jego użyteczności dla narodu w kraju bardzo duże znaczenie. Młodzież może dopomóc nam w skierowaniu uwagi na problemy najbardziej podstawowe i w zaoszczędzeniu energii idącej na nadmierne odkurzenie rekwizytów przeszłości. Może dopomóc nam w wypracowaniu nowych metod działania, nowych narzędzi, które bez kapitulacji z dążeń niepodległościowych, upowszechnią nasze życie narodowe poza granicami kraju a narodowi w kraju przyniosą rzeczywistą pomoc.

Pragnę dać cztery przykłady dziedzin, w których zaangażowanie się młodzieży polskiego pochodzenia może dać jej pełną satysfakcję twórczego wysiłku, a nasze życie narodowe podnieść i unowocześnić:

1) Upowszechnienie i reorganizacja życia społecznego.

Na naszym życiu społecznym ciężą spory wewnętrzno-polityczne, powstrzymujące część społeczeństwa od udziału w nim, ciężą mnogość form organizacyjnych, które wyma-

gają ogromnej energii dla ich utrzymania, a nie dają formy powszechnej. Koordynacja poprzez np. Zjednoczenie Polskie w wypadku Wielkiej Brytanii, wielce pożyteczna, nie powiększa zasięgu istniejących organizacji społecznych, nie zmniejsza liczby niezrzeszonych. Można mieć wątpliwości, czy w dostatecznie bliskiej przyszłości reforma życia społecznego i próby stworzenia organizacji powszechnej podejmowane przez nasze pokolenie wydadzą owoce. Młodzież, wolna od nadmiernych przywiązań do istniejących form organizacyjnych, może dopomóc w przyspieszeniu tego procesu. Istnieje na tym odcinku niebezpieczeństwo, że część bardzo wartościowej młodzieży widząc rozbić i trudności organizacyjne starszego pokolenia skoncentruje się na pracy w instytucjach (np. P.O.S.K.) i na działaniu indywidualnym — pozostając poza życiem organizacyjnym.

2) Współpraca z narodami Europy Środkowo-Wschodniej.

Nastawienie starszego społeczeństwa na tym odcinku w znacznej mierze wynika z wyznawanych poglądów politycznych, łącznie z nastawieniem uczuciowym, wyniesionym z okresu przedwojennego i wojennego. Tymczasem znalezienie się wszystkich narodów Europy Środkowo-Wschodniej w ścisłej zależności od Rosji Sowieckiej i w zasięgu komunistycznych problemów organizacyjnych, ekonomicznych i światopoglądowych, stworzyło sytuację nową. Można marzyć o pozycji Finlandii lub Austrii dla Polski, o wyluskiwaniu jednego lub drugiego narodu z zasięgu wpływów sowieckich z perspektywą pokojowej bardzo pokojowej i gruntownej zależności od zachodnich formacji politycznych, które mogą okazać się i bardzo korzystne i bardzo dla Polski niebezpieczne.

Młodzież polska za granicą może jednak przejąć się innym, szerszym ideałem. Narody Europy Środkowo-Wschodniej, którym wspólnotę położenia i problematyki narzucono, mogą z tego przymusowego położenia wytworzyć podstawę lepszej przyszłości. Mogą przygotować w skromnym zakresie poza granicami naszych krajów, a w sprzyjających warunkach politycznych wytworzyć wspólnotę, która zabezpieczy ich przyszłość i może stać się poważnym

łącznikiem zachodniej Europy i wschodu.

3) Udział w życiu politycznym Zachodu.

Jednostki polskiego pochodzenia w różnych krajach osiedlenia weszły w życie polityczne. Niektóre odgrywają w nim poważną rolę. Rzesza polskiego pochodzenia z biegiem czasu też weszła lub wchodzi w jakimś stopniu w życie polityczne Zachodu, przeważnie jest w nie bezkrytycznie wmanewrowywana zależnie od ściągających się, szczególnie w okresie wyborów sił politycznych. Młodzież polskiego pochodzenia, szczególnie ta świetnie zapowiadająca się na studiach uniwersyteckich i świeżo po nich, biorąc świadomy udział w życiu politycznym krajów zachodnich i w ruchach międzynarodowych może walczyć o miejsce dla narodu polskiego w przyszłości.

4) Walka o wolność człowieka.

Młodzież polskiego pochodzenia dorastająca w krajach zachodnich przeżywa wraz z młodzieżą krajów osiedlenia swoje najpiękniejsze lata kształtowania się świadomości, twórczego buntu, walki o swoje prawa i walki o wolność i prawa człowieka. Oczywiście wraz z młodzieżą krajów osiedlenia jest narażona na niebezpieczeństwa zmaterializowanego świata i nadmiernie ułatwionego startu życiowego. Podwójne skrępowanie młodzieży w naszym kraju w dziedzinie myśli zmorą zakłamaną, oficjalnej ideologii a w dziedzinie organizacji państwowej monopartyjnym systemem opartym na przemocy i jeszcze raz na kłamstwie, będzie w młodych umysłach wiązało walkę o wolność człowieka z walką o wolność w Polsce. Będą się zadziergały nici sympatii zarówno dla młodych w Polsce, idących po święcenia kapłańskie wbrew naciskowi całego aparatu państwowego, jak i dla młodych polskich komunistów a i dla starszych filozofów, których pragnienia wolności nie złamał system, w którym wyrosli, którego byli częścią. Młodzież zda sobie sprawę, że jej rówieśnicy w Polsce są pozbawieni tych elementarnych praw, które na zachodzie uważa się za rzecz bezsporną, każdemu człowiekowi należną. Najlepsza część młodzieży polskiego pochodzenia włączy się w odwieczną walkę o wol-

ność człowieka i w walce tej zwiąże się z walką o wolność w Polsce. Ale trzeba też być przygotowanym na to, że formy zaangażowania się młodzieży w walce o wolność będą bardzo odmienne od tych, w których myśmy wyrosli, które często identyfikujemy z samą treścią walki o wolność. Warunkiem wciągnięcia młodzieży w życie narodowe poza granicami kraju a w szczególności warunkiem jej współuczestnictwa w jego kierownictwie wydaje się być szczere i pełne uznanie prawa młodzieży do kształtowania jej własnego oblicza duchowego poprzez trudny proces świadomego wyboru, oraz jej prawa do wyboru form organizacyjnych i prawa do współdecydowania.

Główną rolę młodzieży w polskim życiu narodowym poza granicami kraju widzę na dwu odcinkach:

Po pierwsze w utrzymaniu więzi z kulturą polską, poprzez świadomą **dwukulturowość**. Stworzenie nowoczesnych narzędzi działania na tym odcinku pozostanie jednak przez czas dłuższy odpowiedzialnością pokolenia starszego, obecnie kierującego polskim życiem narodowym.

Po drugie w pracy nad własną treścią duchową. Tu własnej pracy młodzieży nic nie zastąpi. Starsze pokolenie może jednak w tym procesie dopomóc. Na dłuższą metę decydujące znaczenie dla życia narodowego będzie miała przede wszystkim ta grupa młodzieży, która swe ideały ogólnoludzkie zharmonizuje z potrzebami naszego narodu. Jej przyszłe przewodztwo w życiu narodowym poza krajem i wpływ na bieg wydarzeń w Polsce będzie przede wszystkim wynikiem rzetelnej pracy nad samym sobą i ofiarnej pracy dla ogółu.

Na tym tle uwaga metodyczna. W słusznym wysiłku ogarnięcia jak największej gromady polskiego pochodzenia w pracach organizacji młodzieżowych i w pracach dla młodzieży spotyka się u nas, może poza harcerstwem, zbyt wiele łatwizny a za mało wymagań. Może to dać wyniki odwrotne od oczekiwanych. Ale to już należy raczej do przeglądu istniejących form pracy i organizacji młodzieżowych.

Uwagi dziś wypowiedziane nie

**PODSTAWĄ ISTNIENIA PISMA
JEST REGULARNIE OPŁACA-
NA PRENUMERATA**

mają pretensji ani do wyczerpania tematu ani nawet do pełnej dyskusji.

Może w sposób nieudolny, ale starałem się zwrócić uwagę na dwie zasadnicze sprawy:

Pierwsza, to **odmienność problematyki młodzieżowej**, wynikająca z wyboru o wiele szerszego niż ten, który stoi przed naszym pokoleniem, oraz z konieczności stałej konfrontacji problematyki polskiej z ogólnoludzkimi problemami światopoglądowymi, znowu ostrzejszej niż w wypadku starszego pokolenia.

Druga sprawa, to konieczność wciągnięcia młodzieży od samego początku na prawach współgospodarzy, konieczność **pracy z młodzieżą**, a nie tylko dla młodzieży.

Zachodzi konieczność, obok kontynuowania klasycznych i uznanych form pracy młodzieżowej, wytworzenia na odcinku polskim **ośrodka żywego ruchu umysłowego**, w którym w ogniu dyskusji i szczerej konfrontacji poglądów można by przyspieszyć zaangażowanie się młodzieży naszej w kształtowanie jutrzejszego, polskiego dnia.

Stowarzyszenie Polskich Kombatantów może na tym odcinku odegrać pewną rolę, chociażby przez zaczęcie poważnej dyskusji z młodzieżą i przez oddanie do jej dyspozycji środków naszej organizacji i przez szczere wciągnięcie młodzieży do współodpowiedzialności za przyszłość naszej organizacji.

Może to zrobić SPK, o ile znajdą się w naszej organizacji ludzie oddani z determinacją temu trudnemu, a bardzo ważnemu zagadnieniu.

Jarosław Żaba

Wzmacniajcie nerwy i oczyszczajcie krew, a będziecie cieszyć się zdrowiem i wzmoczoną wydajnością w pracy!

Wyciąg z życiodajnych gruczołów zwierzęcych

KALEFLUID

Używanie naszego preparatu polepsza stan zdrowia w sposób bardzo znaczny, w wypadkach ogólnego osłabienia, depresji nerwowej, zmęczenia, wyczerpania, zaburzenia i starości. U kobiet również w wieku przejściowym. W sprzedaży w wielkich aptekach. Wysyłamy bezpłatnie w języku polskim przepisy używania.

**Laboratoire B. KALEFLUID
FRANCJA
66, BLD. EXELMANS. PARIS 16-e.**

W WE WSZYSTKICH krajach praworządnych prawo bierze w obronę słabych. Roztacza opiekę nad upośledzonymi przez los. Współczesne państwa wprowadzają powszechną opiekę społeczną, a jednocześnie udzielając pomocy obywatelom poszkodowanym przez życie, na przykład inwalidom, starają się to czynić w ten sposób, aby utrzymać w tych ludziach przeświadczenie, że są społeczeństwu potrzebni.

Zdawało by się zatem, że w ustroju, który określa się sam jako „ludowo-demokratyczny“ lub „socjalistyczny“ i z reguły podkreśla swoją postępowość społeczną, opieka nad inwalidami pracy powinna być bez zarzutu. Oczywiście, mam tu na myśli Polskę pod rządami komunistów.

Niestety, chociaż komuniści z PZPR głoszą hasła o sprawiedliwości społecznej, chociaż deklamują nieustannie o rządach robotniczych — praktyka życia dowodzi czego innego. Łatwo można zaobserwować, że w systemie komunistycznym względny, może nie tyle poszanowaniem, co wyrozumieniem — cieszy się człowiek silny, posiadający pełną zdolność do pracy. Jednostki słabe, chorowite lub nieszczęśliwe, jak inwalidzi — nie cieszą się względami władzy. Władza ta zbyt często pozwala im odczuć, że są elementem uciążliwym, bo nieproduktywnym.

Jak Polska długa i szeroka, obowiązuje dziś zasada: pókiś zdrowy i silny, póki potrafisz na siebie zapracować — jeszcze się z tobą jako tako liczą. Ale gdy człowieku stracisz siły i zdrowie, lub — co gorsza — gdy zostaniesz inwalidą pracy poszukującym pomocy — wówczas odwracają się od ciebie wszystkie instytucje, a zakład pracy, w którym to zdrowie straciłeś, traktuje cię jak wroga, gdyż obawia się zgłoszenia pretensji o odszkodowanie wypadkowe.

Toteż nie ma się co dziwić, że dziesiątki tysięcy spraw o odszkodowania powypadkowe zalega wokandy sądów i latami czeka na rozstrzygnięcie. Doszło do tego, że z początkiem tego roku musiał reagować sam Cyrankiewicz, bo wydał kategoryczne rozporządzenie, aby dyrekcje fabryk nie uchylały się złośliwie od wypłacania odszkodowań za wypadki. Jednak mimo to bezduszność administracji nadal szykanuje robotników poszkodowanych na zdrowiu.

LAMENT KALEKI

Warto omówić to zagadnienie na konkretnym przykładzie.

Niedawno temu w jednym z dzienników krajowych spotkałem się z charakterystycznym listem czytelnika-inwalidy. Skarżył się biedak nie tyle na ciężki los kaleki — bo z tym widocznie już się pogodził — co na bezduszność administracji. Na niezyciowe przepisy, wybitnie krzywdzące dla obywateli ta-

TADEUSZ PODGÓRSKI

KRZYWDA INWALIDÓW

kich jak on, to znaczy poszkodowanych na zdrowiu, a więc o ograniczonej zdolności do pracy.

Oto jak wyglądała jego sprawa:

Stracił nogę w wypadku. Zaliczono go do trzeciej grupy inwalidzkiej i z tego tytułu otrzymuje rentę w wysokości 636 zł. miesięcznie. Oczywiście, jest wykluczone, aby utrzymać z tego żonę i dzieci. Chciał nadal pracować i cośkolwiek dorobić, lecz w Polsce Ludowej nie jest to takie proste. Mieszka na wsi o parę kilometrów od najbliższego przystanku autobusu, więc ze względu na kalectwo odpadła mu możliwość dojazdów do miasta. Był jednak na tyle przedsiębiorczy, że za pożyczone pieniądze założył sobie w ogródku przy domu szklarnię z jarzynami. Coś tam hoduje. Wszystko jak należy lojalnie zgłosił w odpowiednich urzędach. Wydział finansowy oszacował jego dochód z tej przydomowej oranżerii na 3.800 zł. i wyznaczył mu z tego tytułu ponad 300 zł. podatku. Nasz inwalida zniósł i to. Płacił jak nakazali, choć prawdę mówiąc nie bardzo było z czego i w większości krajów dochody tego rodzaju i w tej wysokości wolne są od podatku.

Lecz boleśniejsza krzywda spotkała inwalidę z innej strony.

Jego żona dorabiała także około 400 złotych miesięcznie jako chałupniczka podejmująca roboty z lokalnej spółdzielni pracy. I ona — w myśl przepisów — zeznała swemu pracodawcy, że mąż chorwila na szklarni z inspektami. Z tą chwila — jako żonie samodzielniego przedsiębiorcy — cofnięto jej wszystkie przywileje pracownicze. Spółdzielnia pracy nie chce jej dłużej ubezpieczać, więc na wypadek choroby traci prawo do zasiłku. Lata pracy przestały się jej liczyć do emerytury, chociaż pracuje tak samo i na tych samych warunkach, co poprzednio. Na dobitkę straciła zasiłek rodzinny na dzieci, który w skali rocznej miał wartość ponad tysiąc złotych.

SPRAWIEDLIWOŚĆ KOMUNISTYCZNA

Szykany te spadły na rodzinę inwalidy tylko dlatego, że w myśl ustawodawstwa „ludowo-demokratycznego“ osoba posiadająca własną szklarnię warzywną — choćby to był nawet inwalida pracy — traktowana jest jako, pozał się Boże, kapitalista-producent. Nie przysługują jej zatem ubezpieczenia chorobowe z tytułu pracy, lecz musi się wraz z rodziną ubezpieczać indywi-

dualnie. Summa summarum robotnik bez nogi przez to, że założył szklarnię z warzywami zmienił swój status społeczny.

Za karę obciążono go podatkiem, a jego żonie odmówiono prawa do świadczeń społecznych przysługującej jej uprzednio z tytułu wykonywanej pracy!

Czy jest w tym postępowaniu jakaś logika?

Co nieszczęsny inwalida ma teraz robić?

Zlikwidować swoją szklarnię i wegetować z głodowej renty, czy utykać na jednej nodze od urzępu i wyklócać się o zrozumienie dla jego ciężkiego położenia?

Jak można rodzinę inwalidy-rencisty pozbawiać prawa do leczenia z tytułu należnych mu przecież ubezpieczeń społecznych? Czyż nie zakrawa na kpiny, że marny dodatkowy jego zarobek zaledwie około 400 zł. miesięcznie uznano za dochody kapitalisty?

Takie postępowanie władz administracyjnych nie ma nic wspólnego ani z socjalizmem, ani ze zdrowym rozsądkiem. Jest zato typowym przykładem tępego doktrynerstwa.

PROBLEM NA DUŻĄ SKALĘ

Nie jest to, niestety, sprawa odosobniona. Co roku przybywa w Polsce kilkanaście, a może nawet kilkadziesiąt tysięcy inwalidów pracy. Jedni na skutek kalectwa, zawinionego najczęściej złymi warunkami pracy, inni na skutek chorób zawodowych, spowodowanych z tej samej przyczyny. Na przykład, w stoczni gdańskiej, gdzie warunki pracy wcale nie należą do najgorszych, około 20% załogi robotniczej cierpi na różne dolegliwości zawodowe i wymaga skierowania do lepszej pracy. Nie dla wszystkich poszkodowanych starczy lekkich prac, więc duża część rujnuje sobie nadal zdrowie, bo przecież nikomu nie uśmiecha się pójść na głodową rentę 600 zł. bez możliwości dorobienia na lepszej, dorywczej pracy.

Przykład ten dowodzi, że komunistyczna administracja z jednej strony lekceważy zdrowie pracowników, z drugiej zaś, gdy staną się inwalidami pracy, uniemożliwia im dorabianie lepszą pracą samodzielną, aby przypadkiem nie stali się „kapitalistami“ na paru grządkach inspektów pod szkłem.

Wprost niezrozumiałe, że władzom komunistycznym tak trudno przychodzi zrozumieć, że dodatkowa praca inwalidy powiększa dochód narodowy. Inicjatywy tego rodzaju jak ta, którą pod-

jął inwalida ze szklarnią — z punktu widzenia interesu narodowego — zasługują nie na szykany władz, lecz na jak najbardziej szerokie poparcie. Idzie przecież o to, aby każdy człowiek, nawet ten, który na skutek wypadku przy pracy został inwalidą mógł być dla społeczeństwa pożyteczny.

ZWIĄZEK GŁUCHY I SLEPY

Tu nasuwa mi się zasadnicza uwaga. Wśród jakże licznych organizacji krajowych działa m.in. Zjednoczony Związek Emerytów i Inwalidów. Mniejsza już o to, że inwalidów połączono z emerytami, choć to dwie różne grupy, o różnych potrzebach. Kierują tą organizacją dwaj panowie, o których mało się słyszy: Stefan Ajnikiel — przewodniczący rady głównej i Leon Wrzosek — prezes zarządu. Co robi ten Zjednoczony Związek w takiej sprawie jak ta, którą nieszczęsny inwalida opisał w prasie? Wydaje się, że jest głuchy, bo reakcji nie było.

Powszechnie wiadomo, że w ostatnich latach szybko wzrasta w Polsce ilość

emerytów, a będzie wzrastała jeszcze bardziej. W podobnym tempie rośnie ilość inwalidów pracy, często ludzi młodych, stających dopiero na progu samodzielnego życia. Do wzrostu wypadków inwalidztwa — jak to już zaznaczyłem wcześniej — przyczyniają się opłakane warunki pracy i karygodne lekceważenie instrukcji bezpieczeństwa pracy. Stare maszyny i niedbała administracja — to dwa czynniki pomnażające ilość inwalidów pracy.

Jest więc rzeczą pilną i konieczną, aby wszystkimi problemami poszkodowanych na zdrowiu pracowników, którzy nie posiadają już pełnej zdolności do pracy, ale chcą pracować dla uzupełnienia renty — zajął się Zjednoczony Związek Emerytów i Rencistów. Na tym odcinku powinna się spotkać inicjatywa Związku Rencistów z poparciem i zrozumieniem związków zawodowych. Idzie przecież o to, aby ofiarom wypadków przy pracy jak najbardziej ułatwić życie. Chodzi o to, aby mogli oni czuć się przydatnymi dla społeczeństwa. To bardzo ważne i ze

strony ludzkiej i dla korzyści gospodarczych kraju. W żadnym wypadku nie wolno inwalidów pracy odpisywać na straty i traktować jako uciążliwych dla społeczeństwa. Jeszcze gorzej gdy władze komunistyczne traktują tych ludzi jako potencjonalnych „kapitalistów”. To bezmyślne postępowanie władz komunistycznych zasługuje na potępienie. Przeciwno każdej krzywdzie inwalidów i rencistów powinien reagować ich własny związek, wyspecjalizowany w obronie tego typu spraw. Wówczas nie mogłoby się zdarzyć, że inwalidę bez nogi uznano za kapitalistę, tylko dlatego, iż dorabia po kilkaset złotych miesięcznie hodowaniem paru grządek warzyw.

Krótko mówiąc, zagadnienie sprowadza się do tego, aby krajowe organizacje opiekuńcze czy samopomocowe nauczyły się walczyć i miały odwagę walczyć z ignorancją bezdusznej biurokracji.

Jest to zresztą ważne we wszystkich dziedzinach życia w kraju.

Tadeusz Podgórski

JÓZER PIEPER

PODSTAWOWE FORMY SPRAWIEDLIWOŚCI

W marcu br. nakładem firmy wydawniczej ODNOWA ukazała się w przekładzie polskim książka J. Piepera pt. *Über die Gerechtigkeit* (tytuł polski: „O Sprawiedliwości“). Autor, współczesny niemiecki filozof i antropolog, a zarazem głęboki znawca tomizmu poddaje w swej pracy wnikliwej analizie podstawowe zagadnienie współżycia, jakim jest sprawiedliwość. Zamieszczamy z niej rozdz. V, który traktuje o formach sprawiedliwości.

KIEDY możemy mówić o panowaniu sprawiedliwości w narodzie? Ma ona bowiem związek z życiem zbiorowym i dlatego gdy mowa o urzeczywistnianiu sprawiedliwości, kierujemy naszą uwagę na życie społeczne, rodzinne, organizację przemysłową, naród zorganizowany w państwo. Można by nawet powiedzieć, że przedmiotem sprawiedliwości jest społeczeństwo, choć oczywiście, w ścisłym znaczeniu tego słowa, tylko osoba, a więc jednostka może być sprawiedliwa. Kiedy zatem sprawiedliwość panuje w społeczeństwie?

Plutarch, Diogenes Laertius, Stobaeus dali odpowiedzi na to pytanie w formie maksym, przypisywanych Siedmiu Mędrcom. Odpowiedzi ich wskazują, że zagadnienie to zawsze było przedmiotem dociekań filozoficznych. Ich niewiarygodna wprost aktualność dowodzi, że czas niewiele zmienił w tej

dzielinie. Tales, którego kilka dowcipnych maksym przytacza Diogenes Laertius, na pytanie co najdziwniejszego w życiu zdarzyło mu się widzieć, taką dał odpowiedź: „Tyrańca, który dożył sędziwego wieku“. Ten sam mąż stanu twierdzi, że „sprawiedliwość przeważa w narodzie, w którym nie ma ani nadmiernych bogactw ani wielkiego ubóstwa“.

Bias — któremu przypisuje się, cytowaną przez św. Tomasza, głęboką myśl wyrażoną w trzech słowach: władza odsłania człowieka — taką dał odpowiedź: „Gdy każdy w państwie lęka się prawa tak jakby się lękał tyrańca“. Solon zaś celnie zauważył: „Sprawiedliwość rządzi wówczas, gdy ci którzy ponieśli szkody z rąk przestępcy, oskarżają go i sądzą tak, jakby on sam był osobą, której wyrządził krzywdę“. Wynika z tego, że istotną cechą przestępstwa nie jest utrata czyjegoś mienia, zdrowia lub życia, lecz zawarta w tym fakcie groźba zakłócenia ładu życia całego społeczeństwa ze szkodą dla każdej jednostki.

Państwo, w którym każdy wyznawałby tę zasadę, byłoby sprawiedliwym państwem. Diogenes Laertius przekazał nam także cały szereg ciekawych maksym spartańczyka Cheilona. Oto jedna z nich: „Trzy rzeczy są ogromnie trudne: dotrzymać tajemnicy, pogodzić się z niesprawiedliwością, spędzić do-

brze wolny czas“. Cheilon twierdził, że sprawiedliwe jest państwo, w którym obywatele więcej słuchają prawa a mniej mówców. Pittakos, sam władca miasta Mytilene, w odpowiedzi swej nawiązuje do formy rządu. Sprawiedliwość jest wtedy rzeczywistością, gdy w rządzeniu państwem nie ma miejsca dla niegodziwych, a ludzie dobrzy nie mogą być wykluczeni.

Przytoczone tu odpowiedzi dają nie tyle formalne definicje, co pewną charakterystykę, która jest wynikiem doświadczenia na tle bezpośredniego kontaktu z rzeczywistością.

Odpowiedź św. Tomasza mogłaby brzmieć następująco: sprawiedliwość władzy w takim społeczeństwie lub państwie, w którym mają należyte zastosowanie trzy podstawowe czynniki życia zbiorowego: pierwszy — stosunek między poszczególnymi ludźmi; drugi — stosunek całego środowiska społecznego do jednostki; trzeci — stosunek jednostki do środowiska. Te trzy zasadnicze rodzaje związków odpowiadają trzem podstawowym formom sprawiedliwości: sprawiedliwość obopólna *iustitia acommutativa* czyli wzajemnie stosowana, która porządkuje stosunek jednostki do jej indywidualnego partnera; rozdzielcza (*iustitia distributiva*), która porządkuje stosunek między społecznością a poszczególnymi jej członkami; wreszcie, sprawiedliwość prawna

czyli ogólna (iustitia legalis, iustitia generalis), która ustala stosunek jednostki do całego środowiska.

Cechą wspólną wszystkich trzech rodzajów sprawiedliwości jest pewien rodzaj zobowiązania, które jest różne w każdym poszczególnym wypadku. Obowiązek płacenia podatku to nie to samo, co uiszczenie należności za książkę. Ochrona prawna jednostki ze strony państwa należy mi się w innej formie, niż to co mi się należy od sąsiada tytułem zwrotu pożyczki.

Co więcej, każda z trzech podstawowych form sprawiedliwości ma inną treść. Twierdzenie, że sprawiedliwość normuje stosunek między jednym człowiekiem a drugim, jest sformułowaniem niepełnym. Sprawiedliwość bowiem nie normuje; czyni to człowiek, on właśnie jest tym, który normuje. W ostatecznej analizie człowiek, a więc poszczególna jednostka wspiera i urzeczywistnia trzy podstawowe formy sprawiedliwości. Może to czynić w trojaki sposób: jako związany z innymi ludźmi, uznaje wzajemną sprawiedliwość, natomiast dla sprawiedliwości prawnej człowiek jest częścią gatunku, członkiem społeczności, podmiotem. Także sprawiedliwość rozdzielcza nie jest czymś rzeczywistym dla „całości społecznej“; tu także rolę decydującą w wymierzaniu sprawiedliwości odgrywa pojedynczy człowiek — król, dyktator, zwierzchnik państwa, urzędnik, a w trwałych demokracjach nawet zwykły śmiertelnik.

Możnaby się pokusić o przedstawienie tej struktury w formie wykresu, który może być niedokładny, a w niektórych szczegółach wprost niewystarczający. (Autor wyobraża sobie tę strukturę w postaci trójkąta, którego trzy boki odpowiadałyby trzem podstawowym rodzajom sprawiedliwości — przypłumacza). Krótka chwila zainteresowania tym diagramem nie będzie stratą czasu, jeśli właśnie dzięki swej niedoskonałości zwróci on uwagę na konieczność uzupełnienia tego co tu powiedziano. Usiłując zwrócić uwagę na tę czy inną niedoskonałość, czytelnik tym samym stanie się uczestnikiem toczącej się dysputy. Wciągnięty zaś w tę kontrowersyjną dyskusję, będzie musiał dać wyraźną interpretację rzeczywistości społecznej, która oznacza ludzką rzeczywistość. Lecz w jakiej mierze schemat ten jest niedoskonały?

Św. Tomasz dostrzegłby najpierw niedoskonałość w fakcie, że jednostka i całe środowisko społeczne są potraktowane jako oddzielne, wyraźnie różniące się rzeczywistości, podczas gdy pojedynczy człowiek, stojąc wobec całego środowiska jest tym samym jego członkiem. Św. Tomasz zawsze twierdziłby, że pojedynczy ludzie mają swoją rze-

czywistość, swój własny status ontologiczny, i że nie można ich sprowadzać do rzeczywistości całego środowiska społecznego. Zdaniem św. Tomasza społeczność ludzka i państwo są tak urządzone, że czyny i dzieła poszczególnych ludzi nie muszą być konieczne czynami i dziełami całej społeczności; podobnie, działanie całości jako takiej nie jest identyczne z działaniem pojedynczego człowieka.

Można podnieść zarzut, że wszystko to jest abstrakcyjną spekulacją; chcąc jednak wyrobić sobie zdrowy pogląd na zagadnienie winy zbiorowej, musimy uciec się do takiego założenia.

Wyznawcy zasady całkowitego indywidualizmu mogą wystąpić z zupełnie innym zarzutem — ponieważ opierają się na innej interpretacji stosunków ludzkich. Indywidualista będzie twierdził, że w istocie rzeczy są tylko indywiduala i że jeden osobnik stoi wobec wielu takich jak on. Dlatego nie istnieje społeczność jako całość. Z tego względu przyjmuje tylko jeden rodzaj sprawiedliwości — wzajemnej — ponieważ zawsze jest tak, że jednostki mają do czynienia z jednostkami. Każda faza życia społecznego u człowieka jest kompromisem między interesami jednostek o tych samych prawach.

Może najbardziej aktualna jest interpretacja trzecia, kolektywistyczna. Głosi ona, że nie ma takiej rzeczy jak własne prawo jednostki do wchodzenia w stosunki. Nie ma prywatnych związków między jednostkami. Życie człowieka ma charakter całkowicie publiczny, ponieważ jednostkę można zdefiniować na podstawie przynależności do grupy społecznej, która jest jedyną rzeczywistością. Oczywiście, żadna teoria społeczna nie może zmienić faktu, że jednostki pozostają we wzajemnych stosunkach. Nawet w najbardziej totalitarnych państwach mówiąc, zwracam się do danych ludzi, a więc do jednostek. Można jednak tego rodzaju stosunki uważać za oficjalne, jeśli nawet nie były takimi na początku. Z takiego rozumowania wynika, że nie mam do czynienia z moim przyjacielem, z żoną, ojcem, ale jedynie ze współfunkcjonariuszami sprawy państwa.

W rezultacie, wszelkie stosunki ludzkie są pojmowane jako miernik spełnianej funkcji i mogą być gwałtownie zerwane, jeśli nie dostosują się do ustanowionych norm. Przeróżające przykłady

Joseph Pieper

O SPRAWIEDLIWOŚCI

Książka znakomitego filozofa chrześcijańskiego, poruszająca zagadnienia ludzkiego współżycia. Powinna trafić do rąk każdego, kto szuka odpowiedzi na pytanie jaki powinien być stosunek człowieka do otoczenia i na jakich zasadach powinny opierać się stosunki międzyludzkie.

104 strony, kolorowa okładka
CENA 10/6 \$1.75.

Do nabycia we wszystkich księgarniach oraz u wydawcy

ODNOWA LIMITED

27, Hamilton Road,
Bedford Park,
London, W. 4.

tego rodzaju są nieodłączną częścią doświadczeń życia współczesnego. Nie trzeba dodawać, że taki punkt widzenia wyklucza całą koncepcję wzajemnej sprawiedliwości, która głosi, że człowiek ma prawo nie tylko w stosunkach z innymi ludźmi, ale i z całą społecznością. W ostatniej analizie nie do pomysłenia jest nawet tak pozornie nie naruszalna koncepcja jak sprawiedliwość prawna, która formułuje obowiązki jednostki względem państwa. Pojęcie sprawiedliwości straciłoby wogóle jakikolwiek sens.

Godny uwagi jest końcowy rezultat takiego rozumowania. Nie ulega wątpliwości, że sprawiedliwość jest zagrożona z chwilą, gdy pojawia się twierdzenie, iż nie ma potrójnej, podstawowej budowy życia zbiorowego (budowy w każdym przypadku niezależnej od innych), a w konsekwencji trzech zasadniczych form sprawiedliwości. Zdaje się, że ta potrójna struktura co najmniej pożądana jest dla usprawiedliwienia bardzo skomplikowanej rzeczywistości, wynikającej ze zbyt nieszczerze traktowanej koncepcji jednostki i społeczeństwa. Jest rzeczą oczywistą, że czysto intelektualne uznanie prawa rozróżnień koncepcyjnych nie jest czynnikiem decydującym, rzeczą istotną jest, by sprawiedliwość panowała w swych trzech formach i była rzeczywistością.

Przełożył A. Czulowski

STOWARZYSZENIE POLSKICH KOMBATANTÓW WE WŁOSZECH

pokoje gościnne dla przyjezdnych w lokalu własnym

R o m a , via Licia 19, int. 9.

LEKCJA 60 GODZIN WOJNY

W PRZECIĄGU 20 ubiegłych lat rozegrały się trzy wojny arabsko-izraelskie: pierwsza w roku 1948, która przyniosła powstanie państwa izraelskiego, druga w 1956, kiedy doszło do kryzysu sueskiego, a trzecia od 5 do 9 czerwca 1967, przy czym była to kampania zwana „wojną 60-godzinną“. We wszystkich tych trzech spotkaniach świat arabski został pokonany, a ostatnia klęska była najszybsza i najbardziej zdecydowana. W wojnie sueskiej można było mówić o interwencji dwóch państw, a zatem Anglii i Francji, które pozornie miały na celu rozdzielenie stron walczących, a w rzeczywistości zgnięcie Nassera — natomiast w czerwcu 1967 Izrael wystąpił sam i zademonstrował super-błyskawiczną wojnę, która jako plan kampanii i wykonanie nie ma sobie równej w dziejach wojen nowożytnych.

Zanim zajmemy się kampanią przeciwko trzem państwom arabskim: Egipcjowi, Jordani i Syrii i ewentualnymi następstwami tej wojny, rzucmy okiem wstecz na dzieje tego niespokojnego rejonu Afryki i Azji. Dawniej nosił on miano Bliskiego Wschodu, przypuszczalnie pod wpływem języka francuskiego, który ukuł pojęcie „Proche Orient“, a język francuski panował na tym terenie wśród warstw wykształconych i po dziś dzień zachował wartość zarówno kulturalną jak i użytkową. Od czasu pierwszej wojny światowej używa się coraz częściej wyrażenia „Środkowy Wschód“ pod wpływem nomenklatury angielskiej (Middle East)*. Stała się ona wyrazem przemian, jakie się dokonały w świecie arabskim, gdzie Anglia wkroczyła mocną stopą, interweniując na rzecz niepodległości nowych i starych państw arabskich przeciwko Turcji w czasie 1-ej wojny. Po długich sporach, intrygach i podchodach, Anglia wyklinowała Francję z tego obszaru, w czasie drugiej wojny światowej, kiedy to jeszcze Syria opowiadała się przy Francji i została zajęta przez wojska angielskie po powstaniu rządu Vichy. Marzenia Francji o wpływie na Bliskim Wschodzie zawaliły się.

Anglia nie od razu popierała świat arabski. Przeciwnie, opowiadała się ona po stronie Turcji, która rozciągała na

kraje arabskie swoje władanie coraz to bardziej słabe i skorumpowane. Anglii wygodna była słaba Turcja, z którą poszła razem na wojnę krymską przeciwko Rosji, aby zniweczyć marzenie rosyjskie wejścia przez Dardanele na Morze Śródziemne. Te próby rosyjskie powtarzały się raz po raz i jeszcze w roku 1940 Hitler łudził Mołotowa w czasie rozmowy w Berlinie wizją opanowania przez Rosję Dardaneli.

Anglia zwalczała nacjonalizm arabski, który ucieleśnił się w fanatyku sukańskim Mahdim i złamała ten ruch, zwany „mahdyzmem“, w bitwie pod Omdurmanem, opisaną tak barwnie przez młodego wówczas oficera Winstona Churchilla (w literaturze polskiej echa Mahdi'ego znajdziemy w „Pustyni i w Puszczy“ Sienkiewicza). Ale oto w roku 1914, kiedy Turcja opowiada się po stronie mocarstw centralnych, i kiedy Kaiser snuje plany o kolei Berlin-Bagdad, Anglia przerzuca się na stronę arabską i w toku działań wojennych atakuje Dardanele, które stały się widownią ciężkich strat brytyjskich i ustąpienia z rządu Winstona Churchilla. Świetny zespół znawców świata arabskiego rusza do Egiptu i stamtąd promieniuje w kierunku Syrii, Libanu i Jordani. Na czele ich stoi samotny awanturnik T.E. Lawrence, przezwany Lawrence Arabiskim — Lawrence of Arabia. Przedzierzga on się w Araba i organizuje partyzantkę na pustyni. Jego akcje nękające w stosunku do armii tureckiej zostają później wsparte pochodem regularnej armii marszałka Allenby i oto pod koniec wojny wyłaniają się nowe państwa arabskie.

Ale Anglia — jak często — siedzi na dwóch stołkach. Z jednej strony przejęta jest entuzjazmem dla wyzwolenia państw arabskich, przy czym ten entuzjazm podbudowuje cała ogromna literatura stawiąca piękno Arabii — z drugiej, w roku 1917 wydaje deklarację Balfoura o tak zwanym „Jewish Home“ w Palestynie. Arabowie już wtedy uznali to posunięcie za zdradę świata arabskiego przez Anglię.

„Jewish Home“ był skromnym początkiem, przy czym mało kto wierzył w powodzenie tego szaleńczego niemal przedsięwzięcia. Jeszcze przed pierwszą wojną powstawały na terenie Palestyny gminy żydowskie, złożone z uchodźców, głównie z Rosji, skąd przepędzili je prześladowania i pogromy. Te gminy wiązały się niekiedy w tzw. „Kibuce“, rodzaj gospodarstw zbiorowych, które stanowią jedyny przykład udanego i cywilizowanego komunizmu na świecie:

ale jest to oczywiście komunizm z dobrej woli, a nie z przymusu. Idea sionistyczna wyrażona przez takich zapaleńców, jak Żabotyński i inni, a podbudowana myślowo przez pisarzy takich, jak Nachum Sokolow, a potem Weizman, rozkwita i oto już przed drugą wojną sukces osiedli żydowskich w Palestynie jest faktem uznanym. Żydzi zmieniają zaniedbane ugory i pustynie w pola uprawne i ogrody i oto osiedla żydowskie stają się kwitnącą oazą w kraju, który pod rządami arabskimi był zapuszczonej i nędznej.

Przypuszczalnie, gdyby nie wojna 1939-45, gdyby nie Hitler, „Jewish Home“ rozrastałby się o wiele wolniej i może nie pojawiłoby się tak szybko państwo żydowskie. Prześladowania hitlerowskie i niełudzkość systemu hitlerowskiego sprawiły, że zapadła w duszy Żydów decyzja znalezienia miejsca pod słońcem, z którego nie byłoby ustawicznie przepędzani, miejsca wrośniętego w tradycję ich religii i obyczaju, gdzie Żydzi staliby się na nowo narodem i odzyskali godność i pełnię człowieczeństwa. Ten motor moralny i psychiczny był momentem rozstrzygającym i on to sprawił, że Żydzi po drugiej wojnie podjęli nierówną walkę zarówno z Arabami jak i z Anglikami, którzy piastowali mandat nad Palestyną. Już w tych walkach wykazali znakomitą robotę organizacyjną i to, że nauczyli się wszystkich lekcji od ruchu podziemnego, który działał w Europie przeciwko Niemcom.

Kryzys sueski wykazał, że Żydzi nauczyli się także taktyki wojny otwartej, a ich sukces na półwyspie Synajskim dowodził świetności ich myśli strategicznej. Jednakże nie był to sukces całkowity, albowiem dwa mocarstwa wdały się w walkę i przyczyniły się do klęski armii egipskiej. Izrael działał niewątpliwie w porozumieniu z Anglią i Francją — zupełnie niepotrzebnie. Dzisiaj jest rzeczą jasną, (a było już jasne 10 lat temu dla wielu obserwatorów), że Anglia i Francja tylko opóźniły akcję Izraela i że gdyby Izraelowi dać więcej broni i samolotów to wykończyłby szybciej i dokładniej Nassera i wkroczył zapewne do Kairu.

Starcie z roku 1956 wynikało z tych samych przyczyn co obecne: państwa arabskie nie chciały i nie chcą pogodzić się z faktem istnienia Izraela, nie mają stosunków dyplomatycznych z tym krajem i twierdzą, że między Izraelem a światem arabskim istnieje stan wojny. Tym samym Izrael istnieje bez

*) Nazwa Near East, używana rzadko, stosuje się przeważnie do Turcji. Niejednokrotnie i język polski używa dzisiaj miana „Bliski Wschód“ w odniesieniu do Turcji.

traktatu pokojowego i powołany został do życia przez ONZ i mocarstwa zachodnie w oparciu o ich gwarancje — ale przy całkowitej absencji Arabów. Jest to sytuacja paradoksalna, w której sąsiedzi Izraela nie chcą się zgodzić na fakt jego istnienia, a równocześnie ustawicznie głoszą hasło zniszczenia tego kraju i „wepchnięcia Izraelczyków do morza“. Przed kampanią czerwową 1967 r. propaganda arabska wpadła w istny szal oskarżeń i wymyślań, przy czym wyodrębniały się dwie deklaracje: Nasser'a i Faisala, króla Arabii Saudyjskiej. Pierwszy powiedział, że Egipt rozprawi się z Izraelem „na własną rękę“, i że nikt nie powinien się interesować tym porachunkiem, drugi — że celem polityki arabskiej jest zniszczenie Izraela, a właściwie jego „eksterminacja“. Było to dokładne powtórzenie słów Hitlera w odniesieniu do Polski i do Żydów. Nie można się dziwić, że te wypowiedzi arabskie wywołały falę niechęci do całej sprawy arabskiej, albowiem zbyt liczne miliony pamiętają słownictwo hitlerowskie i odnoszą się z nienawiścią do sformułowań, które stawały dany naród po za kręgiem narodów cywilizowanych.

Nie znaczy to bynajmniej, aby świat arabski nie miał pretensji, które można spokojnie i rzeczowo rozważyć. Najważniejsza realna pretensja to los pół milionowej rzeszy uchodźców palestyńskich, którzy dalej koczują na granicach Izraela w nędznych lepiankach i w namiotach. Arabowie głoszą, że nie mogą wchłonąć tej masy i przypuszczalnie mają o tyle rację, że bez pomocy kapitału światowego nie mogą dokonać przesiedlenia tej biedoty. Izrael powiada, że kraje arabskie z Jemenem włącznie, wypędziły ponad pół miliona Żydów, którzy jednak zostali wchłonięci przez Izrael i że rachunki są wyrównane. Ta teza nie załatwia sprawy i już teraz mówi się o zorganizowaniu odpowiednich kapitałów międzynarodowych dla przesiedlenia tych pół miliona Arabów w głąb krajów takich, jak Jordania, Syria czy Egipt.

Sądzić wolno, że plan całej akcji w maju-czerwcu 1967 r. przedstawiał się mniej więcej w ten oto sposób: od pewnego czasu Syria wzmogła swoje nękanie pogranicza izraelskiego przy pomocy artylerii i wypadów partyzantów, należących do tzw. Armii Wyzwolenia Palestyny. Ta organizacja ożywiła swoje działania od chwili, gdy w Damaszku doszedł do władzy komunistyczny niemal rząd syryjski. Kto wie, czy sztab Izraela nie doszedł do wniosku, że należy się rozprawić z Syrią, przeciwko której wysłano kilka ekspedycji karnych. Nasser postanowił uprzedzić ten ewentualny krok izraelski i wyprosiwszy siły porządkowe ONZ-tu z enklawy

Gaza i z wejścia do cieśniny Tirańskiej, podsunął swoje wojska pod granicę izraelską. Izrael znalazł się w potrzasku, z którego chciał się wydobyć przez apel do mocarstw zachodnich by oświadczyły się z pomocą dla Izraela. Jednakże tym razem Zachód zadecydował inaczej. Francja pierwsza ogłosiła swą neutralność, chociaż gros sprzętu lotniczego Izraela jest pochodzenia francuskiego (myśliwce Mystère i Mirage). Stany Zjednoczone powtórzyły tę samą tezę, a Londyn się do niej przyłączył. Podróż ministra spraw zagranicznych Izraela, Elbana, do Paryża, Londynu i Waszyngtonu nie dała wyników.

Izrael postanowił działać na własną rękę. Nie ulega dziś niemal już wątpliwości, że pierwsze uderzenie wyszło od Izraela, skierowane było na Egipt, a nie, jak przypuszczają sztab egipski — na Syrię. Izrael postanowił rozprawić się kolejno z trzema państwami w hierarchii ich niejako siły: Egipt był najmocniejszym przeciwnikiem, którego armia regularna wynosi blisko 200.000, podczas gdy armia regularna Izraela wynosi tylko 71 tysięcy. Potem przyszło uderzenie na Jordanię, które zmusiło Husseina do proszenia o zawieszenie broni, a potem cios w Syrię, który rozbroił pograniczne pozycje.

O kampanii izraelskiej będzie się pisać jeszcze bardzo wiele, podkreślając, że sztab izraelski nauczył się wszystkiego, czego się można było nauczyć z drugiej wojny i późniejszych konfliktów. Wojskowym przypadnie w udziale analiza tej świetnej kampanii, natomiast na tych łamach należy podsumować pewne polityczne wnioski i lekcje tego super-blitzu.

Kto jest zwycięzcą w tym konflikcie? Jest właściwie tylko jeden zwycięzca — Izrael, prawdziwy Dawid przeciwko Goliatowi, trzy-milionowy naród, który rozprawił się z masą 80-ciu milionów. Egipt, do którego Rosja wpompowała sprzęt wojenny kolosalnej wartości blisko 6 miliardów dolarów, zawiódł raz jeszcze jako siła militarna i jako przywódca świata arabskiego. Okazało się, że Egipt jest krajem cywilizacyjnie zacofanym, że żołnierz jego nie potrafi używać skomplikowanej broni nowoczesnej i że musi przegrać z państwem, które nie tylko ma broń i potrafi ją wyzyskać, ale walczy o własne istnienie. Rozumiemy teraz lepiej różnicę, jaka istniała między spadochroniarzami Francji i Anglii w roku 1956, a żołnierzami Izraela: pierwsi walczyli z obowiązkiem, mając za sobą raczej wrogie opinie publiczne własnych krajów*) —

*) Zwłaszcza w Anglii sprzeciw w stosunku do „awantury suezkiej“ był silny; kosztował on Edena premierostwo, a konserwatystów — niepopularność.

natomiast żołnierze izraelscy walczyli i wtedy i dzisiaj z głębokiego przekonania w oparciu o zjednoczony naród.

Izrael jest zwycięzcą — ale jak wykorzysta swój sukces? I tu zaczyna się wielka niewiadoma. Izrael chce bezśrednich rokowań z Arabami, ale Rosja torpeduje ten pomysł i nie wiemy, czy taki kraj jak Egipt, mający nadal Nasser'a u steru, zechce wogóle rozmawiać z Tel-Awiwem? Gdyby Nasser ustąpił, widoki Egiptu z Izraelem byłyby o wiele lepsze. Izrael usztywnił swoje stanowisko na tle reakcji krajów arabskich, które jakby niczego się nie nauczyły z klęski i powtarzają bajeczkę o interwencji angielsko-amerykańskiej jako decydującej dla losu kampanii, Izrael chciałby zapewne zatrzymać enklawę Gaza, całe miasto Jeruzolime, pewne pozycje w Syrii, część pasa pogranicznego z Jordanią celem wyprostowania zębatej i kapryśnej granicy i wejście do Zatoki Akaba. Przetarg będzie długi i ciężki, a ponieważ Rosja żąda wycofania się Izraela na dawne stanowiska, tak jakby nic się nie stało i grozi sankcjami wobec Izraela jeżeli tego nie zrobi, — obraz sytuacji nie jest zbyt optymistyczny.

Zwycięstwo Izraela jest ogromne, ale ciągle pozostaje pod znakiem zapytania owoc tego zwycięstwa: czy Arabowie potrafią dokonać uczuciowego i myślowego aktu zgody na istnienie Izraela? Jeżeli to się nie stanie, to, niestety, będziemy świadkami nowego gromadzenia się materiału palnego i nowego wybuchu za kilka lat. Wprawdzie Rosja przekonała się, że Arabowie są fatalną inwestycją militarną i polityczną, wprawdzie mówi się wiele, że Ameryka, Rosja, Anglia i Francja powinny kontrolować, a nawet zahamować dostawy broni na Bliski Wschód, to jednak wiemy, że takie obietnice przeważnie nie są spełniane.

Mocarstwa zachodnie nie mają się czym chlubić, albowiem okazały politykę raczej lękliwą, wyraźnie nacechowaną lękiem przed Rosją. Okazało się jednak, drugi raz już po Kubie, że Rosja jest słabsza aniżeli to myśli Zachód. Ameryka poszła niebywale daleko w swojej lojalności wobec Rosji, używając dalekopisu na linii Biały Dom-Kreml (tzw. hot line) dla powiadomienia Rosji nawet o takich faktach, jak odlot maszyn z lotniskowca 6-ej floty amerykańskiej, które niosły pomoc zaatakowanemu przez pomyłkę Izraela okrętowi „Liberty“. Najwięcej korzyści politycznych może wyciągnąć Francja, która stara się odegrać rolę arbitra między światem arabskim a Izraelem. Ale czy ta rola się powiedzie? Czy Rosja pozwoli na tego rodzaju interwencję Francji?

Rosja poniosła jeszcze jedną klęskę

Nowy grom z dwudziestoletniej chmury

B.D.I.C

„DWADZIEŚCIA LAT“

Za wcześniej jeszcze na analizie przebiegu i skutków nowego triumfu izraelskiego Dawida nad arabskim Goliatem, triumfu zaiste błyskawicznego, bodaj najszybszego w historii wojen. Za wcześniej tym bardziej, że mimo obecnej gotowości do zawieszenia broni niemal wszystkich kontrahentów walki mogą być wznowione i mogą się ślimaczyć lub nawet w szerszy konflikt rozszerzyć.

Warto natomiast przyjrzeć się jego prehistorii, obejmującej 20 lat włącznie 20 dni.

na terenie Azji i Afryki — a jeżeli policzymy te porażki Rosji, na obcych terenach, jak Kuba, Kongo, a teraz Egipt, to dojdziemy do wniosku, że rzekomo genialna polityka i dyplomacja radziecka z całym jej sprytem i przebiegłością nie zdołała nic wskórać. Nie ulega dziś wątpliwości, że na kilka tygodni przed kryzysem Gromyko, w czasie wizyty w Kairze dał swój placet Nasserowi na akcję zbrojną przeciwko Izraelowi. Rosja, jak się to mówi, „podała” świat arabski, a przekonawszy się, że jej sojusznik dostaje cieżki, szybko opowiedziała się za ONZ, chociaż przed tym akcją ONZ sabotowała.

Arabowie ponieśli jeszcze jedną klęskę, z której rozmiarów sobie jeszcze sprawy nie zdają. Tak zwana jedność arabska okazała się bardziej solidna niż w roku 1956, ale mimo to jest prawdziwa jedność dopiero muzyką przyszłości. Nasser poniósł klęskę jako samozwańczy leader świata arabskiego. Powrócił do władzy na fali historii tłumów kairskich, które instynktownie boją się zmian i widzą w Nasserze jakiś talizman w ciężkich czasach, jakie czekają Egipt.

Najważniejszy wniosek i lekcja jaką wysnuć należy z tych rozważań to teza, że nikomu nie pali się do wojny światowej — z Rosją włącznie, która nie chce ryzykować konfliktu, ani dla pięknych oczu Fidela Castro, ani prezydenta Nassera. Jest to niewątpliwie pocieszające, chociaż opinia Zachodu wolałaby widzieć bardziej zdecydowaną postawę wielkich demokracji, które dalej paraliżowane są niepotrzebną trwogą przed Rosją. Opinia cywilizowanego świata cieszy się, że wygrał mały naród, który zdobył sobie prawo do samodzielności i człowieczeństwa przez swój konstruktywny trud i patriotyzm ludu, który powrócił na dawną ziemię swoich biblijnych ojców.

Zbigniew Grabowski

Dnia 29. listopada 1947 postanowiło walne zgromadzenie ONZ podzielić palestyńsko-jordański mandat Wielkiej Brytanii na dwa niezależne państwa, Izrael i Jordanię. Wobec nieustannych zamieszek Londyn pozbywa się go chętnie.

14. maja 1948 powstaje rząd izraelski i obwieszcza powstanie niezawisłego Izraela, co wywołuje zbrojną interwencję wszystkich sąsiednich państw arabskich.

Po ciężkich i krwawych zmaganiach dochodzi w czerwcu i lipcu 1949 roku do kolejnych ugód, zawieszających walki i akceptujących narzucone przez O.N.Z. rozgraniczenia, które żadnej strony nie zadowala. Dziwacznym to rozgraniczeniem, przepoławiając Jerozolimę i pozostawiając znaczną część prawobrzeżnej Palestyny w rękach Jordanczyków, a Gazę w rękach Egipcjan, wytworzyło pozornie beznadziejną sytuację strategiczną Izraela. Sytuację tym groźniejszą, że arabscy sąsiedzi bynajmniej nie wyrzekli się dążenia do całkowitej likwidacji izraelskiego „nowotworu“.

W maju 1950 r. Stany Zjednoczone, Wielka Brytania i Francja zagwarantowały nienaruszalność jego granic, zbliżających się w centrum na zaledwie 12 mil do morza, ergo niemal go przepoławiających. Nie dziw, że obie strony zbroją się w miarę swych szczyptych środków, początkowo głównie przy pomocy Wielkiej Brytanii i Francji.

Wycofanie wojsk brytyjskich ze strefy kanału sueskiego w 1954 r. zwiększa możliwości dojścia do ponownego konfliktu. Zwłaszcza, gdy Nasser zaczął otrzymywać coraz to większe dostawy sprzętu uzbrojeniowego z Sowietów i Czechosłowacji i w lipcu 1956 kanał sueski upaństwowił i dla żeglugi izraelskiej zamknął.

W dobrze zakonspirowanym porozumieniu z Londynem i Paryżem Izrael uderzył 29. października 1956 i w błyskawicznej kampanii rozbił niemal całą armię egipską i zajął cały Synaj, zanim desant brytyjsko-francuski zajął Port Said, a lotnictwo brytyjskie wyeliminowało nasserowskie lotnictwo, wówczas jeszcze słabe. Jak wiadomo, zwycięstwo to nie zmieniło położenia Izraela (poza osłabieniem jego głównego wroga — Egiptu), bo pod groźbą sowiecką i presją amerykańską siły brytyjsko-francuskie zostały z Egiptu

odwołane, a ONZ zmusza Izrael do wycofania swych zwycięskich oddziałów za granicę z 1949 roku. Tyle tylko się zmieniło, że zapalny odcinek Gazy został zabezpieczony przez dostanie 6.000 żołnierzy ONZ.

W latach 1957, 1963 i 1966 kolejni prezydenci Stanów Zjednoczonych ponowili gwarancję wszystkich granic na Środkowym Wschodzie, a więc także izraelskich. Nie zapobiegło to ani licznym przewrotom w Syrii, Libanie i Iraku, ani gwałtownemu dozbrajaniu Egiptu, Syrii i Iraku przez Sowiety, ani interwencji Egiptu w Jemenie, ani jego uporczywym próbom zjednoczenia świata arabskiego do „świętej wojny“, ani coraz liczniejszym utarczkom granicznym. Spór o użycie wód Jordanu dolewał oliwy do ognia. Że w tych warunkach także Izrael się dozbrajał i swoje pogotowie usprawniał, jest rzeczą zrozumiałą. Wszak był zagrożony z wszystkich stron przez sąsiadów, wprawdzie poważniejszych, ale gwałtownie się zbrojących i dysponujących wielokrotnie większym potencjałem ludzkim, blisko 100 milionów mieszkańców całego świata arabskiego, a 40 milionów bezpośrednich sąsiadów wobec 2,5 miliona mieszkańców Izraela.

DWADZIEŚCI OSTATNICH DNI

15. maja Izrael czci 20-lecie odzyskanej niepodległości wielką paradą w Jerozolimie. Równocześnie nadchodzą pierwsze wiadomości o ruchach wojsk egipskich w kierunku granicy izraelskiej.

16. maja Egipt ogłasza stan alarmowy znacznej części swych sił.

17. maja Syria idzie w jego ślady, a Nasser po raz pierwszy domaga się wycofania wojsk ONZ z nad granicy egipsko-izraelskiej.

18. maja sekretarz ONZ, U-Thant otrzymuje quasi ultimatum egipskie w tej sprawie i potulnie mu ulega, rozuczalając tym „bluffującego“ Nassera. W rezultacie także Irak, Jordania i Kuwajt ogłaszają stan alarmowy, a Izrael odpowiada wydaniem „odpowiednich zarządzeń“.

19. maja wojska ONZ zaczynają opuszczać rejon Gazy, w którym tkwiły, póki konflikt nie groził bezpośrednio.

20. maja Izrael zaczyna powoływać rezerwistów, Egipt ogłasza mobilizację, zaś 21. maja obie strony zaczynają pociągnąć wzmacniać obsadę granic.

22. maja Egipt zapowiada kontrolę żeglugi w zatoce Akaba i jej zamknięcie.

23. maja U-Thant przybywa do Kairu. Mimo to Egipt blokuje cieśninę tirańską dla statków izraelskich i innych wiozących materiał strategiczny do izraelskiego portu Eilat. Waszyngton uznaje ten krok za nielegalny i ostrzega Egipt. Londyn szuka poparcia innych państw morskich, ale Saudi Arabia zmienia front, ogłasza swoje poparcie dla Egiptu i kieruje część swych szczyptych sił w kierunku Akaby.

24. maja następuje wreszcie zwołanie Rady Bezpieczeństwa ONZ, a gen. de Gaulle wysuwa projekt zwołania konferencji „wielkiej czwórki“, zresztą odrzucony przez Moskwę. Jordania wyraża zgodę na wkroczenie wojsk irackich i saudyjskich na jej terytorium, zaś Sowiety domagają się nie tylko wycofania 6. floty amerykańskiej, ale także nielicznych okrętów brytyjskich z Morza Śródziemnego.

25. maja Izrael żąda od ONZ odblokowania zatoki Akaba, przez którą importował blisko 90% materiałów pędnych i eksportował 20% swoich produktów. Prezydent Izraela przerywa swoją podróż dokoła świata. Wojska irackie i saudyjskie zaczynają przechodzić przez teren jordański ku granicy izraelskiej.

26. maja Algieria zarządza częściową mobilizację, a Ameryka rozpoczyna ewakuację rodzin i turystów ze Środkowego Wschodu.

27. maja U-Thant składa b. pesymistyczne sprawozdanie Radzie Bezpieczeństwa, a Nasser grozi wojną totalną i zniszczeniem Izraela.

28. maja Nasser ostrzega, że zamknie kanał sueski dla żeglugi tych państw, które w taki czy inny sposób będą popierać Izrael.

29. maja Rada Bezpieczeństwa obraduje bez jakiegokolwiek rezultatu, a w Izraelu wzrasta opozycja przeciw oczekującej taktyce premiera Eshkola oraz presja w kierunku rozszerzenia podstawy rządu i powierzenie teki ministra obrony bohaterowi z 1956 roku, gen. Dayanowi.

30. maja Turcja wyraża zgodę na przepuszczenie 10 okrętów sowieckiej floty czarnomorskiej przez Bosfor i Dardanele na Morze Śródziemne, o którą Moskwa prosiła przed tygodniem. Król jordański, Hussein, do niedawna gwałtownie zwalczany przez propagandę egipską, zawiera w Kairze sojusz zaczepno-odporny z Nasserem.

31. maja Jordania zarządza mobilizację.

1. czerwca następuje reorganizacja rządu izraelskiego. Gen. Dayan zostaje ministrem obrony, co bardzo podnosi na duchu nie tylko wojsko, ale także szerokie masy. Za to Libia dołącza do

wspólnego frontu arabskiego i grozi poplecznikom Izraela wstrzymaniem dostaw nafty, które byłoby szczególnie dotkliwe dla NRF, sprowadzającej z Libii 34% swych materiałów pędnych.

2. czerwca mnożą się demonstracje antyizraelskie i „prowojenne“ w różnych stolicach arabskich, jednak niezbyt masowe i żywiołowe. Przywódca uchodźców arabskich z Palestyny, Szukeiry, odgraża się, że wkroczy „lada godzinę“ do Izraela na czele swych oddziałów i „commandosów“. Wielka Brytania domaga się zbiorowego wystąpienia państw morskich i przesuwania jedną eskadrę bombową na Maltę. Amerykański lotnikowiec „Interpide“, a następnie 1 niszczyciel przepływa, za zgodą Egiptu, przez kanał sueski na Morze Czerwone, natomiast Francja ogłasza ścisłą neutralność. Na granicy syryjsko-izraelskiej dochodzi do nowych utarczek.

3. czerwca Nasser odbywa długą konferencję z egipską starszą armią i przedstawicielami armii sojusznicych, natomiast bezradna Rada Bezpieczeństwa odkłada swoje debaty do poniedziałku, czyli 5. czerwca.

4. czerwca Irak dołącza do paktu egipsko-jordańskiego.

5. czerwca rano wybucha III. wojna izraelsko-arabska.

Rzecz jasna, że obie strony próbują obarczyć przeciwnika odium i odpowiedzialnością za jej wywołanie. Choć narazie spór ten nie jest ostatecznie wyjaśniony, prawdopodobniejsza jest wersja, że tym razem Izrael ubiegł nie całkiem jeszcze gotowych do uderzenia agresorów, zaskoczył i w znacznym procencie zniszczył na ziemi ich lotnictwo i błyskawicznymi uderzeniami

rozbił i zdemoralizował wysunięte ku granicy lądowe siły egipskie i jordańskie. Wszak jedynie takie przewencyjne uderzenie mogło dać supremację w powietrzu, wyrównać dysproporcję sił lądowych i umożliwić wykorzystanie krótkich linii wewnętrznych do kolejnego bicia przeciwników.

Sytuacja była o tyle gorsza niż w 1956 roku, że tym razem dowództwo izraelskie musiało się liczyć z interwencją pozostałych sąsiadów i to daleko lepiej uzbrojonych niż w 1956 r. Jeśli mimo to zaryzykowało rzucenie niemal 2/3 sił (rzekomo 18 brygad) przeciw Egiptowi, to świadczy to zarówno o jego śmiałości i słusznym zaufaniu do dzielności, inteligencji i sprawności izraelskiego żołnierza i lotnika, jak i o trafnej ocenie niezbyt wysokich kwalifikacji przeciwnika, który nawet na morzu nie próbował wykazać swojej wyraźnej przewagi.

To też, choć stare powiedzonko mówi, iż „tak się wojuje, jak przeciwnik pozwala“, osiągnięcia dowództwa i żołnierza izraelskiego zasługują na szczerzy podziw. Wygranie I. fazy wojny w tak trudnych warunkach i tak krótkim czasie jest osiągnięciem imponującym. Bez względu na to, czy na niej to starcie narazie się skończy, czy do wznowienia walk dojdzie i jaki byłby ich przebieg. Wszak triumf ten dał już Izraelowi możliwość rozmawiania z pozycji siły, obalił Nassera, nastraszył i zdemoralizował pozostałych przeciwników i zdecydowanie poprawił strategiczną sytuację żydowskiej wysepki. Wobec słabości izraelskiego przemysłu uzbrojeniowego i braku paliwa — ostateczne efekty tych osiągnięć zależeć będą w dużym stopniu od postawy mocarstw. Oby nie powtórzył się rok 1956.

GROMWELL ROAD
EARLS COURT
KENWAY RD 66
HOGARTH ROAD
KNARESBOROUGH
EARLS COURT GDS.
BARKSTON
BRAMHAM GDS.

NOWY ADRES KSIĘGARNI
• ORBIS •
66, KENWAY ROAD S-W-5
tel. 370-2210
3 minuty wolnym krokiem
OD STACJI EARLS COURT
5 minut od
CROMWELL ROAD AIR TERMINAL

Sklep otwarty codziennie do 6-tej,
w soboty — do 5-tej
ZAWSZE NA SKŁADZIE
WSZYSTKIE NOWOŚCI
Wiele wartościowych wydawnictw
z dawnych lat
PO CENACH BARDZO ZNIŻONYCH

•
KSIAŻKI ROSYJSKIE
WYDANE NA EMIGRACJI

•
WIELKI WYBÓR POLSKICH
PLYT GRAMOFONOWYCH

•
Katalogi wysyłamy na żądanie
bezpłatnie.
Zamówienia pocztowe wykonujemy
natychmiast.

Tytuł banalny, spłowiwały... Ale „szczelnie przystaje“ do tematu. Pragnę bowiem po prostu przypomnieć czytelnikom „Orla“ o Polskim Towarzystwie Historyczno-Literackim w Paryżu, z okazji wymaganych przez statut wyborów do Rady po upływie każdego pięciolecia.

Najstarsza (z istniejących) instytucja kulturalna polska na Zachodzie, jednocząca od zarania swego istnienia największe imiona Polski walczącej o byt niepodległy. — Tow. Hist.-Literackie — stało się symbolem zorganizowanej woli moralnej narodu do przetrwania klęski i przełamania złego Losu, który zawisł na długo nad ojczyzną Kościuszki.

Korowód wielkich i drogich sercu polskiemu imion snuje się już od kolebki Towarzystwa: Adam Mickiewicz, Julian Ursyn Niemcewicz, książę Adam Czartoryski, Juliusz Słowacki, Fryderyk Chopin, Cyprian Norwid... Nie będziemy wyliczać...

Towarzystwo Hist.-Literackie staje się odrazu żywym, pełnym zmagania duchowych i ostrych nieraz starć — dość wspomnieć o zderzeniach takich postaci jak Mickiewicz i Słowacki — prawdziwym parlamentem duchów polskich, nieustępliwie myślą i sercem walczących o wolność i niepodległość ojczyzny. W tych walkach i szermierce nie zapomniano nigdy o wielkim i wspólnym celu. Służono mu wiernie, pracowicie, state-

Z. L. ZALESKI

ZMIANA WARTY

B.D.I.C

cznie. Tak z Towarzystwa wykwitła przede wszystkim Biblioteka Polska — wspaniały warsztat pracy naukowej, ognisko kultury polskiej na Zachodzie, podsycane nieustannie przez skromnych nieraz, ale żelaznej woli „robotników bożych“.

W połowie ubiegłego stulecia, już we własnym, do dziś istniejącym domu na Quai d'Orléans, dzięki materialnemu poparciu całej walczącej Emigracji, a także — nie zapominajmy — sutej pomocy takich „emigrantów z ducha“ jak Zygmunt Krasiński, Biblioteka Polska staje się prawdziwą perłą wśród podobnych instytucji, stwarzanych przez inne emigracje na ziemi francuskiej.

Za drugiego Cesarstwa Tow. Historyczno-Literackie staje się instytucją użyteczności publicznej — przywilej zaszczytny, równie cenny moralnie jak użyteczny.

Gdy po barbarzyńsko-niszczycielskim „splondrowaniu“ zbiorów bibliotecznych przez nazistów*) czcigodne instytucje z Quai d'Orléans wróciły do przerwanej działalności, Tow. Hist.-Literackie — dzięki cennym darom i zapisom — mogło podjąć ze zdwojoną energią swe tradycyjne zadania. Zapis śp. Kamila Gronkowskiego, honorowego dyrektora muzeów paryskich, syna powstańca z 63 roku, dał Towarzystwu nie tylko zbiory wielkiej ceny, ale także piękną willę z ogrodem w Dinard St. Enogat, z której korzystają od wielu już lat członkowie Towarzystwa z Francji, a także — ku radości naszej — i z Anglii. Ten wspaniały zapis śp. Kamila Gronkowskiego nie był jedyny — że wymienię tu jeszcze legat znakomitego rzeźbiarza śp. B. Biegasa.

Bogacąc zbiory biblioteczne, archiwalne i muzealne, Towarzystwo stało się prawdziwą ostoją wielkiej tradycji emigracyjnej. Służy temu celowi przede wszystkim bogata Biblioteka Polska,

*) Godzi się wspomnieć, iż dzięki przezorności dyrektora, ministra Fr. Puławskiego i wszystkich jego współpracowników: dra Czesława Chowańca, p. Bronisławy Mońkiewiczówny, p. Ireny Gałęzowskiej i p. Wandy Borkowskiej, oraz dozorujących: p. Bzyla i p. Zajdlera, oraz dzięki ofiarnej i odważnej pomocy wielu Francuzów, jak np. H. de Montfort, dyr. Robiquet (dyr. Musée Carnavalet), udało się ocalić najcenniejsze dokumenty i pamiątki.

otwarta dla każdego bez wyjątku pracownika i czytelnika służą liczne odczyty, obchody uroczystości narodowych, wystawy, urządzone ze znanstwem, a także systematyczne wykłady w Centre d'Etudes Slaves Uniwersytetu Katolickiego w Paryżu, pod pieczołowitą opieką p. Ireny Gałęzowskiej. Wykłady te wybitnych profesorów polskich i francuskich — że wymienimy jeden z ostatnich, dostojnego prelegenta, biskupa francuskiego, Msgr. Rupp'a — przynoszą słuchaczom wiedzę o Polsce, nieskażoną żadną zaprawą polityczną, wiedzę prostą i czystą.

Całe życie Tow. Hist.-Literackiego pełni się najbujniej, coraz bujniej na ziemi francuskiej, zmierzając zgodnie z kierunkiem prądu dziejowego, do wzmocnienia i pogłębienia współzycia potomków dawnych emigrantów z zastępnymi nowych wyznawców religii wolności, oraz tych Francuzów, a jest ich niemało, którzy uczestniczą przyjaźnie, sercem i umysłem, w twarzym ale wzniosłym dramacie narodu polskiego. Ten dialog ludzkich pokoleń wymaga, oczywiście, wiary w jego piękno i skuteczność, a także wzajemnej, a przyjaznej wyrozumiałości. Stosuje się to również — winno się w całej pełni stosować — do różnorodnych z natury rzeczy przekonań politycznych i społecznych liczących, coraz liczniejszych, członków Towarzystwa. Szacunek dla cudzego zdania i kultury prawdy nie tylko umożliwiają współzycie, ale podnoszą poziom i skalę moralną życia.

Zmiana warty, to jest wybory wymagane przez Statut, niekoniecznie musi pociągnąć za sobą zmianę osób na posterunku. Godzi się wspomnieć, iż przez długie lata — lata walki, pracy i rozrostu — przewodniczył i dalej przewodniczy Radzie Towarzystwa książę Andrzej Poniatowski, wice-przewodniczącym jest ambasador Kajetan Morawski, skarbnikiem gen. Józef Jaklicz, zaś niestrudżonym zastępcą sekretarza generalnego, dr Czesław Chowaniec. Oszczędźmy im wszystkim należnych pochwał. Wszyscy zasłużyli się ofiarnie i szlachetnie Towarzystwu rosnącemu w liczbę i wpływy, wszyscy zasłużyli niewątpliwie na „panis bene merentium“. Tym chlebem dobrze zasłużonych jest dla obywateli pracujących na niwie społecznej możliwość dalszej pracy na dobrze już przez nich zorany zagonie.

NOWOŚĆ!

Kazimierz Sosnkowski MATERIAŁY HISTORYCZNE

Autor, jedna z czołowych postaci naszego życia wojskowego i politycznego przed r. 1939 i w czasie ostatniej wojny, znany najszerszemu ogółowi polskiemu w Kraju i na emigracji.

Tom „Materiały“ jest zbiorem rozkazów, wypowiedzi politycznych i wojskowych, artykułów i wywiadów z okresu wojennego i powojennego, poprzedzonym zarysem biograficznym ujętym w formie artykułu encyklopedycznego.

Stron 720. Oprawa płócienna

Cena: 63/-; \$ 9.00; F. 45.00

GRYF — KSIĘGARNIA S.P.K.
20, Queen's Gate Terrace,
London, S.W.7

i we wszystkich księgarniach polskich

D WADZIEŚCIA dwa lata minęły od postanowień jałtańskich, w wyniku których Polska utraciła na rzecz Rosji sowieckiej Kresy Wschodnie, i tyleż samo lat od powrotu do Macierzy prastarych ziem piastowskich nad Odrą i Nysą Łużycką.

Przez te dwadzieścia dwa lata Ziemię Zachodnie zostały odbudowane po zniszczeniach wojennych polskim wysiłkiem — polską pracą, polską myślą, polskimi pieniędzmi. Dziś na tych ziemiach mieszka około 8,5 miliona Polaków i tylko 3.000 Niemców. Około 4 miliony Polaków urodziło się na tych ziemiach, wychowało lub wychowuje, skończyło szkołę lub uczy się i pracuje. Uważają oni tę ziemię za swoją, jedyną i nie wyobrażają sobie, ażeby ją kiedykolwiek mieli oddać z powrotem w ręce niemieckie. Ale nie tylko oni tak myślą. Wszyscy Polacy są zdecydowani zatrzymać te ziemie na zawsze przy Polsce. Każde zatem zakwestionowanie ostatecznego prawa Polaków do posiadania tych ziem żywo ich niepokoi i na tym jedynym punkcie komunistyczna propaganda ma pewien na nich wpływ. Polacy bardzo dobrze zdają sobie sprawę, że ugoda z Niemcami — w tej sprawie i innych — jakkolwiek pożądana i konieczna nie będzie jednak łatwa do osiągnięcia po uwolnieniu od komunistycznych reżymów, gdyż Polacy nie pójdą, chociażby na najmniejsze ustępstwa terytorialne.

W tym samym czasie, Kresy Wschodnie, bezprawnie oderwane od Polski, stały się terenem bezprzykładnej rasyfikacji. Lecz mimo tego polskość na tych terenach żyje. I tak np. „w oblasti grodzieńskiej“ jeszcze w chwili obecnej ludność polska stanowi ponad 30%, w niektórych rejonach Wileńszczyzny aż 65%, w samym Wilnie około 60.000 i we Lwowie około 20.000. Po dwudziestu dwu latach rasyfikacji, nie udało się nowym carom wyrwać Polakom ziemi ich ojców, wiary rzymskiej, ani zniszczyć doszczętnie życia kulturalnego. A nieoficjalny nakaz (szczególnie na Białorusi): „Goworit po polski wospreszczajetsia“ najlepiej udowadnia polskość tych ziem.

Wobec tego, jakie stanowisko w sprawie Kresów Wschodnich zajmują mieszkańcy tych ziem, a więc Polacy, Ukraińcy i Białorusini, Polacy wysiedleni ze swej ojcowizny, reszta Polaków w kraju, targowica komunistyczna rządząca tą częścią Kraju, która stanowi Polskę tzw. Ludową i emigracja? Zaczniemy od komunistów.

Reżym komunistyczny z wiadomych powodów zaprobował zabór Kresów Wschodnich. I nie tylko z nich zrezygnował, ale i również zabronił ich byłym mieszkańcom nawet pisać oraz mówić o nich. Dlatego Gomułka już

MARIAN KAŁUSKI

Czy możemy

kilka lat temu zapewniał, że problem ziem wschodnich nie istnieje w świadomości społeczeństwa, które z utratą tych ziem jakoby się pogodziło. Że tak jednak nie jest udowodnił sam Zenon Kliszko, który przyznał, że w pewnych kołach społeczeństwa istnieje program odzyskania ziem wschodnich. Z wściekłością nazwał ten program „obłędnym“. Ale myliłby się ten, który by myślał, że z Kresów Wschodnich zrezygnowali wszyscy komuniści. Przeciwnie, wielu członków i aktywistów partyjnych zajmuje stanowisko całkiem sprzeczne z górną partyjną. Otóż nasz bardzo dobry znajomy, komunista z przekonania, nie tylko chciałby widzieć Polskę w granicach według traktatu ryskiego z 1921 r., ale — jak to mówi — i z polskim Kamieńcem Podolskim. Zaznaczył przy tym muszę, że osoba ta pochodzi z kieleckiego, a więc nie ma żadnych powiązań z Kresami.

A oto inny wypadek. Jadąc z Kołobrzegu do Poznania, miałem możność przysłuchiwania się rozmowie prowadzonej między dwoma mężczyznami. Rozmowa z tematu politycznego (w czasie której okazało się, że mężczyzna popierający politykę reżymu jest pracownikiem ministerstwa sprawiedliwości, i że wraca z delegacji) zesłała na temat ziem utraconych. Politruc, oczywiście, zaczął mówić, że tak powinno być, że my do tych ziem nie mamy prawa itd. itd. Drugi odpowiadając powiedział, że jest kresowianinem, z Wołynia, z Kostopola, i że nigdy nie wyrzeknie się ziemi swych ojców i dziadów, którzy w powstaniach przelewali krew za polskość tych ziem, za język polski i wiarę rzymską.

— To moja ziemia rodzinna, tam mój dom, tam skończyłem szkołę, zacząłem pracę, ożeniłem się i tam walczyłem z okupantem w szeregach AK. Czy pan to rozumie? Czy pan byłby w stanie wyrzec się tego wszystkiego, zapomnieć? Na pewno nie. — I po chwili zapytał: — A czy wolno wiedzieć, skąd pan pochodzi?

— Ze Stanisławowa.

— Ze Stanisławowa — wykrzyknął ze zdumieniem. — To pan też kresowianin! Kresowianin, który jest obojętny na los swej rodzinnej ziemi, swej historii życia!... Kto panu tak kazał, kto panu zabronił tego prawa? Prawa do tęsknoty do utraconej ziemi, prawa do jej odzyskania i życia na niej? Gdy tamten nic nie odpowiedział, ciągnął dalej: — Czy nie chciałby pan Polski, do jakiej mamy prawo?!

— No widzi pan... — zaczął stękając politruk, ale tamten nie czekając na to, co mu rozmówca wystęka, ironicznie spytał

— Jaki z pana Polak?!

— Jaki Polak?! — powtórzył politruk z oburzeniem. — Taki sam jak pan — powiedział stanowczo, i drżącym głosem dodał: — Bardzo bym chciał, ażeby Polska była duża i żebym mieszkał w Stanisławowie, ale co mam zrobić? Głową muru nie przebijesz... — A po chwili, westchnąwszy jeszcze, rzekł:

— Ach ta Worochta, jakie to piękne letnisko.

— A więc, czy możemy zrezygnować z Kresów Wschodnich? Chyba nie, bo jeśli sami komuniści nie zrezygnowali, to cóż dopiero inni?

Miałem możność przemierzyć Polskę wzdłuż i wszerz i na własne oczy widziałem, jak Kresy zdobyły serca wszystkich Polaków. Wypędzeni z ojcowizny, Kresowianie rozproszyli się po całej Polsce. Oczywiście, największej Kresowianów osiedliło się na Ziemiach Odzyskanych. Pokochali nowe siedziby, ale o swojej rodzinnej ziemi nie zapomnieli, pielęgnując regionalne tradycje. Dziś w kościołach całej Polski są obrazy Matki Boskiej Ostrobramskiej i inne pochodzące z Kresów. Potrawy kresowe można spotkać na stołach autochtonów, a wielką spuścizną kulturalną przejęło całe społeczeństwo. Kresowianie nie tylko, że nie zapomnieli o Kresach, ale również z nich nie zrezygnowali. Pamiętam jak będąc na Pomorzu, wstąpiłem do domu mego szkolnego kolegi. W stołowym pokoju rzuciła mi się w oczy drewniana kapliczka ostrobramska z pałacą się małą żaróweczką. — „Tak długo, jak się ona pali, nie tracę nadziei powrotu do Wilna“ powiedziała matka widząc moje nią zainteresowanie. Natomiast we Wrocławiu widziałem pierwszy raz dużych rozmiarów brązowy herb miasta Lwowa. Było to w jednym z kramów w śródmieściu. Właściciel sklepiku powiedział, że to jest jego największy skarb, skarb — wiara w lepszą przyszłość miasta zawsze wiernego, odznaczonego orderem Virtuti Militari.

Prof. M. Korowicz, który opuścił Polskę w 1953 roku w swej książce „W Polsce pod sowieckim jarzmem“ pisze m.in.: — „... Wiem, że kresowcy z Wołynia, Podola, Polesia, Podlasia tęsknią do powrotu tych ziem do Polski i za zdrajcę uważają każdego, kto z nich na

zrezygnować ?

rzecz Ziemi Odzyskanych rezygnuje, wiem, że jest duży odsetek takich, którzy uważają, iż za wymordowanie 6-ciu milionów obywateli polskich, katolików i żydów, i zniszczenie Kraju z Warszawą na pierwszym miejscu, Ziemię Odzyskaną należą się Polsce Boskim i ludzkim prawem, a ziemię wschodnie, zabrane przez Sowiety, po dawnemu, wszystkie, a nawet z Mińskiem, do Rzeczypospolitej powrócić powinny. Wiem, że wielu chłopów i robotników w centrum obecnej Polski kwestje te mniej przejmują, zaś pasjonują kresowców wschodnich (obecnych), bo chcieliby być wraz ze swą ziemią głębiej w Polsce, a nie nad niebezpieczną granicą, i kresowców zachodnich (obecnych), bo do ziemi, na które ich przesiedlono, przywarli już duszą i ciałem“.

Z powyższym twierdzeniem możemy się zgodzić, gdyż wydaje się być logicznym. Cały bowiem Naród obecną granicę polsko-sowiecką nazywa granicą bezprawia i krzywdy.

Jednakże prof. Korowicz stwierdza również, na podstawie licznych rozmów, że: — „... Polacy chcą być wyłącznymi gospodarzami w swym kraju. Nie chcą mniejszości, nie chcą rządzić Ukraincami i Białorusinami. ...W tym rozumieniu trzeba zrezygnować ze Stanisławowa, Kołomyi, Tarnopola, wschodniej części województwa lwowskiego, wołyńskiego wraz z Równym, poleskiego, nowogródzkiego, tj. z jakichś dobrych 100.000 km.kw. przedwojennego terytorium Polski. ...Natomiast muszę stwierdzić, że nigdzie i nigdy w ciągu siedmio i półletniego pobytu w Polsce (1946-1953) nie usłyszałem ani od jednego Polaka, który by zrzekał się Lwowa i Wilna. Wszyscy bezwzględnie upierają się przy racjonalnej granicy, biegnącej od Lwowa do Wilna, lekko wygiętej ku Zachodowi, z Borysławiem, Drohobyczem i Truskawcem“.

Osobiście muszę przyznać, że aczkolwiek byłem w Polsce do 1964 r. nigdy nie miałem okazji zapoznania się z tym „ogólnie przyjętym“ planem racjonalnej granicy. Poza tym twierdzenie to jest sprzeczne z pierwszym, gdzie autor wyraźnie stwierdza, że całe społeczeństwo polskie w mniejszym lub większym stopniu jest zainteresowane sprawą powrotu ziem wschodnich (nawet z Mińskiem) do Polski. Poza tym, dlaczego mamy zrezygnować z granicy według traktatu ryskiego? Czy tylko dlatego, że w granicach tych mieszkają również Białorusini i Ukraińcy? Przecież fakt prawny traktatu ryskiego dostrzegł sam prezes wykonawczego

organu Ukraińskiej Rady Narodowej, M. Liwycy. Przecież sami Rusini stwierdzają, że są pod każdym względem bardziej zbliżeni do Polaków niż do naddnieprzańskich Ukraińców.

W traktacie ryskim zrezygnowaliśmy z Mińska, Żytomierza, Kamieńca Podolskiego, choć na tych ziemiach mieszkało tysiące Polaków, choć do ziem tych mieliśmy historyczne i moralne prawo. Poszliśmy na kompromis i zrezygnowaliśmy z tych ziem tylko dlatego, że Ukraińcy i Białorusini to też ludzie, to też patrioci, którzy dążą do własnego niepodległego bytu, a ziemię te były głównie przez nich zamieszkałe. Ale dlaczego zrezygnować mamy z ziem na zachód od granic traktatu ryskiego? Przecież na wielu obszarach myśmy stanowili tam większość (Wileńszczyzna, Nowogródzkie, Podole). Dlaczego mamy zrezygnować z czarującego Polesia, z jarów Podola, z winnic Zaleszczyk, z pagórków leśnych, szeroko nad błękitnym Niemnem rozciągniętych, z połonin Czarnohory, z

Liceum Krzemienieckiego, z czarodziejskiej Świtezi, z „morza“ naroczańskigo, z Ławry Poczajowskiej, z wrzosów Wołynia, z romantycznej Holczy, ze Zbaraża, Trembowli, Zaosia? Czy możemy zrezygnować z rodzinnej ziemi Mickiewicza, Kościuszki, Słowackiego, Kołłątaja, Piłsudskiego, Reja, Rejtana, Traugutta, Sobieskiego, Rodziewiczówny, Karpińskiego, Ogińskiego i tylu set innych Polaków, bez których Polska nie byłaby Polską? Chyba nie, bo czy znalazłby się ktoś kto by wbił nóż w serca Polaków mieszkających również poza Lwowem i Wilnem? Wiemy, co oni mówią. Wielu z nas było czy to we Lwowie, w Wilnie, Baranowiczach, Brześciu, Tarnopolu i wszyscy dobrze wiemy, jak bardzo pozostali Polacy są niepokonanie przywiązani do przeszłości, do ziemi w której leżą pochowani ich wszyscy najbliżsi. „My Kresów nie zdradzimy“ — oświadczają z nietajnym oburzeniem jedni. Inni mówią: „Wyjechać? Po co? Przecież niedługo i tak Kresy zostaną przyłączone do Polski“. Jeden z Kresowców w rozmowie z moją siostrą we Lwowie tak powiedział: „...I tak przemija dzień za dniem, a my w codziennym pacierzu modlimy się za Lwów, za Kresy, za Polskę i Kościół i zwracamy oczy ku niebu, by ujrzeć to, co jest naszym największym marzeniem, a tym marzeniem jest — Wolne Lwowskie Jutro“.

Tymczasem pewne osoby na emigracji rozpoczęły dyskusję czy mówić, czy milczeć o Kresach. Juliusz Mieroszewski na łamach paryskiej „Kultury“ ogłosił „ewolucyjną“ myśl, w której stwierdził, że z Kresów należy zrezygnować, gdyż: „...Wilno nie jest polskie czy rosyjskie, a tylko litewskie, a Lwów nie polski czy rosyjski, a tylko „ukraiński“. Na jakiej podstawie doszedł p. Mieroszewski do tego iście „ewolucyjnego“ odkrycia, tego się prawdopodobnie nigdy nie dowiemy. Drogi mogły być różne. Bowiem jak Wilno, które według najnowszych badań archeologicznych zostało założone przez dzisiejszych Białorusinów, opanowane i odbudowane przez Litwinów, a od końca XIV wieku stanowiące miasto litewsko-białorusko-polskie, następnie polsko-litewskie, a od XIX wieku do 1945 r. tylko polskie i mające w chwili obecnej tylko niepełną połowę ludności litewskiej, można nazwać miastem litewskim? Na szczęście, prawie cała emigracja stoi zdecydowanie na stanowisku walki o Kresy. Czy możemy bowiem zrezygnować z naszej podstawy bytu? Polska mogła zrezygnować z Mińska i Kamieńca Podolskiego, ale nigdy nie zrezygnuje z prawa posiadania ziem na zachód od granicy ryskiej, gdyż bez tych ziem nie jest Polską w całym tego słowa znaczeniu.

Marian Kałuski

BILETY KOLEJOWE, SAMOLOTOWE, OKRETOWE

Formalności związane
ze sprowadzaniem rodzin
z Kraju
oraz wyjazdy do Polski.

Szybko, sprawnie, tanio

z a ł a t w i a

TAZAB TRAVEL LTD

273, Old Brompton Road,
LONDON, S.W. 5

Tel. FRE 1186

MANCHESTER 16
47, Gt. Western St.

Tel. Moss Side 4683

BIRMINGHAM 2
39, Corporation Street

Tel. MID 1526

Rozpoczynamy druk pamiętnika, który ze względu na szczery autentyzm i żywy tok opowiadania spotka się niewątpliwie, z żywym zainteresowaniem Czytelników. Redakcja

* * *

TRZYNASTEGO kwietnia 1940 wywieziono mnie z rocznym dzieckiem do Kazachstanu. Po sześciu miesiącach, oraz dwóch nieudanych próbach — uciekłam stamtąd przez Semipalatyńsk, Ural, Moskwę, Kijów i Zbrucz.

Wędrownka trwała 22 dni.

* * *

Do ciepłego, wypełnionego znanym domowym zapachem pokoju — wtargnęła niezwykła woń. Był to właściwie — jakby koktail woni: — woni juchtowych butów, machorki i razowego chleba.

Kichnęłam nagle i rozbudzona zupełnie — usiadłam na łóżku. Źródło tej woni — od razu się odnalazło: byli to sowieccy żołnierze. Stali na środku pokoju i przyglądali mi się.

Szynele, czapy i karabiny — wniosły coś z wojny do sennej atmosfery sypialni. — A kto lubi mieć kawałek wojny u siebie — szczególnie — gdy się siedzi w nocnej koszuli naprzeciw? — Lub kto lubi, żeby to było w nocy — na przykład o drugiej w nocy — jak teraz? —

Byłam niewątpliwie wstrząśnięta i przestraszona. Nie było to przyjemne przebudzenie. — Ale trudno — wszystko powinno się przynajmniej raz przydarzyć. Ma się wtedy — pełniejsze i ciekawsze życie.

Żołnierze wciąż stali w milczeniu. Nie pozostawało mi nic innego — jak wskoczyć w szlafrok i w nocne pantofle — i oczekiwać tego co potem nastąpi.

Nastąpiła rewizja.

W zamieszaniu — dopiero po chwili — przypomniałam sobie o moim synku. Obudził się już i siedział cichutko w środku dużego łóżka — malutki i samotny. Ssał paluszek: zawsze to robił, gdy miał problemy. Miał wtedy trzy-nastacie miesięcy.

Kazano mi ubrać dziecko i spakować się. Skąd mogłam wiedzieć — czy do więzienia — czy dalekiej podróży? — Ubrałam małego i spakowałam walizkę. Dwóch żołnierzy wyszło, został tylko najmłodszy z nich. Miał zadarty nos i wesołe oczy. Pogodnie wyjaśnił, że czeka nas długa droga i zajął się sam pakowaniem: pamiętał o wszystkim: o materacyku dla dziecka, nocniczku i po namyśle — z zabawek wybrał mu pluszowego zajączka.

Robiło się już szaro, gdy wyszedł na ulicę i zatrzymał przejeżdżającą furmankę; żyd-mleczarz zdjął bańki z mlekiem i poustawiał je na podwórzu — a na to miejsce wsadzono mnie z

MARIA WILCZEWSKA

Z KAZACHSTANU

dzieckiem i te nasze rzeczy. Smutny stary konik ruszył. I słońce wzeszło. Jechaliśmy wciąż ku słońcu — i teraz w kierunku stacji i potem przez dalsze trzy tygodnie.

Ja z dzieckiem na kolanach siedziałam obok woźnicy, a żołnierz z tyłu. Polna droga była pełna wybojów i trzeba było dobrze przytrzymywać dziecko, żeby nie wyleciało. Było ciasno i niewygodnie. Wózek turkotał hałaśliwie po kamieniach i zagłuszał śpiew żegnających nas skowronków.

W WAGONIE

Wesłam do niego w Polsce, a wysiadłam w Azji. Trzy tygodnie mego życia przesiadziałam z dzieckiem na jego materacyku, na górnej ławce obok okienka.

Zajmowaliśmy 1/3 część wagonowej ławki. Na pozostałej przestrzeni zamieszkały 2 kobiety i 2 małe dziewczynki. W wagonie było około 50 osób: mężczyźni, kobiety i dzieci. Ze wsi przeważnie.

Na brak urządzeń sanitarnych — nie można było narzekać: była bowiem duża dziura w podłodze wagonu. Można było to ocenić jako pewnego rodzaju komfort. I każdy z tym się zgadzał, że lepsze jest to — niż wogóle nic. — Ci jednak, którzy spali obok tej dziury — sądzili inaczej.

Trudno się temu dziwić — oczywiście.

W powietrzu wisiały gęste smrodki, które zmieniały się — zależnie od pory dnia i pory posiłków. —

Nikt w wagonie się nie urodził, umarło natomiast jedno dziecko. Gdy po czterech dniach pociąg wreszcie przystanął — wysiadło ono na Świerdłowsk. W walizce.

W tym dniu zaduch w wagonie był obcy i przeraźliwy.

Oprócz zapachów powietrze było pełne szumu: I w dzień i w nocy, bez przerwy — przez te trzy tygodnie brzmiało tu jakąś jęklivą melodią. Wołałam melodię dzienną — gdyż do niej włączał się śmiech bawiących się dzieci. — Całe szczęście, że dzieci wszędzie umieją się bawić.

Zabawą też było — zdmuchiwanie świeczek przy walizce. W tym czasie to nawet nie miałam dużo kłopotu z przytrzymywaniem mego dziecka na tym naszym legowisku. Bo siedział akurat nad tymi świeczkami.

To okienko przy naszym materacu było bez szyby, ale dość podlewało nas z tej strony — było to jednak czardziejskie okienko na świat.

Gdy tylko pociąg ruszył — postanowiono je zabić deskami: bo przeciagi i deszcz i dzieci... Ale nie było tych desek, ani gwoździ też. Zgodzono się więc, by je zasłonić poduszczką mego synka. Miało to dobrą stronę: robiłam pokrywomiu szparkę i zwiedzałam mijane kraje w ZSSR. Właściwie to czworo oczu spoglądało spod tej poduszki, bo i synek — też.

Gdy tak lało, że nie dało się wyglądać przez tę szparkę, a dziecko spało, to myślałam sobie o naszym wagonie. Był chyba zbudowany jeszcze za cara i dosyć się najeździł — zanim nas zabrał ze sobą. I kogo też w nim przedtem wożono? — Najprzyjemniej było pomyśleć, że konie.

Wyobrażałam sobie te konie. Może jechały do pracy, a może na wyścigi, przyjemnie by było, żeby to co tu jeździło przed nami — to nie na rzeź...

Teraz z nami jechały wszy. Czują się tu dobrze i były rozmnożone nad podziw obficie.

NA CIĘŻARÓWCE

3-go maja zawartość naszego wagonu przeładowano na ciężarówkę. Jakos szło to powoli. Ja stałam na boku i czekałam na moją kolejkę. Szofer ciężarówkę też stał i przyglądał się ludziom. Potem podszedł sam do nas i powiedział: Daj no mi tego swego parniszka*). Jezyk zgodził się pójść na jego ręce, widać lubił już wtedy zapach benzyny. I tak znaleźliśmy się oboje w szoferce. Tu tylko motor nam szumiał, a zapachy — to wiały tym razem od stepów, a step właśnie kwitnął wiosną.

Cały ten dzień cieszyłam się życiem i widziałam, że dziecko jest szczęśliwe.

PRZYJAZD NA MIEJSCE ZESŁANIA

Wieczorem ciężarówkę stanęły i kazano nam wysiąść: miasteczko było żółtawego koloru. Domy i murki nokoło nich — z gliny. Żadnego krzaczka ani drzewka nie widziałam. W powietrzu pachniało dymem — o jakiejś niezwykłej woni.

Domek, do którego nas skierowano, miał tylko jedną długą izbę ze starym byczek naszych gospodarzy zaczęły piecem kuchennym zamiast mebli. Wysiadłam, wzięłam dziecko i te rzeczy, które miałam przy sobie i wesłam do tego domku. Pod piecem — w kącie —

*) Parniszka — chłopczyk — wyrażenie gwarowe.

DO DOMU

B.D.I.C

było w sam raz takie zaciszne miejsce dla nas. Usiadłam na podłodze i przyglądaliśmy się z synkiem jak ludzie schodzą z ciężarówek i powoli zapełniają sobą domek.

Miejscowa władza o skośnych oczach odeszła. Ciężarówki odjechały. Obiecano rzeczy nasze, a było ich dużo, dostarczył nazajutrz.

W domku zrobiło się ciasno, kłótili wie i ciemno.

Bardzo chciałam wyjść i postać sobie przed drzwiami na tej żółtej ziemi i popatrzeć na gwiazdy, ale bałam się, że zajmą mi miejsce. Więc siedziałam, trzymałam śpiące dziecko na kolanach i myślałam o krowach: tyle ich spotykaliśmy po drodze, więc może tu będzie łatwo o mleko dla dziecka.

W nocy spadł ulewny deszcz i akurat na mnie, bo tu właśnie była dziura w dachu. Podałam Jeżka na czyjeś dalsze kolana. Nawet się nie obudził. Gdy deszcz się skończył — podniosłam głowę i zobaczyłam gwiazdę. Pomyślałam wtedy, że chcę stąd uciec. I mimo, że to nie była spadająca gwiazda — życzenie spełniło się:

Uciekłam z dzieckiem — i udało się.

DZIEŃ NASTĘPNY I WSZYSTKIE INNE DNI W MIESIĄCU MAJU

Maj jest wszędzie piękny, i w Kazachstanie też. Nie było jeszcze kurzu i much i tak przyjemnie wiało od stepów.

Rozeszła się wiadomość, że wolno nam zamieszkać w miasteczku. Był to najwyższy czas, bo domek już pękał. Z Jeżkiem na rękach chodziłam tu i tam po różnych uliczkach — niezdecydowana, gdzie wstąpić... Nagle zobaczyłam krowę, jak wchodziła w obejście z jakąś kobietą. Kobieta miała na rękę takie samo małe dziecko jak moje. Podeszłam prędko — nim zdążyła zamknąć bramę i zapytałam po rosyjsku — czy może nam wynająć mieszkanie. Nic nie rozumiała — tylko uśmiechała się przyjaźnie. Na migi zaprosiła nas do domu. Z jej mężem mogłam się porozumieć. Obejrzałam pokój i wynajęłam. To byli Tatarzy.

Po załatwieniu transakcji — kobieta zaprosiła mnie na herbatę. Na migi. Siedziałyśmy przy samowarze na dywaniku zaścielającym podłogę, na okrągłym, niskim stoliku stały filiżanki bez uszek, świeży płaski chleb i gęsta śmietana zamiast masła. Piłyśmy herbatę i zachwycałyśmy się naszymi dziećmi. Ja jej dziećmi, oczywiście, a ona Jeżkiem. Jej Marks był w wieku Jeżka, a Dawid miał pięć lat.

Na drugi dzień Tatar-gospodarz przyjechał wozem zaprzężonym w krowę po nas i nasze rzeczy.

Pokój, w którym zamieszkaliśmy miał kolosalny piec chlebowy z miejscem do spania na nim. W pokoju był tylko stolik, jedno krzesło i jedno łóżko. W sąsiednim pokoju mieszkała młoda nauczycielka, też Tatarka z dwojgiem dzieci. Gospodarze mieszkali w domku obok. Krowa z byczkiem w stajence. Wszystko to razem było otoczone murkiem. W środku obejścia nie było nic zielonego, ani nawet trawki. Trawa była dopiero na stepie. W pokoju naszym były dwa okna i jedno z nich wychodziło na szeroki trakt — idący gdzieś w stepy.

Sufit był drewniany, belkowany i tam mieszkały pluskwy. O tem jednak dowiedziałam się w czerwcu.

CZERWIEC

W czerwcu porobiłam znajomości w tym miasteczku. Poznałam parę miłych pań ze Lwowa i odwiedzałyśmy się wzajemnie. O moim zamiarze ucieczki wiedziała już spora ilość osób, ale wciąż nie mogłam nawiązać kontaktu z szoferami ciężarówek. Otrzymywałam paczki od moich rodziców i herbatą z tych paczek zjadałam sobie przyjaźń obu Tatarek. Od nich też dowiedziałam się kiedyś, że w miasteczku znajdują się również Polacy — osiedleni tu jeszcze za caratu.

Bardzo chciałam kogoś z nich poznać.

Pluskwy dały znać o sobie w ten sposób, że spadały masowo jak deszcz na łóżko. Z początku sądziłam, że przychodzą ze ścian i po podłodze i nogach łóżka dostają się do pościeli. Ale nie — skracaly sobie drogę i spadały wprost z sufitu. Wiem o tym na pewno — bo stosując się do rady osób doświadczonych stawałam nogi łóżka do misek z wodą. Poza tym łóżko stało na środku pokoju. Pluskwom to nie przeszkadzało wcale i atakowały nas zawzięcie.

Tak nam dokuczyły, że zaczęłam z Jeżkiem sypiać na podwórku obok schodów. Co do pluskiew — to obie Tataruki zapewniały mnie, że one atakują tylko z początku, gdy ktoś jest nowy w domu, a potem dają spokój.

Nie wiem jak to było naprawdę — ale dopiero w sierpniu — uspokoiły się pod tym względem.

LIPIEC

W lipcu było tak gorąco, że krowa i byczek naszych gospodarzy zaczęły

sypiać na podwórku. Wobec tego ja z dzieckiem wróciłam do mego łóżka z powrotem. Pluskwy zaraz się o tym dowiedziały, a wciąż traktowały nas — jako nowość w tym domu.

Jeżyk zaczął już chodzić. Chodził już nieźle przed wyjazdem, ale potem zapomniał — w wagonie. Tam były gwoździe w suficie, które go kalczyły w główkę. Po przyjeździe raczkował zapamiętałe z naszego pokoju aż do bramy. Jak tylko zaczął chodzić — to od razu mi gdzieś zwał.

Nie spodziewałam się, że wyjdzie sam za bramę i krzątałam się przy kuchni — spokojna, że dziecko bawi się na podwórzu. Bydło w tym czasie było na stepie.

Gdy zorientowałam się, że nie ma go na podwórzu — wybiegłam na ulicę — a właściwie na ten szeroki trakt, że studnią pośrodku. Rozpytywałam w sąsiednich domkach, ale nikt go nie widział. Tatarzy już stawiali w otwartych bramach — co oznaczało — porę powrotu bydła do domów.

Pobiegłam w kierunku skąd musiało iść bydło, bo widziałem z daleka żółte kłęby pyłu. Wreszcie zobaczyłam synka: szedł malutki i sam środkiem tego szerokiego traktu — wprost naprzeciw tego tumanu kurzu. Gdy dobiegłam do niego — nie zdziwił się wcale — spokojnie podał mi łapkę i grzecznie zawrócił do domu. Szliśmy razem jakiś czas.

Tymczasem bydło wyłoniło się z tego kurzu i nagle znalazło się tuż za nami. Chwyciłam dziecko na rękę i zaczęłam biec, a całe stado za mną. Najadłam się dużo strachu — a tymczasem one nie gonily nas — tylko robiły z nami wyścig do tej studni.

Gdy wreszcie znalazłam się poza studnią i zorientowałam się, że żadnej rogatej krowy nie mam za plecami — przystanąłam i przyglądaliśmy się, jak konne pastuchy przeciskają się między bydłem i rozdzielają im wodę.

Jeżyk siedział mi na rękę. Miał interesujący widok przed sobą i wydawał się bardzo zadowolony ze siebie. Ja mniej. A potem to pilnowałam go bardzo.

Synek dostał biegunki i młodsze dziecko gospodyni-Tatarki również. Wówczas nie wiedziałam jeszcze jakie to jest groźne dla małych dzieci i przestrzegałam tylko diety.

Moja Tatarka z mężem, Marksem, Dawidem, krową, byczkiem i kurami wybierają się w step — na żniwa. Powrócą dopiero w połowie sierpnia. Zopatrzyłam ją w zapas herbaty, a od niej dostałam kurę. Był to wspaniały prezent! — Ucieszyłam się, że będę miała rosoly dla dziecka.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

DZIEJE WSPÓŁCZESNEGO POLAKA

„Polska Fundacja Kulturalna“ obdarzyła nas znów pięcioma książkami VIII-ej serii swych wydawnictw, które — rzecz charakterystyczna — wszystkie są wspomnieniami przeszłości. I nie dziwnego, bo przeszłość tak zaciążyła nad naszym dniem dzisiejszym, że nie możemy jeszcze spod niej się wygrzebać, ani też przewidzieć przyszłości. Zazwyczaj więc autorzy opisują jakiś wycinek ze swych rozstajnych dróg lub bardziej ciekawe zjawiska których byli świadkami. Pewnym wyjątkiem pod tym względem jest Henryk Przyborowski, który w swej niewielkiej książce z ostatniej serii Fundacji Kulturalnej, streścił całe swoje życie w sposób pozwalający uznać je za typowe dzieje Polaka mającego za sobą dwie wojny światowe i rewolucję własnego kraju.*)

Pamięta on jeszcze, gdy jako siedmioletni chłopak, pod opieką francuskiej guwernantki, spacerował po Warszawie o jednokonnym tramwaju, parującej wilgocią dębowych kostek jezdni, paniach zamiatających chodniki trenami swych sukien. Po ukończeniu szkoły ks. Gralewskiego, mając lat 18, porwany ideą Legionów poszedł bić się o przyszlą Polskę z przekonaniem, że musi być ...królewska! Mniej było ważnym, kto ma być królem, Piłsudski czy chłop z wyboru, byle nie był obcy. Został nawet sekretarzem generalnym „monarchistycznej organizacji włościańskiej“, lecz skoro w wyborach do Sejmu nie zyskała ona nawet jednego posła, oddał się agronomii i pracy na roli, bo... „ziemia to ziemia, zawsze ta sama“ ... „nikt nie potrafi zmienić tej ziemi, tych pól i lasów, tych rzek, tego nieba nad głową!“.

I było parę lat pogodnych. Świadczą o tym epizody z życia Przyborowskiego, z których każdy jest wesołą i zabawną nowelką, np. miłość od pierwszego wejrzenia na balu w Zakopanem i wale, w którym „objąwszy jej kibiś wydało mu się, że zrozumiał czym jest szczęście“, aż zapomniał, będąc ówczesnie w wojsku, o swych obowiązkach nie stawiając się na czas, by pokierować samochodową kolumną, wskutek czego zdarzył się wypadek, a on został wezwany do karnego raportu u generała w Krakowie. Lecz skoro wyznał, że przyczyną spóźnienia była nagła miłość — mądry generał stwierdził, iż stan

taki jest niepoczytalny, czyli wg. reglamentu wojskowego uwalniający od kary. Wówczas, w Krakowie serce zagrało pod wtór hejnału z wieży Mariackiej, nie bacząc, że hejnał urywa się w pół tonu...

Kiedy indziej, razem z przyjacielem zainscenizowali polską „damę od Maksyma“ wprowadzając na bal do arystokratycznego salonu ciotki, Zośkę z warszawskiego kabaretu jako hrabiankę z Poznańskiego, która podbiła wszystkich, a naiwnego krewnego tak rozkochała, że ledwo wytłumaczyli mu jego zapędy małżeńskie.

Aż przyszła druga wojna, niespodziewana przez rząd ani wojsko, choć wyczuli ją chłopci, wobec wzmrożonej buty Niemców osiadłych w Polsce. Przyborowski, powołany jako kapitan batalionu pancernego, przekonał się wkrótce z przerażeniem, że mobilizacja była improwizacją. Dostawszy się ze swym oddziałem do bombardowanego Lublina, wobec wiadomości o wkroczeniu Sowietów do Polski, Przyborowski musiał przejść do Rumunii. Jego dowódca pytał się wszystkich: „Co to się stało? Żeby tak w kilka dni koniec?“

I odtąd zaczęła się Przyborowskiego tułaczka, z walką o wizy po konsulatach i postojami w Jugosławii, Włoszech i Francji. Niby to było jeszcze wojsko, ale już bez dyscypliny, a jednak z bensenowną surowością. I Przyborowskiemu wyrwa się uwaga... „w latach legionowych i w pierwszym okresie niepodległości miałem nieograniczony sentyment dla wojska, który z biegiem lat i za każdym nowym ćwiczeniem w czasie pokoju przeistaczał się w niechęć. „Najostrzej odczuł to Przyborowski w oficerskim obozie Camp de Carpiagne we Francji, gdzie od kompanii i zapchlonych przycz uciekał spać na okolicznych głazach, aż uderzenie Hitlera na Francję rozwiązało obóz z rozkazem, aby każdy z jego mieszkańców przedostał się do Anglii, na własną rękę.

Shczęście, los i przypadek pozwoliły Przyborowskiemu załadować się w St. Jean de Luz na ostatni statek idący do Anglii, gdzie jak wszyscy Polacy, doznał miłości póki byli jej obrońcami, jak też ochłodzenia uczuć — po zwyczajnie.

W Szkocji danym mu było przez lat sześć wykorzystanie fachu agronoma, na stanowisku kierownika polskiej Szkoły Rolniczej w Glasgowie, pod zarządem „Komitetu Oświaty“ i jego dyrektora Stanisława Sydlowskiego, dla którego ma wyjątkowe słowa pochwały: „Takt

i wrodzone zdaje się zdolności dyplomatyczne umożliwiły temu wysoce kulturalnemu człowiekowi doprowadzenie pozytywnej akcji oświatowej do końca“. Dodam od siebie, że nie dziwota, bo uprzednio St. Szydłowski był w dyplomacji.

Po 10-ciu latach pobytu w Anglii, Przyborowski począł odnosić się do Polaków-emigrantów krytycznie, przypominając sobie wspomnienia z czasów Wielkiej Emigracji w Paryżu, swego pradziada (Walerego Wielogłowskiego, który pisał: „...uciekam od rozmów z moimi braćmi, boć tylko gorycz z nich wynoszę. Wspólne nieszczęście nie tylko nas nie złączyło, ale oddzielało nas od siebie.(...) Wolę pójść nad Sekwanę i patrzeć na jej fale, które mi Wisłę pod Zawichostem przypominają...“

Może chęć ucieczki od polskiego ghetta, jak też tęsknota za słońcem, wpłynęły na postanowienie Przyborowskiego wyjazdu do Brazylii, by z kolei tam ...tęsknić za Polską!

Wylądował w Santos, wiosną 1951 roku, by pracować u milionerów, właścicieli fabryki papieru i celulozy, najprzód jako „karbowy pilnujący plewienia zarastających chwastami plantacji“, potem jako kierownik „szkółki“ drzew tropikalnych i jeszcze w sekcji traktorów obsługujących lasy araukarii... Na ogół współpracował z 38-ma narodowościami, od których odpoczywał w towarzystwie swego psa Burka, do którego mógł mówić po polsku...

Ale czasem, ku jego zdumieniu i radości mówiły po polsku również dzieci z dawna osiadłych Brazylijczyków! Zdarzyło mu się kiedyś uporczywie targować kupując sweter, a potem go przepłacić, gdyż właścicielka sklepu, broniąca jego ceny, odezwała się: „żebyś tak zdrowa była“, co wywarło na nim wrażenie..., że jest w Działoszycach“. Pomógł rodzinie, której dzieci uczyły się z podartych kartek książki, poczynając się od słów: „Bóg wyrzekł słowo — stań się“.

Na razie ciekawiła go Brazylia, „kraj w którym cywilizacja nie pokonała jeszcze natury“. Więc pytał się jej: „kto ciebie pokona, natura czy cywilizacja?“ Lecz z czasem zniechęcił go jej mieszkańcy, mający jeden ideał i jedno marzenie: pieniądź! Zarobić jak najprędzej i jak najwięcej cruiserów. Więc uciekał w puszcze, gdzie jej szum grał mu czasem melodię krakowskiego hejnału, niestety, urywając go w pół tonu — niczym jego życie...

(Dokończenie obok)

*) Henryk Przyborowski. „Raport karny“. Zbiór opowiadań, str. 240. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1967.

PŁOCK W CZERAZAJ I DZIS

W ZWIĄZKU z obchodami Tysiąclecia prowadzi się w Polsce wiele prac archeologicznych. Jednym z ważniejszych miejsc, gdzie prowadzone są badania, jest Płock, prastare miasto, centrum polityczne w najtrudniejszym okresie kształtowania się Polski piastowskiej.

W ciągu 10 lat prace badawcze ujawniły, że na Wzgórzu Tumskim, gdzie obecnie stoją zniszczone zabudowania klasztorne, znajdowały się już za panowania Bolesława Chrobrego potężne wały grodowe, umocnione kamienną ławą. Umocnienia te, dwukrotnie zniszczone i odbudowane, zostały w XIV wieku, za panowania Kazimierza Wielkiego, zastąpione potężnym zamczyskiem.

Ale nie koniec na tym: odkryto na tym obszarze pozostałości aż pięciu kamiennych budowli. Najstarsza z nich — prostokątny kościółek z absydą — przebudowana została w XI wieku na monaster. W tym samym okresie powstała grodowa kapliczka w kształcie rotundy z absydą, zbudowaną na użytek księcia. Niewiele później monaster przerobiono na monumentalny kościół.

Docent Szafranski, prowadzący prace wykopaliskowe z ramienia Instytutu Kultury Materialnej, dopatruje się tu wpływów architektury bizantyjskiej i twierdzi, że analogiczny relikwiarz znajduje się Ohrydzie, w dzisiejszej Macedonii. Gruba warstwa ziemi pokrywała przez wieki te interesujące zabytki.

I konserwatorzy mieli swój moment radości. Podczas przekuwania potężnych murów klasztoru z XVIII wieku i badań prowadzonych nad zachowanym fragmentem Wieży Zegarowej zamku,

Ma się rozumieć wspomnienia Henryka Przyborowskiego są o wiele bogatsze od powyższego streszczenia, przy czym każdy rozdział jego książki drga życiem i talentem pisarskim. Pod tym względem H. Przyborowski wprowadza nas w błąd, oświadczając, że „nie jest pisarzem“ tylko „człowiekiem piszącym“, gdyż ma na swym dorobku wiele felietonów, nowelki, powieści, nawet kilka sztuk teatralnych. I daj Boże, aby wszyscy „chwytający za pióro“ umieli wskrzesić swą przeszłość z takim urokiem, bez samochwalstwa, raczej z autoironią, a przy tym z prawdą, budzącą wiarę w zabawne kawały młodości jak i ciężkie dzieje emigracyjnej doli, tak że jego opowieść, ściśle osobista, staje się obrazem przeżyć, w którym wielu Polaków odnajdzie siebie.

Władysław Günther

odsonięto ściany wielkiego palatium, zbudowanego z potężnych ciosów romańskich. Ściany te, wynoszące 2 m. grubości i 3 m. wysokości, są pozostałością rezydencji Władysława Hermana. Tu mieszkał on sam i syn jego, Bolesław Krzywousty; obaj spoczywają teraz w tumie, w grobowcu z czarnego marmuru.

W murach klasztoru znaleziono również blanki średniowiecznego muru wysokości 17 m. Odkuto także w Baszcie Szlacheckiej ostrołukową gotycką bramę zamku. Odnaleziono 14-wieczny puchar szklany, który wzbudził zainteresowanie amerykańskiego muzeum szkła, a także kafle i fragmenty posadzki.

Na podstawie tych relikwiarzów można stwierdzić ciągłość historyczną zabytków: a więc przedromańskie budownictwo kamienne, potem rzadki okaz sztuki bizantyjskiej, unikalny — jak mówią obecnie polscy archeologowie — zabytek świeckiej budowli romańskiej, a w końcu średniowieczne partie zamku. Stanowi to obraz tysiącletniej kultury chrześcijańskiej na ubogim w tego rodzaju zabytki Mazowszu.

Budynki klasztorne zostaną odbudowane i pomieszczą Muzeum Ziemi Mazowieckiej, które rozsądza już dawną siedzibę. Najważniejsze odkrycia zostały zabezpieczone; przebudowano promenadę spacerową i zrekonstruowano fragmenty piastowskich umocnień obronnych.

Kierownik badań wysunął projekt całkowitej lub częściowej odbudowy średniowiecznego zamku. Już teraz jednak nieustanne opóźnienia w uruchamianiu kredytów przez ministerstwo Kultury i Sztuki i trudności wykonawcze Pracowni Konserwacji Zabytków stawiają pod znakiem zapytania przewidywany dotychczas termin zakończenia odbudowy w 1970 roku.

A szkoda. To jedno z pięknie położonych miast polskich, o bogatej historii, mogłoby się stać już wkrótce centrum ruchu turystycznego. W 1975 r. przypada 900-letnia rocznica założenia tutaj biskupstwa, co sprawiło, że Płock stał się jednym z najważniejszych miast na Mazowszu. W XV wieku był on portem rzeczny nad Wisłą, główną arterią spławu zboża i produktów leśnych do Gdańska. W 1495 r., po wygaśnięciu płockich Piastów, przyłączony został do Korony. Miasto ucierpiało później od najazdu szwedzkiego i straciło swe winnice prowadzone na nasłonecznionym stoku Wisły. Po 1793 r., a więc po drugim rozbiórce Polski, Płock przypadł Prusom, wszedł potem w skład Księstwa

Warszawskiego, po Kongresie Wiedeńskim włączony został do Królestwa Kongresowego i pozostawał pod berłem carów aż do I. wojny światowej. W 1920 r. odznaczony został Krzyżem Walecznych za bohaterską obronę przeciwko bolszewickiemu korpusowi Gaja. Dekoracji herbu miasta i niektórych mieszkańców dokonał osobiście marszałek Piłsudski w roku 1921-ym.

Przed I wojną światową było to śliczne miasto dużym centrum szkolnictwa i ulubionym miejscem zamieszkania emerytów. W okolicach rozwinął się bardzo przemysł cukrowy. Istniała także fabryka narzędzi rolniczych.

Ogrody kwiatowe i sady były urodą i bogactwem Ziemi Płockiej oraz samego miasta. W obrębie Płocka znajdowały się dwa najpiękniejsze z tych ogrodów, należące do spolszczonych rodzin niemieckich: Lilientalów i Blumbergów. Egzotyczne kwiaty i drzewa sprowadzane z całego świata i aklimatyzowane w ogrodzie Lilientala budziły dumę mieszkańców i podziw przyjezdnych.

Druga wojna światowa zapisała się boleśnie w historii Płocka. Ta rdzenna część Polski przyłączona została do Rzeszy. Niemcy tępiłi ze szczególną zawziętością zarówno duchowieństwo diecezji płockiej, jak inteligencję i okoliczne ziemiaństwo. Zamordowali w obozie w Dziadowie arcybiskupa Nowowiejskiego i wielu księży. A dalej — jak we wszystkich miastach, miasteczkach i wsiach na polskiej ziemi — i tutaj przeprowadzili „akcję“ przeciw Żydom. Padła jej ofiarą cała ludność żydowska Płocka, kilka tysięcy ludzi.

Płock przechrzcili hitlerowcy na „Schrettenburg“, od nazwiska pruskiego gubernatora z czasów, kiedy Ziemia Płocka była przyłączona do Prus po 1793 roku.

Po drugiej wojnie światowej rozbudowano przemysł na tych ziemiach. Powstały tam, w odległości ok. 10 km. na północ od Płocka, największe zakłady petrochemiczne w Polsce, czyli rafineria ropy naftowej, doprowadzanej z Rosji tzw. „Rurociągiem Przyjaźni“. Zakłady te zatrudniają 30.000 robotników. Tak oto Płock, liczący obecnie około 60.000 mieszkańców, przestał być zacisznym miastem emerytów.

Zrobiwszy taki pobieżny przegląd jego historii możemy stwierdzić, że był on w dalekiej przeszłości i jest ciągle miastem żywym, a w niedługiej może przyszłości stanie się również ośrodkiem turystycznym, przyciągającym — jak dzisiaj Kraków — dziesiątki tysięcy młodzieży, która będzie szukała tutaj naocznych dowodów, że historia Polski nie zaczęła się od wczoraj — a trwa w nieprzerwanej ciągłości kulturalnej od tysiąca lat.

KSIĘGARNIA S. P. K.
20, Queens Gate Terrace,
LONDON, S.W. 7.
Great Britain

**POLSKA KSIĄŻKA
W POLSKIM DOMU:**

- to najlepszy i najwierniejszy przyjaciel,
- to kulturalna rozrywka i odpoczynek,
- to najlepszy sposób pielęgnowania ojczystego języka!

**POLSKIE PISMO
W POLSKIM DOMU:**

- to najlepsza łączność z polskim życiem,
- to jedyny kontakt z rodakami w całym świecie,
- to polskie okno na świat i jego sprawy!

KSIĘGARNIA S. P. K.

- jest zaopatrzona we wszystkie książki wszystkich wydawców emigracyjnych,
- prowadzi kolportaż wszystkich pism niepodległościowych wydawanych na emigracji,
- posiada na składzie podręczniki dla szkół nauczania przedmiotów ojczystych.

KSIĘGARNIA S. P. K.

- jest składem głównym (na prawach wyłączności):
GRYF PUBLICATIONS LTD.,
INSTYTUTU HISTORYCZNEGO
IM. GEN. SIKORSKIEGO,
POLSKIEGO TOWARZYSTWA HISTORYCZNEGO W W. BRYTANII,
POLSKIEGO INSTYTUTU HISTORYCZNEGO,
- jest bogato zaopatrzona w wydawnictwa krajowe.

KSIĘGARNIA S. P. K.

- zamówienia pocztowe załatwia odwrotnie,
- kołom S.P.K., szkołom i bibliotekom udziela rabatu,
- działa w oparciu o największą organizację społeczną, jaką jest Stowarzyszenie Polskich Kombatantów.

Wszelkie zamówienia i wpłaty (czeki, P.O. i I.M.O. należy wystawiać na: P.C.A. PUBLICATIONS LTD.), prosimy kierować na adres:

KSIĘGARNIA S.P.K.
20, Queens Gate Terrace,
LONDON, S.W.7.
Great Britain.

Uwaga: Przy przesyłaniu należności prosimy o podawanie numeru rachunku.

ZOFIA JUNOSZA

BAZYLISZEK

NIE będzie chyba przesadą, gdy zaryzykuję powiedzenie, że co drugi Polak zamieszkujący W. Brytanię zatrzymał się przed laty na przystanku, który, jak niegdyś powiedział w pięknym wierszu młody poeta-podchorąży Jan Rostworowski — „nazywał się Szkocja“. W tym dziwnym kraju twardej ludźmi i wrażliwych serc, smutnych niedziel i nieustannego deszczu — w kraju najtrwalszych przyjaźni jakich zazналиśmy na tej wyspie, polskie tęsknoty i polskie nadzieje snuły się latami wraz ze szkocką mgłą i tak jak i ona owijały się o pnie drzew, w których doszukiwaliśmy się pamięci drzew z dzieciństwa. Nasze nadzieje czepiały się starych baszt dojrzanym zza szyby wojskowej ciężarówki, bo każda baszta przypominała to Czernsk, to znowu Kraków. A w Edynburgu — pamiętam — na jakiejś małej, skromnej uliczce mój oszroniały już na skroniach towarzyszy — sierżant z Legionowych czasów, powiedział przez łyż: „Toż to Gołębia ulica w Krakowie, toż ja zaraz stąd hejnał usłyszę!“

To że Szkocji mieliśmy wrócić do nadniemeńskich lasów, do Krakowa i Lwowa, do Czernska i na Gołębia — do domu. Przecież Szkocja była tylko przystankiem. I może dlatego właśnie, żeśmy pozostawili w niej nasze ostatnie nadzieje i że drogowskaz na przystanku okazał się fałszywy — wspominały dzisiaj, w tyle lat potem, ten kraj surowy i dziki, sercem przepelnionym smutkiem. Tak, razem ze szkocką mgłą, gdzieś nad torfowiskami tego kraju rozwiały się nasze najwierniejsze sny o powrocie.

A przecież początki aklimatyzowania się w Szkocji nie było łatwe. Aklimatyzowanie się bowiem było podwójne: fizyczne i duchowe. Jakże przeobraźliwy wydawał się nam po Francji nieprzejeźdźny klimat szkocki, który zawierucha i deszczem wydmuchiwał nas dosłownie z nieopalanymi billetin-gowych pokoi! I jakże dziwny był klimat duchowy, dusza tego kraju — surowa, milcząca, zrazu nieprzychylnie i nieufnie śledząca każdy nasz krok na wąskich High Streets swoich szarych miasteczek.

Pozatem po naszym folklorze i po naszej historii — folklor i krwawa historia tego kraju wydawały się nam bliższe okrutnym bajkom Grimma, niż historycznej prawdzie. Czymże, na przykład, były nasze pocziwe polskie diabły — pan Boruta, który popię lubił, czy pan Rokita, który po bagnach wodził podróżników dla swej zabawy,

w porównaniu ze strachami z krwawych szkockich legend? Nawet smok wawelski łagodniał i stawał się niemal barankowi podobny w porównaniu z czynami pierwszych władców tego kraju, z Duncanami i Bruce'ami, z rodem Mackbethów, a potem — z nieprzejeźdźdanym szkockim Kirkiem i jego straszliwym prorokiem Knoxem, który, gdyby mu Pan Bóg nadstawił życzliwego ucha — zesłałby cały ród ludzki w głąb piekieł! Nawet Maria Stuart, słodka Maria z dramatu Słowackiego, piękna i nieszczęśliwa Maria wysadziła w powietrze swego drugiego męża Darnley'a wraz z całym domostwem, tak jakby skrytobójczy sztylet już jej nie wystarczył, nie był dość pewnym narzędziem na zglądzenie niewygodnego małżonka.

W latach wojennej „ciszy“, w jakiej żyło wojsko polskie w Szkocji, spotykało się na wrzosowiskach Highlandów i Lowlandów poczciwych mieszkańców tzw. „crofters“, którzy zapraszali nas, obcych przybyszów do swoich kurnych niemal chat z serdecznym uśmiechem: „Come, come inside for a wee warm...“ Podawali gorące kozie mleko, patrzyli na nas ciekawie jasnym błękitem oczu ludzi północy. A my piliśmy owo tłuste, brzydko pachnące mleko i wyciągali ręce nad otwarty płomień kuchni, „for a wee warm“. Nad nami szare i ciche niebo, nie pogwałcone hukiem żadnego samolotu, przypominało niebo nad Prypecią z dawnych polowań na słonki. I tak, powoli, cierpliwie uczyliśmy się poznawać i kochać ten nieprzystępny kraj.

Gdy wreszcie bieg historii wyrzucił wielu z nas poza nawias brytyjskich wysp, gdy rozlecieliśmy się po całym dosłownie świecie — wspomnienia klimatów Szkocji łączą raz po raz ludzi nieraz zupełnie sobie obcych. Dla wielu z nas Szkocja stała się jakby wspólnym nowicjatem w surowym zakonie i tak jak każdy zakon połączyła mocną nicią wspólnie przeżytych dni najbardziej chociażby przejściowych jej mieszkańców. Dźwięk szkockich nazw, jary koło Moffat, smutek Falkirków i Forfarów, wspomnienia scone'ów u Mackie'sa na Princess Street w Edynburgu — to wszystko było wtajemniczeniem i wstępem do bractwa, do tego bractwa, dla którego przystanek miał się nazywać zrazu Szkocja, a potem już tylko — wygnaniem.

Wspominając tamte, zamierzchłe już niemal czasy lat czterdziestych, z zaciekawieniem wzięłam do ręki książkę

Z GLAMIS CASTLE

B.D.I.C

Jamesa Wentwortha Day'a pt. „The Queen Mother's Family Story“.*)

Jeżeli chodzi o ów typowy szkocki klimat, o którym pisałam powyżej — nie zawiodłam się na tej lekko i przyjemnie napisanej książce. Po ukłonach w stronę rodziny królewskiej, na pewno szczerych i zrozumiałych ze względu na popularność choćby samej królowej-matki, a które nas potomków tradycji królów-elektów nieco drażnią, czy bawią, Wentworth-Day przechodzi do fascynującej historii szkockiego rodu Bowes-Lyonów, panów na zamku Glamis, tego zamku, który został uwieczniony przez Szekspira w „Makbecie“ i w którego murach urodziła się matka królowej Elżbiety II-ej, Elizabeth Bowes-Lyon, żona Jerzego VI-go.

I znowu, podświadomie, czytając cuda i dziwy o tej cudacznej, dziwacznej, a nieraz i przerażającej rodzinie — wracamy pamięcią do lat dzieciennych i do rodzimych strachów — naszych panów Borutów i Rokitów w pudrowanych peruczkach, przytupujących wesoło czarcom kopytem w sarmackim, safianowym bucie. Wspominamy niewinne Świtezianki i „Planetników“, których podobno Witkacy spotykał jeszcze na pustej drodze wiodącej z Morskiego Oka do Zakopanego. Gdzież im tam — naszym niewinnym tworem słowiańskiej wyobraźni do twórców gaelickiej imaginacji. I nie tylko imaginacji: bo ziemia szkocka obrodziła równie bogato w bajkowe dziwy jak i w życiowe typy, jakich mało się już uświadczy po drugiej stronie granicy od Newcastle. Wieża Tower w Londynie? Dziecinada w porównaniu z wieżami w Glamis! Sale tortur? Zobaczcie te u Bowes-Lyonów! A nasze własne zamkowe ruiny, legendy i fakty? Pożal się Boże! Nie ma się czym chwalić!

Bo cóżby powiedzieć mógł o sobie nasz smok wawelski gdyby tak oko w oko spotkał się z „Monstrum z Glamis“? Z tym bazyliżkiem potwornej brzydoty, zamurowanym od dnia urodzin do chwili śmierci w jednej z sekretnych komnat zamku? „Monstrum z Glamis“ to już nie legenda, czy bajka — a człowiek. Jak nam tłumaczy autor — potwór ten był dwunastym panem na Glamis, przerażającą postacią o korpusie jak olbrzymie jajo, owłosioną jak małpa i żyjącą w swym odosobnieniu w zamurowanym pokoju niemniej jak sto lat. James Went-

worth-Day pisze, że jeszcze tak niedawno jak w roku 1921 — obejmujący w posiadanie zamek i tytuł „pana na Glamis“ najstarsi synowie rodu Bowes-Lyonów wtajemniczani byli w straszliwy sekret rodzinny i żaden z nich, do dzisiaj — sekretu tego nikomu nie wyjawił. Na potwierdzenie istnienia „potwora“ stare kroniki w rodzinnej bibliotece Bowes-Lyonów wspominają tu i ówdzie o dziwnych wydarzeniach, jak na przykład odkryciu pewnego murarza „czegoś straszliwego“ w trakcie naprawiania wewnętrznych ścian zamku. Odkrycie murarza, który prawdopodobnie nieświadomie przebił ścianę do sekretnej komnaty, było tak ważne i tak straszliwe, że — jak mówią zapiski — „Z pomocą rodziny Bowes-Lyonów wyemigrował na Antypody, żeby już nigdy do Szkocji nie powrócić“. Wentworth-Day poświęca duży rozdział „Bazyliżkowi z Glamis“ i jest przekonany, że nieszczęsna ta postać istniała na prawdę, a nie tylko w umysłach okolicznych „crofterów“.

Wszystkie legendy Glamis są straszne, o wiele straszniejsze od bajek Grimma. Weźmy chociażby na przykład zjawę „kobiety bez języka“, owo niesamowite przeżycie pewnego gościa Glamis, który dojrzał w oknie zamkowym postać młodej dziewczyny, wołającej rozpaczliwymi ruchami o ratunek. Gość ten, sparaliżowany strachem i ciekawością zobaczył później jakąś straszliwą postać kobiecą, która ową dziewczynę wynosiła w worku, aby rozplnąć się nagle wraz ze swym ciężarem we mgle parku. Człowiek ten spotkał po latach we włoskim klasztorze kobietę o obciętych dłoniach i języku, w której rozpoznał własną wizję dziewczyny z okna w Glamis. Legendy? Wyobrażenia? Któż jednak spodziewałby się tak bujnej wyobraźni po twardym narodzie pasterzy z północy? Klimat szkockich moors? To chyba prędzej tłumaczy i wizje i fakt.

Poza rozdziałem o „Potworze“ najciekawiej opisuje Wentworth-Day historię samego zamku Glamis od położenia pierwszych podwalin pod jego niezwykłą strukturę aż po dzień dzisiejszy, oraz ploteżki na temat wyżej już wspomnianej „kroniki zapisków“. Dla amatorów historii będzie to lektura bardzo ciekawa, pouczająca, nieraz zabawna i wreszcie prawdziwa, a nie legendarna, dająca wgląd w szkocki obyczaj i sposób życia na przestrzeni wieków.

Zupełnie odmiennym rozdziałem — bo pamiętajmy, że pierwszym zada-

niem książki jest przedstawienie rodziny Bowes-Lyonów — jest rozdział o „Florence Nightingale londyńskiego East-Endu“. Jest to historia zupełnie nam współczesna, gdyż odnosi się do londyńskiego „blitzu“ w latach czterdziestych. Postać Lilian Bowes-Lyon, orędowniczki East Endu (która jak się okazuje, zaadoptowała i wykształciła dwóch polskich chłopców), jest przejmująca. Tej bohaterskiej istocie należałyby się jakiś osobny esej, gdyż należy ona na pewno do najpiękniejszych postaci kobiecych ostatniej wojny.

Gadatliwy i dobrotliwy pan Wentworth-Day wyciąga z „kuchni“ Bowes-Lyonów jeszcze i inne plotkarskie smakołyki, jak na przykład historię „Tragicznej Hrabiny“, czyli Mary Eleonor Bowes, dziewiętej hrabiny Strathmore, albo tę historię ślicznej Connie Bain, panny sklepowej, która jest bliską kuzynką królowej-matki.

„The Queen Mother Family Story“ nie jest żadnym dziełem historycznym, czy nawet literackim. Ale pisana jest uczciwie, zabawnie i da się czytać. Polecam ją każdemu, kto podziela mój sentyment do Szkocji i jestem pewna, że zamknąwszy książkę czytelnik zastanowi się przez chwilę: żyliśmy przez lata w sercu dziwnego kraju, nierazdo tej dziwności odczuwaliśmy na własnej skórze, aż wreszcie weszła nam ona w krew. „The Queen Mother's Family Story“ może niejednemu wyjaśni posępowanie niektórych szkockich przyjadł z czasów wojny — ich nieufność, a potem przyjaźń „na całe życie“, ich złote serce i skąpstwo, ich ślepe przywiązanie do zadeszczonej ojczyzny. Jeżeli o mnie chodzi, to jeśli czas pozwoli — powrócę znowu kiedyś w tamte strony, aby śladami autora obejść wokół zaklęty zamek w Glamis, policzyć jego okna, których jest więcej z zewnątrz niż od wewnątrz i podumać raz jeszcze nad dziwnościami tego dziwnego kraju.



SZYBKO I TANIO!
Biuletyny, ulotki reklamowe,
druki jedno- i wielobarwne
w y k o n u j ą
ZAKŁADY GRAFICZNE
GRYF PRINTERS (H.C.) LTD.
171, Battersea Church Road,
LONDON, S.W. 11.
Tel. BAT 0879

Czy jesteś
członkiem
SPK ?

SAGA POLSKICH PORK-NOCKERÓW

„Jak świat zmałał od tego krwawego września 1939 roku!“

Gdzieś w głębi gujańskich dżungli, nad rzeką Mazurani wyrwał się polskiemu dziennikarzowi Aleksandrowi Grobickiemu ten okrzyk o zmałym świecie.

Świat nie zmałał, ale poszerzyły się nasze możliwości. Od Kamczatki po Ziemię Ognistą, niegdyś przymusowo, obecnie na ochotnika, Polacy przemierzają lądy w poszukiwaniu szczęścia i jeszcze mniej jest takich, którzy z tych wędrowek potrafiли wykręsać reportaże, opowiadanie, powieść. Przed wojną mieliśmy małe szczęście do literatury podróżniczej i teraz także wydaje się, że nasze wędrowki za mało znajdują odbicia w literaturze.

Straszewicz, Bobkowski, Janta, Grabowski, Hłasko, ostatnio Wierzyński ze swoją „Prywatną Ameryką“ — to nasze największe talenty, autorzy, którzy z pobytu w Nicaragui, czy Szwajcarii, albo Izraelu zbierali plony literackie.

Jednak, tak jak u Gombrowicza, żyjąc w egzotycznym świecie mało kto wędruje, gdzieś indziej niż w kraj wspomnień, lub kraj psychologicznych przygód.

Książka Andrzeja Grobickiego jest jednym z prawdziwych sprawozdań, jest rzeczowym wykorzystaniem wypadu do egzotycznej Gujany, a zarazem bezbłędnie, literacko opracowanym reportażem.

U początków tego reportażu leży niezwykła dla Polaka żyłka podróżnicza autora. Opuścił on kraj w roku 1934, jako młody bardzo dziennikarz. Zwiedził Persję, Iran, Liban zanim dotarli tam pierwsi żołnierze polscy ostatniej wojny. Był korespondentem PAT'a w Londynie i stąd zaczął wojować; we Francji najpierw, a potem szlak jego prowadził do Iraku, do Egiptu i do Włoch. Po wojnie osiedlił się w Kanadzie, ale stamtąd czynił raz po raz wypadu do Ameryki, do Meksyku, na wyspy Ameryki Środkowej i wreszcie na południowy kontynent Ameryki.

W tym roku, po długim okresie choroby, z laską w rękę, wybrał się na objazd tych części świat, których jeszcze nie zna. Jak każdy reporter wiezie ze sobą maszynę do pisania.

Okladkę projektował art. mal. Eugeniusz Chruściński.

Aleksandra Grobickiego znamy dobrze pod pseudonimem Jacka Brzeziny, autora „Towarzysza 103“, powieści szpiegowskiej, której akcja dzieje się na Środkowym Wschodzie. Była to interesująca, dobrze napisana powieść, czytana przez żołnierzy Drugiego Korpusu z przyjemnością, bo jej akcja rozgrywała się przecież w stronach przez które oni wędrowali.

Inna powieść „Szabla proroka“ oczekiwała się tylko odcinka w prasie emigracyjnej. W tej prasie od dwudziestu lat pawiają się reportaże i opowiadania Grobickiego, ale, tak jak zawsze, rozsiane po różnych pismach, rozrzucone w czasie i po kontynentach, nie znajdują właściwej oceny. Reportaż o Gujanie wydany w książce, pozwala na wnikliwsze spojrzenie i zbliża Grobickiego do polskiego czytelnika, gdzie by nie był.

Tematem reportażu jest wyprawa do Brytyjskiej Gujany, gdzie w samym sercu dżungli Polak, Jerzy Golas, kieruje przedsięwzięciem organizującym poszukiwanie diamentów w rzekach, w głębi kraju. Poszukiwacze diamentów i złota nazywają się w żargonie gujańskim „pork-nockerzy“. Ta nazwa, nie wiadomo skąd pochodząca, nie podlega tłumaczeniu, jest tak obca dla naszego języka, jak obcy jest (było?) dla Polaka ze Śląska, czy Czecha z Pragi nurkowanie w głębi czarnej rzeki Mazurani w poszukiwaniu diamentów na jej dnie.

Książka Grobickiego spełnia wszelkie cechy dobrego reportażu podróżniczego. Jest niezmiernie informacyjna; trudno uwierzyć, ile materiału z dziedziny geografii, historii i zwyczajów Gujany potrafił autor zebrać na tych stu trzydziestu stronach. Opisuje wnikliwie i ludzi i kraj — dżungla nabiera właściwej barwy, staje się niebezpieczna, ciekawa, zapełniona zwierzętami i owadami cychającymi na człowieka, jest wspaniała i romantyczna, a zarazem okrutna, zgniła, wyciskająca siły z pork-nockerów. Ludzie, których spotyka Grobicki to wszystko żywi, prawdziwi, bliscy nam bardzo przez serdeczny, uczuciowy stosunek do nich autora.

Oto Jurek Golas, Ślązak, żonaty z Portugalką, energiczny, przedsiębiorczy, dobry organizator, ceniony przez wszystkich dokoła, śmiały i romantyczny zarazem. Gdy idą przez dżunglę „lajną“, ścieżką, której śladów trzeba pilnie wyszukiwać, a potem „kutlasem“, rodzajem tasaka, rąbać po krzakach, aby ją poszerzać, Jurek Golas przyspiewuje polskie obertasy i kuja-

wiaki. Jego pomocnik, Kazik Krzeszowiec, chory na astmę, pamiątkę z pobytu w dżungli i nurkowania, gdy sobie podpił, dyrygował Murzynami i Indianami, którzy wyśpiewywali pod jego komendą polskie piosenki wojskowe. Wtórował im romantyczny neurastenik Bob Nowak, Czech. Golas przyniosło z Armii Polskiej na Zachodzie, Krzeszowiec był żołnierzem Armii Krajowej, Bob Nowak trafił do Gujany poprzez Legię Cudzoziemską. Taka polsko-słowiańska kompania czyni z reportażu rozdział z „historii tułactwa wojskowego“, ale nie spodziewajmy się, że to jest tylko polska historia. To przede wszystkim opis Gujany. Obok Polaków znajdziemy tu Murzynów, potomków niewolników, Hindusów, Hiszpanów, ludzi wszelkiej narodowości i temperamentu, skorych do bicia, picia, kłótni i walki o każde szkiełko błyszczące jak diament. Najciekawszymi są Ameridianie, tubylcy zagrzebani w dżungli, żyjący pod opieką państwa, wynaturzeni przez cywilizację, będąca już na progu degeneracji. Krokodyle, anakondy zwane „kamudi“, tapiry i koty wszelkiego rodzaju dodają wyprawie barw i niebezpieczeństwa.

Transport odbywa się częściowo samolotami, częściowo na piechotę owymi „lajnamy“ wyrąbywanymi w dżungli. A potem czarna, głęboka rzeka z krwiożerczymi rybami, z aligatorami i kajmanami i z diamentami na dnie.

Grobicki to wszystko zbliża — ludzi, zwierzęta, las i rzekę. Jego opis jest prosty, czasem skąpy, ale tak trafny i przekonujący, że długo się tę dżunglę i tych ludzi pamięta.

Trzecią dodatnią cechą reportażu Grobickiego jest jego język. Pokazując ludzi, potrafi mówić ich słowami: opisując przyrodę, sięga do malowniczych skrótów albo do szerokich zdań, prawie sienkiewiczowskich. Przemawiając od siebie nie potrafi się ustrzec sentymentu. Widać, że obcowanie z pork-nockerami gujańskimi poruszyło reportera uczuciowo. Grobicki swoim reportażem wzbogaca nasz język stosując owe nieprzetłumaczalne słowa, jak kamudi dla anakondy, bush-cow dla tapira, sweet-boy dla fałszywego diamentu. Z małego słowniczka na wstępie wyławiamy nie mało egzotyki, jaka podczas wędrowek wkrada się do naszego języka. Czasem słowa te przetrwają dłużej, czasem giną, gdy tylko odwrócimy się plecami do Gujany, czy Hondurasu. Użycie ich stwarza atmosferę dziwną i właściwą.

„Diamenty i aligatory“ to świetny reportaż, który zapoznaje czytelnika z krajem nieznanym i wzrusza przegodami ludzi, o których opowiada.

Podziwu godna jest kondensacja; hi-

(Dokończenie obok)

*) Aleksander Grobicki. DIAMENTY I ALIGATORY. Wydawca: Autor i jego Czytelnicy. Toronto, Kanada, 1966.

storia wyprawy razem z wielkim materiałem informacyjnym zawarła się w stu trzydziestu stronicach. Majstersztyk!

Gujana była jednym z krajów, które zwiedził Grobicki; dalej idą Meksyk, Nicaragua, Honduras, Kuba, prawie wszystkie wyspy i kraje między Stanami i Ameryką Południową. Reportaże z tych wędrowek ukazały się w odcinkach kanadyjskiego „Związkowca“, a obecnie są złożone do druku w Polskiej Fundacji Kulturalnej w Londynie. Z niecierpliwością czekamy na nie. Równie niecierpliwie oczekiwać należy rezultatów obecnej podróży Aleksandra Grobickiego, w której zamierza zwiedzić Australię, Nową Zelandię, część wysp Oceanii i Hawaje. Wydaje się, że era wielkiego reportażu z całego świata jest tuż za progiem, ale...

Książka Grobickiego ciekawa i z talentem napisana wydana została nakładem autora z pomocą dwustu kilkunastu przedpłacicieli, przeważnie z Kanady. Trudno jest wartościować i porównywać emigracyjne książki. Każda z nich powinna się ukazać i każda przynosi korzyść, a jednak reportaże Grobickiego wybijają się wśród wielu opowiadań czy wspominków — jest niezmiernie interesujący. W normalnych czasach przyniosłby wydawcy majątek. Obecnie trudno się dokołać do tej książki. Z dalekiej Kanady zjawia się spóźniona, nieznana.

Nic nie stoi na przeszkodzie, żeby podobny reportaże ukazał się w kraju. Tam jest więcej możliwości wydawniczych i miliony czytelników, którzy na takie książki czekają z utęsknieniem. Naturalnie, „Diamenty i aligatory“ w Polsce nie ukazą się. Żelazna kurtyna, jak wiemy, nie papier przenoszący nawet w reportażu wolność myślenia. W Polsce reportaże piszą sekretarze ambasad, radcy kulturalni, wysłannicy komisji pseudo-pokojowych i doradcy wojskowi. Na emigracji człowiek śmiały, zdobywczy, przedziera się przez olbrzymie trudności, aby zobaczyć kraj i napisać o nim. Ileż trudności go czeka nim książka ujrzy światło dzienne?

Może właśnie dlatego tak mało wśród nas, rozsianych po egzotycznych krajach, reportaży. Na łamach prasy, w samych „Wiadomościach“ chociażby, ukazują się ciekawe, jakże interesujące i dobrze napisane artykuły o Ameryce, Argentynie czy o krajach europejskich, nie brak nam piór i talentów, brak zebrania tego w książki, które przetrwają dłużej niż prasa.

Należałoby sobie życzyć, aby świetną książką Aleksandra Grobickiego stała się zapoczątkowaniem serii „Z dalekich lądów i mórz“.

Czesław Dobek

Wystawa letnia w Royal Academy

Royal Academy of Arts w Londynie odgrywa dużą rolę w życiu artystycznym Anglii. Z jej szkół wyszło w ciągu 200 lat istnienia (Akademia powstała w roku 1768) 6 i pół tysiąca artystów, a wśród nich takie asy jak Blake, Constable i Turner.

Wystawy których w ciągu roku odbywa się kilka, i trwają każda po 2 czy 3 miesiące, starają się uwypuklić dokonania malarstwa angielskiego, ale również pokazać najwyższe osiągnięcia malarstwa światowego, że wymienimy choćby stosunkowo niedawną wystawę Bonnarda.

Celem dorocznych „Wystaw Letnich“, które znane są z olbrzymiej ilości wystawianych prac (obecna ma ich blisko 1.500), jest dać możliwość artystom tworzącym na Wyspach pokazać swe osiągnięcia, a jednocześnie dać możliwość sprzedaży ich dzieł, gdyż corocznie publiczność kupuje tu na dziesiątki tysięcy funtów.

Zarzucono komisji kwalifikującej obrazy i rzeźby na wystawy Akademii, staroświeckie gusta, i między artystami bardziej postępowymi a Akademią trwał przez wiele lat rozdzźwięk. Kilka lat ostatnich przyniosło poprawę w tym względzie. Dopuszczane są wszystkie kierunki z „pop-artem“ i „opt-artem“ (czyli z popularną i optyczną sztuką) na czele. To, że przewagę ma malarstwo tradycyjne nie jest winą jury kwalifikującej. Tak maluje duży procent malarzy angielskich i na to nie ma rady. Wielu malarzom może się to nie podobać, ale podoba się publiczności, która kupuje.

Czy istnieje sztuka angielska?

To dosyć dziwaczne pytanie nie kwestionuje istnienia malarzy angielskich, przecie sama Akademia wyprodukowała ich jak wyżej zaznaczyłem, kilka tysięcy, ale oryginalność sztuki, jej samoistość.

Otóż mimo dużych wpływów sztuki francuskiej, włoskiej, hiszpańskiej i innych krajów kontynentu, a ostatnio i amerykańskiej, sztuka angielska ma swe wyraźne oblicze, i np. w rzeźbie (Moore i inni) wysunęła się na szczytowe miejsce w sztuce świata. Tak jak wyspa angielska różni się od kontynentalnej Europy, tak i jej sztuka jest inna. Z cech, które zauważono jest przewaga rysunku, kolory pozostające w zależności z tutejszym krajobrazem, a więc nie tak jaskrawe, pewne niedopowiedzenie w kompozycji, nikły procent tematów seksualnych.

Mogło by się zdawać, że malarz to oko. Oczywiście, widzenie to duży procent, ale nie to malarz maluje co widzi, ale to co chce nam pokazać. Wybiera on z tej masy, którą widzi, i porządkuje wedle porządku, który jest w nim. Obraz zawiera treść duszy artysty. Niech mi wolno będzie tu zrobić pewną uwagę. Otóż krytyka europejska zauważyła, że Polacy w swych obrazach emanują elementy tragizmu, melancholii. Że poznają na pierwszy rzut oka co namalował malarz polski, choćby przebywał w Paryżu wiele lat.

To samo odnosi się do większości malarzy tutejszych. Poznamy na pierwszy rzut oka, co namalował Anglik. Jest w tych obrazach spokój, opanowanie, pewna wstydlivość. Szczytowym malarzem angielskim na obecnej wystawie, reprezentowanym kilku pracami, jest L.S. Lowry.

Malarz ten za temat bierze fabryczną Anglię. Środowisko robotnicze, jednostajne ulice, niedożywione dzieci. Świat, który szybko zanika a który artysta zatrzymuje swymi obrazami. Kolory jakby za mgłą, kształty uproszczone. Całość pełna nastroju, który jest najmocniejszym akcentem prac Lowry'ego.

Wystawa obecna nie posiada artysty, który by wybił się nad innych, jak było to na szeregu innych poprzednich. Cechą jej jest wysoki poziom całości, z położeniem nacisku na doskonałą techniczną jakością litografii. W pracach tego typu Anglia, w wyniku dużego wysiłku (nagrody za wybitniejsze prace litograficzne itp.) stoi na poziomie europejskim.

John Bratby, który w poprzednich wystawach imponował olbrzymimi obrazami treści religijnej, i który wybił się na tle innych, tym razem dał rzeczy przeciętne, choć atrakcyjne w kolorze, a to owoce i kwiaty.

Czy portret należy do działu sztuki czy rzemiosła?

Jak który, większość nasuwa wątpliwości czy dobra kolorowa fotografia nie była by lepsza od oleju artysty. Są jednak takie, jak np. „Julie Christie“ czy „David Oxtoby“, obie pędzla Gerarda de Rose, które łączą elementy dokładności podobieństwa portretowanego z elementami czysto malarskimi, głównie kompozycji.

Ten kto odwiedza corocznie „Wystawy Letnie“ spotyka znajome pędzle i

(Dokończenie na str. 24)

szereg artystów ma tu swych odbiorców, tak, że ich dzieła są kupowane gdy tylko wystawa się otworzy. Ten nieprzerwany kontakt między artystą i jego odbiorcą jest cechą tej wystawy. Nowe nazwiska oraz o cudzoziemskim brzmieniu mają sytuację nie tak łatwą. Polscy artyści na każdej wystawie są reprezentowani przez kilka nazwisk. Na obecnej wystawiają: Janina Baranowska — „Ophelia“, Roman Black — „Wiatraki z Formentera“, „My Australian Waterfall and Bilabong“ i „Windmills on parched Land“, Halima Nałęcz: — „The Defeated“. Na tle całości wystawy obrazy Polaków wypuklają się dodatkowo, wykazują wysoką kulturę duchową ich twórców i zgodność z panującymi nurtami dzisiejszej sztuki.

Wrogiem dla wielu artystów są mieszczańskie gusta odbiorców sztuki. Publiczność niechętnie odbiera śmielsze dzieła. Idą krajobrazy, kwiaty, zwierzęta (koty, myszka, na tej wystawie). Ma przewagę sztuka figuratywna, a z niej to, co przypomina wiernie nieomal fotograficznie, przedmioty, są zwolennicy abstrakcji, ale nie jest ich dużo, a nieomal bojkot, kiedy chodzi o kupno, dotyczą „pop“ i „opt“ i inne nowe kierunki.

Duży jest procent krajobrazów z Włoch, Francji, Hiszpanii, które artyści przywieźli z poprzednich wakacji. Kupowane są niechętnie, mimo ich żywotności kolorystycznej i atrakcyjności tematu (Wenecja, południowa Francja itp.) i pierwszeństwo mają krajobrazy angielskie. Również nie idą, choć dobrze rysowane i malowane, akty kobiece. Co ciekawe, ceny samych obrazów nie odgrywają właściwie roli, idą te za kilkanaście funtów, jak te za kilkaset. Nie cena jest zaporą nabycia dzieła sztuki, ale gust odbiorcy.

Wśród dzieł, które specjalnie mogą się podobać warto wymienić rzeźby S. Charoux: „Cellist“ i „Reader“ (mieszka i tworzy w Londynie od wielu lat), obrazy E. Morby'ego: „Of this Men know“ i „Still Death“, krajobrazy F. Gore i W. Roberts oraz R. de Grey.

Oglądnięcie tak dużej wystawy i tak wszechstronnej, gdyż zawierającej m.in. plany architektoniczne, modele budowli, medale i monety, rysunki, medaliony, daje dobry wgląd w stan sztuki w Anglii. Wystawa więc słusznie może być nazwaną wystawą-gigantem sztuki angielskiej roku 1967.

Stefan Legeżyński

**CZYTAJ
POLSKĄ
KSIĄŻKĘ!**

Notatnik kulturalny

PAMIĘĆ SPONIEWIERANA. Tragizm jest nieodłącznym składnikiem literatury. Raz tkwi w utworze, to znów w samym autorze. Do takich tragicznych postaci literatury emigracyjnej zaliczyć by należało śp. Herminię Naglerową. Za życia wykwintna pisarka stała się podczas wojny sowiecką więźniarką obozów koncentracyjnych i żołnierzem walczącym piórem, autorem „Tu jest Polska“ i „Nocy kazachstańskich“. Uciulane oszczędności przeznaczyła w spadku na nagrody literackie. I bodaj pierwsza jej nagroda dostała się pisarzowi zupełnie jej ideowo obcemu, autorowi „Zniewolonego umysłu“. Czesław Miłosz zasługiwałby na wszystkie inne nagrody, których zresztą mu świat nie szczędził, ale nie na tę, właśnie, pisarki niezachwianej i nieprzejednanej. Tak rozporządzono jej skromną schedą materialną.

Ale nie na tym kończy się zagrobowy tragizm tej pisarki. Oto ukazała się ostatnio jej pośmiertna książka „Wierność życiu“. I oto wprowadza ją w świat Marian Czuchnowski, sam postać zagubiona w swym tragiźmie osobistym. Wspomina książkę i autorkę właśnie w chwili, gdy właściwie już zerwał z tym wszystkim, o co Naglerowa walczyła, z ideą walczącej z komunizmem emigracji. Gdy sprzeniewierzył się pamięci tej, którą chciał we wspomnieniu zachować. Takie bywają tragiczne koleje emigracyjnego pisarstwa.

POTRAWY LITERACKIE. Po udanym obiedzie poświęconym prasie emigracyjnej, „Kontynenty“, a właściwie dr Zbigniew Grabowski urządził wieczór poświęconą „Krytyce i kumoterstwu“, która gorzej wypadła. Z ogłoszonych sprawozdań wynika, że wysunięto wówczas dwa zarzuty: organizacyjny i ad rem (co nie znaczy rzeczowy). Stwierdzono nieobecność krytyków i mówiono o „przemilczeniach“. Nieobecność tłumaczy się brakiem form organizacyjnych i statusu tych posiłków. Z „Kontynentów“ po secesjach został tylko dr Grabowski, a zatem fikcja zespołu. (Przypomina to zabawne dictum: „Ilu was jest?“ — „Jeden.“) Okazuje się więc, że nie wystarczy, aby ten jeden skrzyczał przez „tubę“ drobnych ogłoszeń kalendarzyka dziennikowego zainteresowanych tematem, i aby wszyscy mieli stawić się „z menażką“. Jakby temu zaradzić?

A co jest z tym przemilczaniem utworów Miłosza, Gombrowicza i Herlinga-Grudzińskiego? I dzieła o literaturze emigracyjnej Tymona Terleckiego

go i 20 innych autorów? To chyba czysty chwyt reklamowy, bo jeśli chodzi o to ostatnie, prócz „Wiadomości“, które podawały tylko echa innych pism, wszędzie było o nim nieco mowy. Jeśli nie mówiono więcej, to przyczyną należy doszukiwać się w samej niefortunnej redakcji tego jakże potrzebnego dzieła. Tylko dobrze wgrzyziony w temat fachowiec się w nim rozeznana i głową pokiwa. Żadne omówienie już nie pomoże, chyba, żeby było tej samej objętości co dzieło, a o tym szkoda marzyć. Jeśli chodzi o przemilczanych autorów, to możnaby znaleźć legion innych mniej znanych i mniej reklamowanych i przy tym mniej kontrowersyjnych. Chyba tylko w wielkiej skromności dr Grabowski nie upomniał się o siebie samego.

Nie trzeba zapominać, że krytyka w naszych warunkach jest zajęciem niebezpiecznym. Autorzy wydzwignięci na piedestał „establishmentu“ nie znoszą krytyki. Krytykować ich, to narazić się czasem na zwykłe obryzganie błotem z ich strony. Skoro więc nie można omawiać dobrych i złych stron ich utworów, to co zostaje, jak tylko zostawić ich w zupełnym spokoju. Powstała bowiem taka sytuacja, że apostołować miłość, to ugruntuować kliki, koterie i kumoterstwo. Warto było się wysilić raczej w innym, przeciwnym kierunku, szukać nowych talentów i wspierać je. Ale, to nie leży w interesie „establishmentu“, który sam stworzył sobie sytuację najgorszą dla swej twórczości, „kiedy się o niej wcale nie mówi“ — jak to w zagajeniu zauważył Maciej Cybulski.

TEATR BEZ POLITYKI. Z dziedziny teatru na tymże obiedzie podniesiono elephantiasis recenzyjny w jednym właściwie wydawnictwie prasowym: 5 recenzji chwalebnych w ciągu 5 dni o „Chwalebny Zmartwychwstaniu Pańskim“ w reżyserji Dejmk. To tylko przykładzik sobiepankostwa niektórych redakcji, które choć są instytucjami społecznymi, a nie przedsiębiorstwami prywatnymi, poczynają sobie wedle osobistego widzimisię i bez żadnych względów na przyzwoitość. Ale o tym była już mowa na poprzednim obiedzie „Kontynentów“, które można by równie dobrze nazwać obiadami Atlantydy, bo jej także nie ma.

Ale mamy też sprawy teatralne bez polityki. W okresie największego powodzenia sztuki Mariana Hemara „Piękna Lucynda“ powstało niebezpieczeństwo, że widowisko to zaćmi wszystko

co było przedtem i na długo położy się cieniem swej udatności na tym, co po nim przyjdzie. Toteż w odruchu zrozumiałej samoobrony teatr ZASP założył się o upamiętnienie swych poczynań na przestrzeni ubiegłego dwulecia. Przygotowanie pamiątkowego albumu sówicie ilustrowanego powierzono niezmordowanej sekretarce Zarządu Oldze Lisiewiczowej, która przy wydatnej pomocy środków technicznych Polskiej Fundacji Kulturalnej chlubnie wywiązała się ze swego zadania, starając się nie zapomnieć o niczym i o nikim. Nie jest to pierwsza próba stworzenia wydawnictwa poświęconego sprawom teatralnym na emigracji, ale ta jest chyba wyglądem najokazalsza.

Inna rzecz, że z powodów od redaktorki wydawnicwa niezależnych, zo-

stało ono pojęte, jako drobny, ale reklamowy, a nie jako rozmowa krytyki z teatrem. Powstał w ten sposób wybór sloganów ultra-pochlebnych, i to głównie chwalców nadwornych czy przysięgłych. Ale i bez tego prawdziwi miłośnicy teatru go nie opuszczą, byle dostawali rzeczy o rzetelnej wartości artystycznej. Natomiast bałwochwalstwo to tylko woda na młyn tych, którzy wypominają teatrowi „taryfę ulgową“ i w ten sposób pomniejszają rzetelną wartość teatru emigracyjnego.

Oby ten nawrót ZASP do akcji wydawniczej był zwiastunem urzeczywistnienia chwalebnych zamiarów uczczenia 25-lecia teatru polskiego na emigracji i jego wspólnego, ogólnego dobroku. Został zebrany materiał bardzo obfity i nie pod kątem bronzowania

tęgo czy innego zespołu czy człowieka teatru. Różnorodność i zupełnie niedoceniony ogrom dokonań scenicznych ogółu aktorstwa emigracyjnego składa się nie tylko na pomnik przeszłości, ale i służyć może za najsolidniejszą rękojmnię wartości bieżących dokonań. Piękna idea zainicjowana przez Ryszarda Kiersnowskiego, jednego z poprzednich prezesów ZASP winnaby sobie przebieć drogę i ujście na świat przy pomocy jego następców, skoro sam zmożony chorobą nie może czynnie patronować swej inicjatywie.

IN VINO ARS. Sądząc z opublikowanych fotografii po trzykroć zespół „Pięknej Lucyndy“ opijał we własnym gronie lampką wina swe niebyszące powodzenie. Musiał grać, pomimo że zespół się wykruszał i na miejsce opuszczone przez jednego aktora musiał wstąpić sam autor-reżyser Marian Hemar. Potrafił on ponoć wydobyć z tego przypadku trochę dodatkowego komizmu. Bo wolno mu było być pijanym może nie tyle winem, co własnym szczęściem.

Zwyczaj celebrowania winem uroczystych okazji wespół z publicznością, i krytyką zagnieździł się ostatnio nie tyle w teatrze, co na wystawach malarzkich. Tak na otwarciu wystawy Pop-artu w Galerii Grabowskiego można było dobrze pociągnąć klaretu i to w gronie niemal wyłącznie młodzieży angielskiej. Widok namalowanego wnętrza szafy, lub wręcz wyciętego w kształt kieckij obrazu wiszącego na wieszaku mógł nie mniej od wina przyprawić o halucynacje. Idąc z postępem czasu mgr Grabowski specjalizuje się w całej gamie nowoczesnej sztuki i anty-sztuki, a jego galerii przypadają zasługi pionierskie, choć w tym wypadku „uderza bruku“.

Doskonały wybór win hiszpańskich z prawdziwym sherry na czele spotyka gości z zasady na czasem skromnych w swym zakresie artystycznym wystawach w „Doctor's Restaurant“. Pozwala to w jasnym świetle oglądać tym razem, wśród 6 wystawiających malarzy, obrazy Polki z Kraju Anny Trojanowskiej, pokazującej nieco mnieryczne pejzaże i londyńczyka Tadeusza Szadkowskiego, młodego grafika szukającego własnej drogi w malarstwie. Ale naprawdę pysznym szpanem można było się rozochocić w Cassel Gallery na pierwszej wystawie Hani Maciejewskiej, której pełne nieokielzanego jeszcze rozmachu barwne wizje ciała kobiecego i bardziej opanowane studia portretowe wróżą jej bujną przyszłość artystyczną. Nasycone kolory przebijają nie tylko ze zrozumiałych względów zamgloną atmosferę galerii, ale też i murem zasłaniającą

(Dokończenie na str. 26)

SOS recepta z kraju...

Dr. Karol Kratowski
Poznań, Półwiejska 1

Imię i nazwisko chorego: A. Pomorski

Rp.

Librium @ 10 mg. 100 tabl. (ANGLIA)
Melleril @ 25 mg. 250 tabl. (ANGLIA)
Persantin 75 dragées (NIEMCY)
Flagyl @ 250 mg. 20 compr. (FRANCJA)
Trecator @ 250 mg. 40 compr. (FRANCJA)
Robaden 30 amp. (SZWAJCARIA)

Data: Poznań 2.1.1966

Dr. Med. K. Kratowski
Podpis i stempel lekarza

P.S. Doradzam załatwić przez TAZAB w Londynie, bo wykona natychmiast!

22 ROLAND GARDENS, S.W.7 · FRE -3175

W NOWYM JORKU: TAZAB, 100, EAST 10th ST., N. YORK 3. NY.
WE FRANCJI: TAZAB, 20, RUE LEGENDRE, PARIS 17., Tel. 429-00-45

JAK TO BYŁO POD NARVIKIEM

Zamieszczamy poniżej trzeci i ostatni odcinek szkicu o wyprawie norweskiej. Poprzednie części ukazały się w nr. 34 i 35 „Orla Białego“.

EWAKUACJA ODDZIAŁÓW Z NORWEGII

W PIERWSZEJ kolejności wycofano oddziały i urządzenia tyłowe oraz odwozy. Działa przeciw-pancerne, ciągniki, część samochodów półciężarowych załadowanych aktami i bagażem, wózki c.k.m. i motocykle oraz kilkanaście mułów odesłano do baz załadowczych. Dnia 4 czerwca na rozkaz dowódcy 1-ej Lekkiej Dywizji Strzelców gen. Bethouart zatopiono we fiordach część artylerii, resztę taboru samochodowego, zapasy amunicji, żywności i benzyny; co się nie dało zatopić — zniszczono. Każdy żołnierz zatrzymał przy sobie broń osobistą, plecak ze zrolowanym kocem i jedną porcją żywności zapasowej. Ponad to oddziały zabrały ze sobą ciężkie karabiny maszynowe bez skrzynek amunicyjnych, moździerze bez wózków oraz wbrew rozkazom: amunicję do karabinów ręcznych i maszynowych, radiostacje, niewielką ilość granatów ręcznych (zatopionych później na interwencję francuskiego płk. Molle ze względu na „bezpieczeństwo“)

(Dokończenie ze str. 24)

publiczność, która wypełniała sale do ostatniego kieliszka. Żałować należy, że utrwalone zarzysy obrazów w okazałym katalogu wystawy, dzieła firmy ojca malarzy, Wacława Maciejewskiego, pozbawione były tych żywych kolorów, które ta ofiarna potrafi wydobyc w innych swych wydawnictwach.

Gdzież by się znalazł recenzent, który nie byłby zamroczony tym łańcuszkiem wernisaży, i który zdobyłby się jeszcze na to, aby się przekonać, co serwowano na otwarciu wystawy malarzy angielskich i polskich w sali Domu P.O.S.K. zorganizowanej przez Tow. Polsko-Ang. oraz upewnić o niezawodnej gościnności Drian Gallery, której podwoje Halima Nałęcz otworzyła na dwudniową sprzedaż obrazów na cele Biblioteki Polskiej w Londynie. W tych dwóch ostatnich wypadkach powiedzieć można na pewno, że cel uświęcał środki. Była też lampka wina w niezawodnej Polskiej YMCA na otwarciu wystawy dyplomowej Harry Clarke ze Studium Malarstwa Sztalugowego.

J. Ostr.

oraz pociski do granatników i moździerzy. Pozostała część mułów rozpedzono w góry.

W dniach od 4 do 7 czerwca przewieziono na kutrach rybackich oddziały do zachodnich fiordów, gdzie niszczy-ciele brytyjskie czekały ukryte w zatokach. Przeladowanie z niszczy-cieli na statki pasażerskie odbyło się dopiero na pełnym morzu w odległości 150 do 200 km. od brzegów. Niektóre oddziały brygady spotkała młła niespodzianka: Odbywały podróż na polskich statkach „Batory“ i „Sobieski“, które posiadały jeszcze spore zapasy wódek Baczewskie-go.

W ciągu dnia, 7 czerwca, zeszedł z przesłaniających odwrót pozycji I-szy batalion strzelców podhalańskich, zostawiając na stanowiskach ogniowych tylko kukły i hełmy.

Dnia 8 czerwca około godz. 01.00 od-płynął kutrem norweskim z Fagernes nad Beisfiordem jako ostatni, dowódca brygady gen. Szyszko-Bohusz ze ści-słym swoim sztabem. Jednocześnie z Ankenes odpłynęły dwa plutony moto-cykwistów, które do ostatniej chwili ubezpieczały całą akcję od południa.

I tak się skończyła nasza epopeja norweska. Od tak dawna upragnione zwycięstwo! Prysnał mit o niezwy-ciężalności Niemców, którzy porzuciwszy swe pozycje i liczne swe trupy pierz-chnęły daleko. Marzyło się nam, że na ich karkach gdzieś przez Szwecję i Bałtyk dojdziemy do Gdyni, a tam?! Może my pierwsi?! Wierzyliśmy w siły aliantów i w naszą dobrą gwiazdę. Niestety, zgasa przedwcześnie. Nie było nam jeszcze pisane to szczęście. Zda-rzenia wojenne na polach Francji i Bel-gii sprawiły, że zwycięski, zdumiony i zawiedziony w nadziejach żołnierz bry-gady wraz z całą ekspedycją aliancką porzuciwszy krwawym trudem zdobyte pozycje wsiadł na okręty, by wrócić tam, skąd przybył. Po pierwszym zwy-cięstwie pierwszy już zawód! U ciem-żonego ludu Norwegii pozostały tylko niezatarte wspomnienia o tych, co na ostrzach swych bagnatów nieśli mu prawdziwą wolność. A jako widomy znak sławy polskiego oręza pozostał na północnych rubieżach Europy pod An-kenes i Narvikiem na wspólnej mogile poległych żołnierzy brygady wysoko za-tknięty z drewnianą kapliczką Matki Boskiej Częstochowskiej brzozowy krzyż. Wdzięczna ludność norweska przeniosła po wojnie ciała poległych naszych żołnierzy do innego wspólnego

grobu w kształcie krzyża o 2 km. od miejscowości Haakvik, ogrodziła go kamiennymi słupkami połączonymi żelaznym łańcuchem i położyła nań metalową płytę z napisem po polsku: „Pamięci 66 polskich żołnierzy poległych w walce o wolność Norwegii i Polski“. Brzozowy zaś krzyż z kapliczką znajdował się przez długi czas w kaplicy cmentarnej w Haakvik pod opieką tamtejszego pastora, który przeniósł go niedawno do muzeum w Narviku. W samym Narviku znajduje się duży cmentarz wojenny, gdzie pochowani zostali żołnierze wszystkich narodowości, biorących udział w tej bitwie. Naliczo-no tam między innymi przeszło 1.500 grobów niemieckich i 4 groby polskie.

PODRÓŻ MORSKA Z NORWEGII DO FRANCJI I ROZWIĄZANIE BRYGADY

Oddziały brygady płynęły rozmaitymi konwojami do portu Greenock pod silną ochroną okrętów, wśród których był lotniskowiec „Glorius“ z myśliwcami R.A.F., które do ostatniej chwili utrudniały samolotom Luftwaffe obserwację i bombardowanie. Na pomyślny przebieg akcji ewakuacyjnej wpłynęły również warunki atmosferyczne tj. gęsta mgła i pochmurna pogoda. Dzięki tym czynnikom zakusy niemieckich samolotów spełzy na niczym i wszystkie konwoje ewakuacyjne przybyły bez strat do dnia 12 czerwca do portu Greenock. Zatopiony został natomiast lotniskowiec „Glorious“ z około 1.500 ludźmi załogi oraz 2 niszczy-ciele, 1 tankowiec, 1 trawler i 1 statek pasażerski.

Dowódca brygady gen. Szyszko-Bohusz znając z nasłuchu radiowego krytyczną sytuację we Francji w rozmowie telefonicznej z polskim przedstawicielem przy Międzysojusznictwie Radzie Wojennej płk. dypl. Żółtek-Mitkiewiczem w Londynie wystąpił z wnioskiem, aby Samodzielna Brygada Strzelców Podhalańskich została wyładowana w Szkocji jako zwarta polska jednostka bojowa. Niestety, dla brygady nie było żadnych rozkazów od naczelnego wodza gen. Sikorskiego, który w tym czasie przebywał na froncie na odcinku 1-ej Dywizji Grenadierów we Francji i w ogóle nie był poinformowany o ewakuacji brygady z Norwegii. Natomiast dowódca 1-ej Lekkiej Dywizji Strzelców gen. Bethouart interweniował specjalnie, by Anglicy nie wyładowywali polskiej brygady w Greenock, lecz odesłali ją do Francji.

Tak więc dnia 13 czerwca konwój opuścił Greenock i w dniu 14 czerwca około godz. 16-ej przybył do portu Brest we Francji, gdzie oddziały brygady zostały wyładowane i przeszły na tymczasowy postój do różnych miejscowości w promieniu 15 km. od portu. Przybycie jako pierwszego statku „Sobieski“ Francuzi przywitali orkiestrą, maszerującą zaś przez Brest w doskonałej formie i dyscyplinie oddziały były przez mieszkańców oklaskiwane i obsypywane kwiatami.

W tym samym dniu wojska niemieckie wkroczyły bez walki do Paryża, a rząd francuski przeniósł się z Tours do Bordeaux. Armię francuską ogarnęła panika.

Dnia 15 czerwca gen. Bethouart na odprawie w Brest zawiadomił dowódcę brygady gen. Bohusza-Szyszko, że dywizja francusko-polska przybyła z Norwegii wchodzi w skład grupy operacyjnej „Rennes“ pod dowództwem gen. Altmayera, której zadaniem było zorganizowanie obrony Bretanii na odcinku północnym długości w linii powietrznej ponad 40 km., jako ostatniego bastionu Francji, nazwanego „Redutą Bretońską“. Brygada Podhalańska miała bronić północnego odcinka pasa dywizji od wybrzeża St. Michel do Tremlay, wzdłuż rzeki Couesnon tj. w linii powietrznej około 28 km. Południowego odcinka pasa miały bronić bataliony Legii Cudzoziemskiej i 27 półbrygada Strzelców Alpejskich.

W dniach 15 i 16 czerwca oddziały Brygady Podhalańskiej przewieziono transportami kolejowymi z Brestu do stacji kolejowej Dol De Bretagne, skąd rozlokowały się wzdłuż nakazanego odcinka obrony.

Dnia 16 czerwca około godz. 21-ej udało się majorowi dypl. J. Ilińskiemu ze sztabu Brygady Podhalańskiej oraz d-ey brygady gen. Szyszko-Bohuszowi przeprowadzić 10-cio minutową rozmowę telefoniczną z naczelnym wodzem gen. Sikorskim, który wobec przedstawionego mu tragicznego wprost stanu uzbrojenia brygady obiecał przysłać działka przeciwpancerne i wycofać brygadę jak najprędzej na południe, by stała się trzonem zgrupowania polskiego, a poza tym zaznaczył, że „należy tak się zachować i postępować, aby polskiego honoru wojskowego nie narażić i do końca wypełnić swój obowiązek żołnierski, a w koniecznym wypadku kierować się na południe za Loarę“.

Dowódca Brygady Podhalańskiej dążył więc usilnie, aby brygada pozostała na odcinku obronnym zgodnie z rozkazami, w imię honoru i żołnierskiego obowiązku. Okazało się jednak, że linia obrony Bretanii była już tylko mitem, albowiem w południowej jej części nie było już żadnych innych oddziałów

przynależnych do francusko-polskiej dywizji, natomiast wszystkimi drogami od strony nieprzyjaciela cofali się w największej panice i w zupełnym rozprężeniu zdemoralizowani żołnierze francuscy, domagający się wspólnie z cywilną ludnością zaprzestania walki. Niemieckie kolumny pancerne zbliżyły się szybko w kierunku linii obronnej, własne zaś oddziały brygady były w stosunku do nakazanych zadań niemal bezbronne, a do tego zaczęło brakować żywności. Oddziały francuskie dywizji francusko-polskiej znalazły się w panicie Brest i odplynęły do Anglii. W tej sytuacji dowódca brygady gen. Szyszko-Bohusz zażądał kategorycznie od gen. Bethouart natychmiastowego wycofania bezbronnej polskiej jednostki, a nie mogąc doczekać się zaaprobowania swoich żądań przez d-cę obrony Bretanii gen. Altmayera, przebywającego wtedy w Rennes, dokąd wkraczały już pierwsze oddziały niemieckie, w dniu 18 czerwca wydał rozkaz rozpoczęcia marszu batalionów małymi zespołami na południe za Loarę.

W rezultacie część żołnierzy 1-go batalionu Samodzielnej Brygady Strzel. Podhalańskich zaskoczonego przez Niemców dostała się do niewoli, część zaś II-go batalionu, plutonu łączności 1-ej półbrygady, drugi rzut sztabu brygady z częścią kompanii sztabowej wraz ze sztandarem brygady oraz zgrupowanie dowódcy 1-ej półbrygady płk. dypl. B. Chłusewicza w ogólnej ilości około 400 żołnierzy odplynęło do Anglii. Reszta żołnierzy brygady, po odejściu części tych, którzy mieli rodziny we Francji i chcieli pozostać, ruszyła na południe, by po przejściu Loary i przedarciu się „borem-lasem“ przez strefę okupowaną dotrzeć do Tuluzy, gdzie zbierali się polscy żołnierze frontowi, gotowi do dalszych wędrówek, celem przedostania się różnymi drogami do odradzającej się ponownie na wyspie brytyjskiej Armii Polskiej.

Z dniem 18 czerwca 1940 roku Samodzielna Brygada Strzelców Podhalańskich faktycznie przestała istnieć jako zwarta jednostka bojowa.

Część żołnierzy brygady, która przedostała się do Szkocji, popularnie zwana „Polish Brigade Narvik“ wzięła udział w dniu 21 lipca 1940 r. w pięknej uroczystości, podczas której naczelną wódz gen. Władysław Sikorski udekorował sztandar Samodzielnej Brygady Strzelców Podhalańskich niebiesko-czarnymi wstęgami orderu Virtuti Militari V klasy „za to, żeście chwałę oręża polskiego rozstawili na cały świat“. Dnia 21 sierpnia 1940 nastąpiło tam oficjalne rozwiązanie Samodzielnej Brygady Strzelców Podhalańskich, z której żołnierzy utworzono batalion, który pod nazwą „Batalion Strzelców Podhalańskich“ wcielono początkowo do 10-ej brygady kawalerii, a następnie do -1ej dywizji pancerniej. Batalion ten wziął udział w inwazji na Europę. Sztandar brygady spłonął w czasie walk na kontynencie w sierpniu 1944 r. na skutek mylnego zbombardowania własnych oddziałów przez lotnictwo amerykańskie.

Należy tu podkreślić, że działania Samodzielnej Brygady Strzelców Podhalańskich oraz bojowe i moralne wartości jej żołnierzy zyskały na polu walki najwyższe uznania dowódców wojsk sprzymierzonych. Oto treść pisma pułkownika dypl. Finne, przedstawiciela naczelnego wodza armii norweskiej przy dowództwie wojsk sprzymierzonych w Norwegii, z dnia 26 maja 1940 do dowódcy Samodz. Bryg. Strz. Podhal. gen. Szyszko-Bohusza: „Korzystam z tej sposobności, żeby Panu Generałowi powiedzieć, że z tego, co widziałem i słyszałem, oddziały walczące pod pańskim dowództwem należą do najlepszych i najbardziej zdyscyplinowanych, jakie kiedykolwiek poznałem. Wiem, że o nich takie same zdanie ma gen. Ruge i gen. Fleischer.“

Gen. Bethouart w rozkazie do wojsk, które brały udział w bitwie, gratulował w pierwszej kolejności oddziałom francuskim i polskim, „które w warunkach bardzo ciężkich wykazały wobec wroga i całego świata wartość piechoty i artylerii sprzymierzonych“.

A. J. NARBUT-ŁUCZYŃSKI

U KRESU WĘDRÓWKI

Pamiętnik wojskowy i polityczny z okresu 1870—1946 w którym autor, jeden z wybitnych oficerów legionowych daje świadectwo prawdzie swojego czasu, bez ambicji historyka czy stratega.

464 stron druku, 20 stron ilustracji oraz szkice w tekście.

Cena: 52/6; \$ 7.00; F. 35.00

Do nabycia: GRYF — KSIĘGARNIA S.P.K. — 20, Queen's Gate Terrace,
London, S.W. 7.

oraz we wszystkich księgarniach polskich

Podano też między innymi w ówczesnej prasie francuskiej: „Od kilku tygodni strzelcy polscy biorą czynny udział w operacjach w Norwegii. Działania ich są ponad wszelką pochwałę, co zostało stwierdzone przez komunikaty naczelnego dowództwa brytyjskiego... „Norwedzy są bardzo zadowoleni z obecności wojsk polskich, które odznaczają się walecznością na polu walki, wyróżniają się łagodnością w obcowaniu z ludnością aliancką...“.

Król Haakon w swej odezwie do narodu norweskiego mówi: „Również dzielne wojska polskie walczą po naszej stronie za wspólną sprawę... Oby Polska również w najbliższej przyszłości uzyskała wolność... gdy zwycięży dobra sprawa“.

Kiedy po zawieszeniu broni i rozwiązaniu brygady podał przez lipiec i sierpień 1940 r. prowadziłem nocami przez Francję okupowaną wśród oddziałów niemieckich grupę 48 żołnierzy mojej kompanii, podzieloną później na małe zespoły, wzmianka, że jesteśmy żołnierzami brygady polskiej spod Narviku, otwierała nam serca i domy wszystkich Francuzów i tylko dzięki ich patriotyzmowi i płynącej stąd wzruszającej często gościnności i odwadze, a przede wszystkim dzięki jakiejś szczególnej opiece Boskiej Opatrzności udało nam się cało przedostać do wolnej od okupacji południowej strefy Francji, a stamtąd po licznych perypetiach przez Pireneje, więzienia i hiszpańską Mirandę do Armii Polskiej w W. Brytanii, drogami tzw. „turystów Sikorskiego“. Mała część żołnierzy brygady podał przedostała się na Środkowy Wschód, reszta zaś pozostała we Francji, by wziąć udział w wyzwolniczej akcji podziemnej.

Walki Samodzielnej Brygady Strzelców Podhalańskich w Norwegii to nie hekatomba w zabitych i rannych, to dobrowolny, ofiarny trud i kompletne poświęcenie polskiego żołnierza we współdziałaniu z obcymi na obcej ziemi dla pobicia wspólnego wroga, celem odzyskania wolności dla Polski, to pierwsze zwycięstwo polskie po nieszczęsnej kampanii wrześniowej i otucha dla umęczonego Kraju, to hart polskiego żołnierza, którego w wielkim umiłowaniu swojej Ojczyzny nie nie załame i który jak feniks z popiołów odradza się w coraz tworzących się formacjach Wojska Polskiego dla ustawicznej walki o Jej wolność tam, gdzie ją można stoczyć.

Pamięci tych braci-żołnierzy, co bohaterską swą śmiercią pod kołem polarnym pierwsi zaświadczyli przed światem, że Polska nie zginęła, że Polska żyje, bo walczy.

Władysław Witrylak

NATO. Po przeniesieniu dowództwa centralnego odcinka z Fontainebleau do Brunssum w Holandii jego dowódca, gen. Kielmansegg, zredukował w nim etaty generalskie z 30 do 13. Stan liczebny tak samo nadmiernie rozbudowanego naczelnego dowództwa (Shape) zredukowano o 1/3 i to nie tylko w związku ze szczuplejszymi pomieszczeniami w nowym miejscu postoju, położonym między Brukselą a Mons.

Stany Zjednoczone. Obrona Wietnamu Południowego pochłonie w bieżącym roku budżetowym ca 19,5 miliardów dolarów. Mimo to i mimo rzadko przerywanych bombardowań Północnego Wietnamu rząd sajgoński panuje tylko nad ca 57% ludności i 40 do 50% swego terytorium, gdy Wietkong panuje nad 18% ludności i ponad 20% terytorium, a reszta przechodzi z rąk do rąk lub stanowi pustkowią, którymi się żadna strona nie interesuje. Do 8. maja poległo w Wietnamie od 1961 roku 948 oficerów i 6.878 podoficerów i szeregowców amerykańskich. Przeszło 1/4 poległych pochodziła ze stanów Kalifornia, Nowy York, Pensylwania i Texas.

By sprostać zapotrzebowaniu, zwiększono szkolenie pilotów helikopterowych o 50%, a samolotowych o 19%. Świetne samoloty „Phanton“, zresztą dwa razy droższe niż „Starfighter“, buduje się w dwunastu wersjach.

27 maja został zwodowany nowy lotniskowiec „John Kennedy“ o wyporności 64.000 ton. Rakiety „Polaris“ mają być na okrętach podwodnych zastąpione jeszcze potężniejszymi raketami „Poseidon“.

Sowiety. Oficjalny budżet „obrony“ został o 8% zwiększony pod pretekstem rzekomego przyspieszenia zbrojeń „imperialistów“ amerykańskich i niemieckich. Według MacNamary, Sowiety zwiększyły zwłaszcza produkcję rakiet międzykontynentalnych, do niedawna przez Waszyngton nie docenianą. Jakiego typu rakiety wystrzeliwują ponownie na Pacyfik, jeszcze nie wiadomo. Manewry amerykańsko-japońskie na Morzu Japońskim były śledzone przez liczne samoloty i okręty sowieckie w sposób tak bezceremonialny, że jeden z niszczycieli sowieckich otarł się dwukrotnie o amerykańską fregatę. Incydent ten zakończył się wymianą protestacyjnych not. Również na Morzu Śródziemnym okręty sowieckie, zasilone ostatnio (w związku z kryzysem na Środkowym Wschodzie) przez 10 jednostek floty czarnomorskiej śledzą ruchy 6. floty amerykańskiej, a zwłaszcza jej lotniskowców. Nowe czołgi sowieckie,

„T-62“, są nieco większe i szybsze od dotychczasowych powojennych „T-54“. Mają działa 115 mm. i po 45 pocisków i są 7 metrów długie (bez lufy) oraz 2.8m. szerokie.

Polska. W Warszawie podejmowano ostatnio wojskową delegację rumuńską z ministrem obrony, gen. Jonitą, na czele oraz delegację wojskowych polityków bułgarskich, prowadzoną przez gen. Palina. Francję rewizytowała wycieczka 130 oficerów i podchorążych „ludowego“ lotnictwa pod przewodnictwem gen. Jagiełły. W Zdbicach koło Wałcza ma stanąć „pomnik bohaterów walk o Wał Pomorski“, zaś w Melniku pod Pragą czeską, do którego doszła w 1945 roku 2 armia polska, wmurowano pamiątkową tablicę. Zmiana warty na dawnym placu Saskim (późniejszym Piłsudskiego) odbywa się od pewnego czasu z niemniejszą paradą niż przed pałacem królewskim w Londynie. By zachęcić władze lokalne i społeczeństwo do troskliwszej opieki nad cmentarzami wojennymi, reżym wprowadził ostatnio nową odznakę o horendalnej nazwie „Opiekun miejsc pamięci narodowej“, ale oczywiście, nie roztoczy opieki nad cmentarzyskiem katyńskim czy cmentarzem „Orląt lwowskich“.

N.R.F. Po dłuższej przerwie mnożą się znów katastrofy „Starfighterów“. Ich ogólna ilość doszła już do 71, gdy np. w lotnictwie norweskim ani jeden „Starfighter“ się nie rozbił. Ogółem straciła „Luftwaffe“ od jej wznowienia blisko 350 samolotów, w tym najwięcej starszej wersji „Sabre“, F-86. Zamówienia na francuskie samoloty transportowe „Transal“ zostało przez Bonn zredukowane o 40% mimo konieczności zapłacenia wysokiego odszkodowania. Zmniejsza się również rozmiary portugalskiej bazy „Luftwaffe“ w Baja. Gdy pierwotne plany przewidywały pomieszczenia dla 3.000 personelu, buduje się je tylko dla 1.500 do 2.000 personelu. Zabiegi opozycyjnej partii liberalno-demokratycznej o skrócenie obowiązkowej służby wojskowej z 18 do 12 miesięcy natknęły się na zdecydowany opór nie tylko kół wojskowych, ale także rządu i rządowej większości parlamentarnej. Nie tylko dlatego, że w państwach komunistycznych (z wyjątkiem NRD i Rumunii) obowiązkowa służba wojskowa trwa od 24 do 36 miesięcy, ale także dlatego, że poborowi stanowią 47% obecnego stanu liczebnego „Bundeswehr“, który doszedł w maju do 461.000.

Francja. Pierwszy francuski okręt

(Dokończenie ze str. 29)

Walka z wiatrakami

W przemówieniu, wygłoszonym na 8 plenum komitetu centralnego w maju br., Zenon Kliszko, arcykapłan ideologii marksistowsko-leninowskiej, oskarżył propagandę zachodnią, iż nie tylko usiłuje podrywać zaufanie społeczeństwa polskiego do polityki partii i ustroju „socjalistycznego“, ale że jednocześnie wyolbrzymia wypaczenia biurokratyczne w dziedzinach administracji, gospodarki i kultury. A przeciw prasa partyjna, dodał, od dawna walczy z tą plagą zła, za pomocą krytyki konstruktywnej; za to stosowana przez propagandę zachodnią krytyka jest wyraźnie destruktywna.

Obowiązek zwalczania biurokratycznych praktyk, mówił Kliszko, praktyk,

(Dokończenie ze str. 28)

podwodny o napędzie atomowym, „Redoutable“, o wyporności w zanurzeniu 9.000 ton, został w marcu zwodowany. Pierwszy jego rejs przewidziany jest na rok 1970. Czy w przyszłym roku dokonany zostanie, zgodnie z planem, pierwszy francuski wybuch wodorowy, nie jest pewne, ale dość prawdopodobne. Prototyp najnowszej wersji „Mirage F-1“ rozbił się, zanim mógł być na międzynarodowej wystawie lotniczej w Le Bourget pokazany. Francusko-brytyjski myśliwiec o przesuwalnych skrzydłach „AFVG“ ma być przygotowany w dwu wersjach. Obsada francuskiej góry wojskowej przedstawia się obecnie następująco: minister obrony — Messmer, szef sztabu całości — gen. Ailleret, szef sztabu wojska — gen. Cantarel, inspektor wojska — gen. Dio, szef sztabu marynarki wojennej — admirał Cabanier, inspektor generalny — admirał Jubelin, szef sztabu lotnictwa — gen. Maurin, inspektor generalny — gen. lotn. Delfino.

Srodkowy Wschód: Układ sił w wojnie izraelsko-arabskiej.

Izrael: siły lądowe — 250.000 ludzi, czołgi — 800, samoloty odrzutowe — 204, pociski raketowe — 60.

Egipt: siły lądowe — 195.000, czołgi — 1.000, bombowce — ponad 70, myśliwce — 300, pociski raketowe — 100.

Jordan: Siły lądowe — 65.000, czołgi — 132, odrzutowce — 12.

Syria: siły lądowe — 81.000, czołgi — 350, odrzutowce — 100.

Irak: siły lądowe — 82.000, czołgi — 320, odrzutowce — 87.

Arabia Saudyjska: siły lądowe — 55.000, odrzutowce — 18.

Kage

które są źródłem zła, bo hamują rozwój socjalizmu i wywołują uzasadnioną krytykę ludzi pracy, spada na organizacje i instancje partyjne. Posiadamy przecież wszelkie możliwości ku temu, by przewyciężyć zjawiska nieudolności, niesprawności różnych instytucji, biur i urzędów. Należy przeto również wzmocnić walkę z nadmiernym rozrostem aparatu administracyjnego, likwidować zbyt rozbudowaną sprawozdawczość i papierkową biurokrację, nie mającą żadnego praktycznego znaczenia dla kierowania życiem gospodarczym.

Ale dodał referent, wiele organizacji podstawowych nie spełnia elementarnego warunku aktywności, jakim jest zwalczanie w sposób konsekwentny skorumpowanych klik i uwalnianie się od ludzi obcych i zdemoralizowanych, wykorzystujących legitymację partyjną dla osobistych celów.

Cytując wypowiedzenia najważniejszego dziś po Gomułce wodza polskiej partii komunistycznej, powtarzamy tylko jego własne słowa i jego własną krytykę „socjalistycznej“ biurokracji. Stwierdzamy tylko, że ta walka toczy się już bardzo długo i widocznie nie dała dotychczas żadnych pozytywnych wyników. A śmiemy również twierdzić, że w następnych latach stan ten będzie się jeszcze pogarszał, bowiem krytyka ma na celu uspokojenie rozgoryczonych obywateli, podczas gdy w tym samym czasie wyrastają nowe urzędy i rośnie sprawozdawczość i papierkowa robota, dla której potrzeba nowych urzędników dla dolnych instancji, a jednocześnie dla instancji wyższych, by te papierki czytali.

Trudno zresztą zrozumieć, od kogo w tej sytuacji miałyby rozpocząć się redukcja stanowisk, skoro urzędnicy administracji publicznej, dawno już potrafiliby zabezpieczyć się przed ewentualną utratą stanowiska, formalnym przystąpieniem do partii. Prawda, że od czasu do czasu, centralna komisja kontroli partyjnej „wylewa“ z partii kilka tysięcy członków, wśród nich i urzędników administracyjnych, których Kliszko zaszeregował do skorumpowanych klik, wykorzystujących legitymację partyjną dla celów osobistych.

BIUROKRACJA PRZEMYSŁOWA

W dniu 29 maja br. obradowało 22 plenum rady związków zawodowych, na którym prezes, Loga-Sowiński przedstawił tezy na kongres ZZ (19-24

czerwa br.). W swoim przemówieniu referent ujawnił, że w okresie przedkongresowym wpłynęło do centralnej rady 300 tysięcy różnego rodzaju wniosków. Większość z nich dotyczyła zażądań administracji zakładów pracy w zakresie planowania i zarządzania oraz spraw socjalno-bytowych ludzi pracy. Przyznał, że organy związkowych inspekcji okazywały pobłażliwość wobec łamania obowiązujących przepisów prawa pracy, nie podał jednak, w jaki to sposób zarządy zakładów przemysłowych traktują robotników i pozabawiają ich należących im się prawnie zapłaty z tytułu premii. Uważamy przeto za konieczne przytoczenie dwóch artykułów z prasy partyjnej, które ilustrują samowolne postępowanie biurokracji przemysłowej, która, jak wiadomo, kontrolowana jest przez organy tzw. samorządu robotniczego, złożonego w przytłaczającej większości z członków partii.

„Głos Pracy“ z 14.V. br. w artykule zatytułowanym „Na codzień i od święta“ ujawnił, że zjawiskiem codziennym są kary nakładane na robotników. Potrącenie części wynagrodzenia dziennego lub całej dniówki, potrącenie części lub całej premii lub nagrody z funduszu zakładowego, obniżenie zaszeregowania, a wreszcie zwolnienie z pracy lub zwolnienie dyscyplinarne, pozbawiające zwolnionego całego szeregu należności, oto obraz działalności biurokracji przemysłowej.

Diennik dodaje, że z wachlarza kar, wydanego zresztą przez centralną radę ZZ, każde przedsiębiorstwo wymierza kary według własnego uznania bez brania pod uwagę ciężaru przewinienia i dotkliwej straty finansowej, ponoszonej przez człowieka pracy.

Pismo przytacza jako przykład, zakład Elwro w Wrocławiu, który dotychczas reklamowano jako przedsiębiorstwo humanitarne, a jak się okazało, ilość kar wymierzonych przez zarząd, jest kilkakrotnie większa od dowodów uznania wyrażonych robotnikom za dobrze wykonaną pracę.

W zakładach pracy przyjęła się zresztą reguła, że podawanie kar do wiadomości wszystkich, drogą ich ogłaszania na tablicy, za to o rodzajach nagród i możliwości ich uzyskania jest cicho. Kary spadają natychmiast, każde przewinienie robotnika jest rejestrowane, zaś nagrody są tylko od święta.

Diennik domaga się ograniczenia ilości kar, a z drugiej strony domaga się rozszerzenia wachlarza nagród,

wrażenia uznania za dobrą pracę, a w ogóle humanitarnego traktowania ludzi pracy. Masowe karanie, jak twierdzi, pozbawione jest skutku wychowawczego, zniechęca robotnika i wywołuje brak inicjatywy, ze szkoda dla robotnika i gospodarki narodowej.

Powstała tu sytuacja paradoksalna. Pismo centralnej rady ZZ krytykuje postępowanie zarządów przedsiębiorstw, biurokracja robi dalej swoje, a prezes centralnej rady nawołuje, jakimi to dodatkowymi zobowiązaniami i czynami społecznymi klasa pracująca powinna uczcić 50-lecie rewolucji bolszewickiej.

Inny jeszcze artykuł przyniosła Trybuna Ludu z 15 maja br. zatytułowany „Premie, komu należy i bez opóźnień”. Dziennik ujawnił, że w 15 zakładach przemysłu maszynowego w województwie opolskim, wykryto nieprawidłowości w gospodarowaniu premiami, zarówno za jakość produkcji i za produkcję eksportową. Fundusz za jakość produkcji wykorzystano w zakładach zaledwie w 70 procentach, jednak w niektórych tylko w 10 do 50 procentach. Inspekcja wykazała, że premii nie otrzymują wszyscy, do niej uprawnieni, a każdy zakład postępuje tu, jak mu się podoba.

Ponadto wiele nieprawidłowości stwierdzono przy wypłacie premii za produkcję eksportową, za drugą połowę ubiegłego roku. O istnieniu tej premii wiedziała tylko mała grupa robotników, za to premie pobierali wpraw pracownicy umysłowi, a nie robotnik-producent. W ogóle stwierdzono duże dysproporcje między premiami wypłacanymi robotnikom, a pobieranymi i przez personel administracyjny zakładów pracy. A zasadniczo, premie wypłyca się z dużym opóźnieniem. Tak np. w 15 zakładach przemysłu maszynowego, premie za ostatni kwartał 1966 r. wypłacono tylko w 66 procentach, a resztę ze znacznym opóźnieniem.

Podobnie traktują robotników zakłady przemysłowe w okręgu katowickim, bo jak doniosła Trybuna Robotnicza z 31 maja br. premie wypłacono tylko 2/3 uprawnionym, a w bielskiej fabryce kos, tylko 17 procent robotników skorzystało z prawnie należącej im się premii. Pismo dodaje, że biurokracja przemysłowa w tym okręgu z zasady nie informuje ludzi pracy o warunkach uzyskania premii. Stąd na końcu kwartału robotnicy dopiero dowiadują się o premiach, gdy personel administracyjny już rozpoczął dzielić je dla siebie.

O biurokracji pisał również często redaktor naczelny Życia Literackiego i poseł do Sejmu ludowego, Machejek. Opisuje w przedłużonych artykułach swoje spotkania z wyborcami i oskarżenia biurokracji. Przytacza wypadki, kiedy żalący się mówi wyraźnie,

że „miałby spokój gdyby dał w łapę”, nie podają jednak ani nazwisk ani miejscowości i jakie poczynił kroki, by ukarano winnych. W ogóle jego artykuły, np. ostatni z 7 maja br. to zbiór pogmatwanych faktów i niedomówień. Autor, jak widać, chciałby być w porządku i wobec wyborców i wobec partii. Toteż, jak przystało na dobrego komunistę, i on lubi przytaczać Lenina, który rzekomo, kiedyś miał powiedzieć, że „najgorszym wrogiem wewnętrznym jest u nas (tj. w Rosji) biurokrata”. Z ulgą więc dodaje, że leninowska opinia odnosi się również i do polskiej sytuacji.

Wreszcie o biurokracji mówił na 8 plenum KC i sekretarz Artur Starewicz, gdy poddał krytyce treść książek

„niektórych, współczesnych socjologów, którzy twierdzą”, że „dzisiaj podstawowym problemem społecznym nie jest już walka klas, lecz walka z niebezpieczeństwem biurokratyzmu, zagrażającym demokratycznym formom społecznym, bo są one bliższe prawdy niż sami mogliby sądzić”. A Machejkowi, mimo, że przytoczył samego Lenina zarzucił, że przesadza w swej krytyce biurokracji, czym oczywiście, jako sekretarz od cenzury publikacji, towarzysza posła poważnie nasstraszył.

A w tym samym czasie biurokracja ludowa drwi sobie z tych pustych haseł. Jest przekonana, że z nią jeszcze nikt walki nie wygrał.

Jan Adamski

KRAJ KONTRASTÓW

Materia i biurokracja są niezniszczalne. Powojenna tragedia Polski jest o tyle bardziej niebezpieczna, że w narzuconym nam ustroju komunistycznym biurokracja ma cechy drobnoustrojów — rozmnaża się lawinowo.

TRZY MILIONY URZĘDNIKÓW

Jak podał niedawno felietonista Radia Warszawa jest dziś w Polsce ponad trzy miliony wszelkiej maści i rangi urzędników. Oznacza to, że co trzecia osoba zatrudniona przez państwo (pamiętajmy, cały przemysł i usługi są tam upaństwowione) — jest urzędnikiem. Proporcja stanowczo niebezpieczna. Te przerosty biurokracji, niemrawej i bardzo często przekupnej, spotykają się ostatnio z nieśmiałyymi głosami krytyki. Niestety, nie ma widoków na poprawę, gdyż — jak wykazują statystyki — biurokracja nie tylko się rozrasta, ale zawarowała sobie taką pozycję, że z krzywdą grup produktywnych zdobywa coraz szersze przywileje: zwiększony zakres decyzji i systematyczną, szybszą niż reszta społeczeństwa poprawę warunków materialnych.

Korzenie systemu biurokratycznego — co też nie trudno ustalić — tkwią we wszechwładnej PZPR. Tam zaś w myśl założeń doktrynalnych wszystko jest tak doskonałe, że nie podlega ani krytyce, ani leczeniu.

Mamy zatem sytuację bez wyjścia!

CZYŚCI JAK ŁZA

Wytrawny propagandzista partyjny, rzekomo pisarz i poseł na łże-sejm gomulkowski, niejaki Władysław Machejek, tak oto pisał w jednym z majowych artykułów „Życia Literackiego”: „Jeśli administracja państwowa, samorządowa, gospodarcza nie przyswoiła sobie roli służby ludu tworzącego pro-

dukcję, to w złej swojej części stanowi ciało pasożytnicze”.

Święte słowa panie Machejek. Tylko niech pan doda otwarcie, że idzie tu przede wszystkim o centralny aktyw PZPR. Gdy ci „czyści jak łąza” spostrzegą się dzięki panu, że błądzą, może sami, dogłębnie wzruszeni zdecydują się odejść na emeryturę bez wyciągania przez lud konsekwencji ostatecznych.

Machejek pisze dalej: „Poddanie się interesom ludu, służenie jego procesom twórczym ustrzeże każdego przed t.z.w. „smołą na rękach”, przed „mówieniem do ucha”, przed związaniem się z grupami jeszcze dziś uprzywilejowanymi i reprezentującymi swoje przywileje dzięki części „biurokracji pasożytniczej”.

To już oczywiste denuncjonowanie przyjaciół z uprzywilejowanej, „służącej ludowi”, a wszechmocnej w kraju partii. Małą próbkę ich prawdziwej wartości dostatecznie naświetla fakt konieczności wydalenia ostatnio z PZPR w samym tylko województwie gdańskim 584 członków, z czego połowa musiała odejść z intratnych pozycji właśnie za „smołą na rękach”, co oficjalnie określono jako nadużycia gospodarcze i finansowe, a reszta przeważnie za pijaństwo i niemoralne postępowanie.

W innych województwach nie jest pod tym względem lepiej, o czym p. Machejek sam mógł się przekonać na przykładzie organizacji krakowskiej.

Smutna jest nasza polska rzeczywistość, gdy uważający się za „najlepszych” okazują się najgorszymi.

RABUNKOWA GOSPODARKA

Fabryka dywanów w Kowarach Śląskich szczydzi się dobrą produkcją. 20% tej produkcji idzie na eksport do Skandynawii i krajów Bliskiego Wschodu.

Codziennie fabryka odprowadza do skarbu państwa 200 tysięcy złotych czystego zysku. A jednak mimo to została na jakiś czas zamknięta bo groziło jej zawalenie. Wprawdzie po podparciu hal belkami produkcja w uciążliwych warunkach idzie nadal, ale warunki pracy rujnują zdrowie załogi. Nie ma już co dodawać, że prymitywne hale i maszyny podrażają kosza produkcji i ograniczają jej możliwości, a na budowę nowych hal oraz instalacji władze centralne przez wiele lat nie chciały przyznać kredytów, a gdy ostatnio zdecydowały się to uczynić okazuje się, że w planie nie przewidziano odpowiedniej „mocy przerobowej“ miejscowych przedsiębiorstw budowlanych.

Oto przykład, jak kosztem dobrze prosperujących przedsiębiorstw buduje się nowe fabryki (osiągnięcia władzy ludowej), o których nie wiadomo, jak będą prosperowały.

Oczywiście, u podłoża takich decyzji i takiej gospodarki leży leninowska zasada, że zawsze ważniejsza jest stal niż dywany.

WESTCHNIENIE ZA SIAWOJEM-SKŁADKOWSKIM

„Wygódka“ publiczna w Drobinie, która „pachnie“ na znaczną odległość, tak przeraziła reportera „Gazety Handlowej“, że aż westchnął: „Szkoda, że Sławoj-Składkowski, który w tej dziedzinie był specem nad spece — nie znajduje naśladowców“.

Odwiedzający Polskę zgodnie potwierdzają, że na miastach wojewódzkich „kończy się Europa“. Nagminnego niedoboru „sławojek“ nie zastąpi stalinowski pałac kultury.

TYLKO TELEFONICZNIE

Kazimierz O. z Warszawy miał ze psuty telewizor. Poszedł zgłosić konieczność naprawy do sklepu radiowego przy ul. Grójeckiej. Tam urzędniczka poinformowała go uprzejmie, że sklep otwiera się dopiero o 11.00, lecz uszkodzenia może zgłaszać od 9.00, ale tylko telefonicznie. I z ważną miną odmówiła przyjęcia zgłoszenia reperacji.

Tym razem trafiła kosa na kamień. Kazimierz O. poszedł do sklepu na przeciwko i zatelefonował. Zgłoszenie przyjęto. Proponujemy zatem, aby dla usprawnienia placówki ZURT-u przy ul. Grójeckiej w Warszawie zainstalowano budkę telefoniczną.

OŚWIETLENIE KRAKOWA

Krakowianie spostrzegli, że boczek leżący na wystawach sklepów mięsnych świeci nocami. Odkryciem tym zainteresowano inspektorów sanitarnych, któ-

rzy wydali orzeczenie: „Zjawisko fosforyzującego nalotu na powierzchni boczku występuje przy początkowym stadium zmian jakościowych“.

Zręczne wyjaśnienie, nie ma co. Trąfniejsza jest jednak uwaga korespondenta gospodarczego z Krakowa, który poucza inspektorów PIH, że „w końcowym stadium zmian jakościowych“ świeci już nie boczek — lecz gromnica. A na pociechę dodaje, że Kraków do czekał się nareszcie lepszemu oświetleniu fosforyzującym boczkiem.

„POŚLIZG“ INWESTYCYJNY I ZDROWIE

Plan dla komunisty rzecz święta. Co plan ustalili — to należy nie tylko wykonać, lecz również przekroczyć. Osiągnięcia ponad-planowe — to dopiero zasługa co się zowie.

Jest wszakże dziedzina, w której plan nie obowiązuje, w której za załamanie planu nikt nie ponosi odpowiedzialności. Są to inwestycje w resorcie służby zdrowia. Budowa szpitali i przychodni wlecze się latami. Plany przesuwają się z roku na rok i nikt nie ponosi odpowiedzialności za te opóźnienia. Wiadomo: zdrowie ludzkie to nie to, co stal, węgiel czy cement. Zdrowie można w PRL lekceważyć.

Wykonanie planów inwestycyjnych Ministerstwa Zdrowia ulega stałemu obniżeniu. Gdy w r. 1964 wykonano plan w 93,4% to w roku następnym, 1965, wykonanie to spadło do 89%, a roku zeszłym do 84,2%. Najgorzej wychodzą na tym szpitale, gdzie budowa opóźniona jest o wiele lat i gdzie najtrudniej doczekać się realizacji najbardziej koniecznych remontów. Komisja sejmowa, która sprawdziła w marcu br. sytuację w pięciu województwach, stwierdziła, że w roku zeszłym zamiast 13 nowych szpitali oddano do użytku tylko 7. Zamiast rozbudowy 6 innych szpitali, rozbudowano tylko 4. Z zaplanowanych 27 nowych przychodni lecznictwa otwartego oddano do użytku tylko 18. Bardzo duże opóźnienia rejestruje się również w budowie wiejskich ośrodków zdrowia, wykonano ten plan tylko w 65%.

Wynika z tego, że sytuacja jest katastrofalna. Wprawdzie w założeniach ministerstwa zdrowia leży, aby jeden lekarz przypadał na 3 do 4 tysięcy mieszkańców, ale w praktyce, nawet w takich województwach, jak katowickie, gdzie sytuacja jest stosunkowo najlepsza, zdarzają się miasta i dzielnice, gdzie jeden lekarz rejonowy ma do obsłużenia nawet do 20 tysięcy mieszkańców.

Z góry już można przewidzieć, że „pięciolatka zdrowia“ zapewne nie będzie zrealizowana, co oznacza, że wobec

wzrostu wymagań ludności na tym odcinku ulegnie dalszemu pogorszeniu.

42 WYŻSZE UCZELNIE

B.D.I.C
Stan szkół wyższych, podległych ministerstwu oświaty i szkolnictwa wyższego nie ulegnie w tym roku zmianie. Obecnie mamy w Polsce 42 wyższe uczelnie, a w tym: 7 uniwersytetów, 10 politechnik, 6 wyższych szkół inżynierskich, 1 wyższą szkołę wieczorową (w Kielcach), 7 wyższych szkół rolniczych, 6 wyższych szkół ekonomicznych i 5 wyższych szkół pedagogicznych.

URODZAJ NA DYREKTORÓW

Przegląd zatrudnienia w administracji ostatnio wykazał, że wybitnie wzrosła ilość zastępców dyrektorów, zwłaszcza w przedsiębiorstwach specjalistycznych i zjednoczeniach. Zdarza się, że zastępca dyrektora kieruje działem składającym się zaledwie z paru osób. Moda na dyrektorów powstała stąd, że ograniczenia funduszu plac uniemożliwiają przyznawanie podwyżek. Wobec tego wzięto się na sposób aby zreorganizować administrację, żeby wymagała większej ilości dyrektorów i ich zastępców. Wówczas następuje zmiana grupy zarobkowej, a tytuł — rzecz mniej ważna — jest tylko dodatkiem dekoracyjnym.

NOWY RYNEK ZNOWU STARY

Zaraz po wojnie odbudowano wielkim wysiłkiem i nakładem środków Rynek Staromiejski w Warszawie. Stolica była z tego dumna, lecz niestety minęło zaledwie 20 lat i odbudowie tego cennego zabytku grozi nowa ruina. Dachy ponad stu kamieniczek staromiejskich przeciekają jak sito, gdyż rozlaśniewała się marna dachówka jaką były pokryte. Powstały niezliczone zacieki, a w wielu domach rozpanoszył się grzyb.

Tymczasem władze miejsce nie zabezpieczyły dostawy koniecznych materiałów do naprawy uszkodzeń i nie pomyślały na czas o przygotowaniu fachowców zdolnych do przeprowadzenia napraw. „Perła architektury“ — jak ją określił reporter — niszczyje w oczach ku rozpacz bezradnych miłośników Starówki.

Wiślan

Czesław Halski: PADEREWSKI — Dzieje wielkiego Polaka i wielkiego Europejczyka. Stron 100, ilustracji 8. Cena 10/6. Wydano staraniem S.P.K. i Gryf Publications Ltd. Do nabycia w Księgarni S. P. K. (20, Queens Gate Terrace, S.W.7) i w Gryfie (171, Battersea Church Rd., S.W.11) oraz w innych polskich księgarniach.

Z ŻYCIA POLSKIEGO

W dniu 28.IV.br. przybył do Genewy ks. biskup Wł. Rubin, z pierwszą wizytą do emigracji polskiej w Szwajcarii. Na lotnisku witał dostojnego Gościa: O. prof. I.M. Bocheński — rektor Misji Katolickiej, gen. W. Scaevola-Wieczorkiewicz — prezes Koła SPK., i p. B. Piwowarczyk — prezes oddziału „Veritasu“ oraz kolonia polska w Genewie.

Następnego dnia, ks. biskup Rubin poświęcił nowowybudowany Dom Polski z kaplicą w Marly-le-Petit, przy bardzo licznym zjeździe Polaków z całej Szwajcarii. Po otwarciu i poświęceniu nowego Domu, Ksiądz Biskup odprawił Mszę św., po czym udzielił sakramentu bierzmowania. Po Mszy św. odbył się wspólny obiad, w czasie którego przemówienie wygłosił płk. St. Karolus, prezes Związku Organizacji Polskich w Szwajcarii, a następnie Ojciec I.M. Bocheński zaprosił wszystkich na posiedzenie Komitetu budowy Domu, gdzie wygłosił sprawozdanie z prac Komitetu, uwieńczonych tak poważnym rezultatem. Dr J. Rakowski złożył sprawozdanie finansowe z dokonanej zbiórki na Dom. Na zakończenie zebrania przemówił ks. biskup Rubin, dziękując Komitetowi i ofiarodawcom za pracę i duży wysiłek.

Dom Polski w Marly-le-Petit powstał ze składek Polaków oraz przy pomocy pożyczki hipotecznej, spłacalnej w długoletnich ratach. Dom, który jest w trakcie wykańczania ostatnich prac, przedstawia się okazale, zawiera artystycznie wykonaną kaplicę, 6 pokoi mieszkalnych, bibliotekę i archiwum, kuchnię, łazienki i umywalnie oraz 6 garaży do wynajęcia. Nowy dom zgrabnie dobudowano do domku mieszkalnego księdza, zbudowanego 10 lat temu, tworząc razem zgodną całość. Wśród darów wymienić należy hojny zapis testamentarny śp. Franciszki Mazik i poważną wpłatę anonimową. Projektodawcą i kierownikiem budowy był architekt Zdzisław Pręgowski.

W czasie swego pobytu w Szwajcarii, ks. biskup Rubin odwiedził ośrodki polskie w Bernie, gdzie witał Go prezes Klubu Bern, p. A. Kwapniewski i w Zürichu, witany przez p. R. Gierszewskiego, prezesa lokalnego komitetu Tysiąclecia oraz przez p. dr. A. Łuczaka. Ks. Biskup złożył również wizytę J.E. kardynałowi K. Journet we Fryburgu oraz Nuncjuszowi ks. A. Pacini w Bernie.

Wizyta ks. biskupa Rubina wywołała żywe echo w prasie szwajcarskiej, czego dowodem było ponad 20 notatek i artykułów.

W czasie uroczystości poświęcenia Domu Polskiego w Marly-le-Petit i spotkania w Zürichu odbyła się wystawa i sprzedaż Kiermaszu Książki Polskiej SPK, z których cały dochód Kierownik Instytucji K.F. Vincenz przeznaczył na Fundusz budowy Domu Polskiego w Marly-le-Petit.

Tegoroczna uroczystość obchodu rocznicy Konstytucji 3-go Maja w Zürichu, odbyła się bardzo okazale.

W dniu 6 maja, w sali hotelu „Krone“, zebrało się około 200 osób — Polaków i Szwajcarów. Przewodniczący Komitetu organizacyjnego, znany działacz społeczny dr K. Biźnia, wygłosił referat o Konstytucji 3-go Maja. W części artystycznej wzięli udział: młoda pianistka, panna M. Paszkowska odegrała utwory Chopina, oraz z prof. B. Zaczekowskim koncert fortepianowy na cztery ręce „Tańce hiszpańskie“ J. Mozzkowskiego. Wiersze K. Wierzyńskiego i M. Hemara deklamował p. Jerzy Surowiec.

Po tym wieczorze odbyła się zabawa taneczna.

Na uroczystość majową w Zürichu zjechało wielu gości, nawet z dalszych okolic. Między innymi, przyjechał z Solury przedstawiciel Towarzystwa Kościuszki, p. J.A. Wirth z córką. Pan Wirth, Szwajcar i wysoki urzędnik kantonalny, jest znanym przyjacielem Polaków, autorem licznych sztuk teatralnych, pisanych w języku szwajcarskim (Mundart-Schweizerdeutsch), a ostatnio napisał sztukę pt. „Tadeusz Kościuszko — der Naczelnik“. Sztuka ta zostanie odegrana w czasie uroczystości 150-letniej rocznicy śmierci Tadeusza Kościuszki, w dniu 15 października, w teatrze w Solurze.

W czasie uroczystości 3-go Maja funkcjonował z powodzeniem Kiermasz Książki Polskiej, dzięki ofiarnej pracy pań Halszki i Jacqueline. Zainteresowanie duże.

POLSKIE ŻYCIE KULTURALNE W SZWAJCARII

—Prasa szwajcarska zamieściła ostatnio wiele artykułów i notatek, poświęconych polskiemu życiu kulturalnemu. Między innymi, dziennik „La Tribune de Genève“ opublikował artykuł A. Bregmana o zagrożeniu Biblioteki Polskiej w Londynie wraz z fotografią jej siedziby.

—W ramach Tygodni kultury i sztuki, poświęconych Polsce, w dniach 6 do

24 maja br. odbyła się w m. Le Locle wystawa ponad 200 akwareli artysty malarza Krzysztofa Jelenkiewicza, która cieszyła się wielkim powodzeniem.

—Znakomita aktorka filmowa i dramatyczna Sonja Ziemann-Hasko, żona znanego pisarza Marka Hłaski, występuje z powodzeniem w najlepszym teatrze szwajcarskim „Schauspielhaus“ w Zürichu, zdobywając sobie bardzo pochlebne recenzje.

Sonja Ziemann-Hasko grała wraz z nieżyjącym już dzisiaj Zbigniewem Cybulskim główną rolę w filmie „Ósmy dzień tygodnia“, który to film wyświetlany był tylko za granicą, natomiast nie wszedł nigdy na ekrany w Polsce.

K. F. Vincenz

KIELICH MSZALNY DLA KARDYNAŁA KÖNIGA

W dniu 14 maja br. odbyła się w miejscowości Marizell uroczystość wręczenia kielicha mszalnego J.E. Kardynałowi dr Franz Königowi od emigracji polskiej w Austrii, jako podziękowanie za uczczenie Tysiąclecia Polski Chrześcijańskiej.

Wręczenia kielicha dokonał członek SPK, p. Karol Hojło. Basia B. wygłosiła wiersz napisany specjalnie na tę uroczystość przez ks. B. Miązka i wręczyła ks. Kardynałowi bukiet białoczerwonych kwiatów.

Na kielichu, są dwa napisy: „Sacrum Millenium Poloniae“ i „Emm, Cardinali Francisco König — Poloni in Austria“ oraz daty „1966—1966“.

Uroczystości, która była nadawana przez telewizję na Europę Zachodnią, Stany Zjednoczone i Kanadę, asystował arcybiskup Zagrzebia ks. kardynał Seper. Biskupi polscy, czechosłowaccy i węgierscy, nie uzyskali zezwolenia na przybycie do Marizell.

A. Balko

NADZWYCZAJNE WALNE ZEBRANIE POLSKIEGO ZWIĄZKU INWALIDÓW WE FRANCJI

W dniu 2.IV.br. odbyło się w Domu Kombatanta w Paryżu Nadzwyczajne Walne Zebranie Polskiego Związku Inwalidów Wojennych we Francji.

W otwarciu Zjazdu wzięło udział szereg osobistości oficjalnych, między innymi: gen. W. Piekarski, płk. M. Czarnecki — prezes oddziału SPK., płk. G. Tyrowski — członek honorowy PZIW, p. W. Gordowski — prezes Koła 2 DSP, mjr. St. Domański — prezes Koła SPK, p. Dąbrowski — prezes Sokoła, p. Ciszewski i p. Łopicki — prezes i wiceprezes Koła Rezerwistów i b. Wojsk.

Inwalidów londyńskich reprezentowali: pp. Trela, Zdźzałka i doradca prawny Zarządu Głównego.

Zjazd otrzymał szereg depesz od licznych osobistości i organizacji emigracyjnych.

Walne zebranie zagał prezes B. Jagielowicz, witając obecnych. Obradom Zebrania przewodniczył kol. Trela z Londynu.

Po złożeniu sprawozdań przez władze Związku i długiej, a rzeczowej dyskusji, nastąpiły wybory na dalsze 3 lata. Wybrany Zarząd ukonstytuował się w dniu 18.IV. następująco: prezes — kol. B. Jagielowicz, wiceprezesa — inż. J. Serafiński i R. Ciemior, sekretarz — Z. Cappilleri, z-ca sekretarza — J. Stypkowski, skarbnik — L. Dzieciuch, z-ca skarbnika — F. Rynkiewicz.

Walne Zebranie uchwaliło podziękowanie za pomoc finansową całemu szeregowi organizacji kombatanckich i społecznych oraz indywidualnym ofiarodawcom, prasie zaś polskiej we Francji — za poparcie udzielone Związkowi. Pomoc ta umożliwiła udzielenie wsparcia wielu inwalidom, zwłaszcza tym, którzy nie mają prawa do pensji i innej pomocy formalnej.

Uchwalono dalsze podtrzymanie i pogłębianie współpracy z komitetami polskimi i francuskimi oraz związkami i organizacjami pracującymi dla dobra polskich inwalidów wojennych we Francji.

UROCZYSTOŚĆ KATYŃSKA W LONDYNIE

Od lat, w okresie kiedy miała miejsce tragedia katyńska, czcimy pamięć żołnierzy polskich pomordowanych przez bolszewików w lesie katyńskim. Tego roku, w 27 rocznicę dokonanej zbrodni, żałobne uroczystości przyjęły charakter religijno-patriotycznej manifestacji.

W niedzielę, dnia 30 kwietnia br. tłum wiernych zapełnił kościół św. Andrzeja Boboli, by wziąć udział w żałobnych uroczystościach połączonych z odsłonięciem pomnika w kształcie obelisku.

Jest to pomnik poświęcony pamięci ofiar zbrodni katyńskiej i znajduje się w kaplicy Matki Boskiej Kozielskiej, wzniesiony staraniem Stowarzyszenia b. Sowieckich Więźniów Politycznych. Jest on dziełem architekta Aleksandra Kleckiego.

Udział dwóch księży: Ks. infułata Staniszewskiego i ks. prałata Sołowiewa przyczynił się do nadania uroczystości podniosłego charakteru.

Na chwilę przed rozpoczęciem nabożeństwa, spowity we fiolety pomnik, odsłonił prezes Stow. b. Sowieckich Więźniów Politycznych, dr Zdzisław Stahl, a ks. infułata Staniszewski dokonał poświęcenia. W czasie nabożeństwa

pienia religijne wykonał Chór Para-fialny.

Ks. prałat Sołowiew, wygłosił kazanie, w którym opisał tragedię polskich żołnierzy w niewoli sowieckiej i ich śmierć w lesie katyńskim od kuli rewolwerowej w tył głowy. „A światu przypominamy — wołał ksiądz z ambony — o tych tragicznych mogiłach, w których, jak mówi poeta: „W żołnierskiej szarej odzieży, We krwi skąpanej świeżej, Hufiec na hufcu leży“. W dalszym ciągu swego kazania ks. prałat nawiązał do chwili obecnej mówiąc: „Przed kilku dniami na konferencji prasowej w Nowym Yorku, córka zbrodniczego dyktatora Stalina, która wybrała wolność, nie wahała się napiętnować zbrodni zabijania ludzi i nie broniła bynajmniej swego ojca, lecz oświadczyła dosłownie: „że nie powinno się potępiać jednej osoby za zbrodnię, w których popełnieniu brało tak wielu ludzi — cała partia komunistyczna“. Wymowne to świadectwo.

Swe piękne kazanie, które do głębi wstrząsnęło zebranimi, ks. prałat Sołowiew zakończył słowami poety: „Modlimy się za tych, o których za poetą możemy powtórzyć:

„Błogosławieni, którzy w ogniu
nieszczęść,
Szukali Bożych ożywych strumieni...
Błogosławieni.

Błogosławieni, którzy cierpiąc strzegli
Orłów Ojczyzny i nawet ich cieni...
Błogosławieni.

Błogosławieni, którzy wiarą żyli
Wielką jak góry sypane z kamieni...
Błogosławieni.

Błogosławieni po tysiącokroć wierni,
Jeno bóle niosący i korony z cierni...
Błogosławieni do ostatka wierni“.

Wielu słuchaczy płakało. Nie pamiętam tak wzruszającego kazania jak to, które usłyszałem na uroczystości katyńskiej. Dobrze się stało, że cały przebieg żałobnych uroczystości radiostacja „Free Europe“ transmitowała na Kraj i rodacy, którym nie wolno tam czcić pamięci zamordowanych w Katyńiu, dowiedzieli się, z jakim pietyzmem wspomina ich i czci emigracja, która korzysta z dobrodziejstw wolności.

A. Milker

KOŁO SPK W SAO PAULO

W czasie Walnego Zebrania Koła w dniu 11.V. br. został wybrany nowy Zarząd w składzie: Kol. M.J. Wieliczka — prezes, J. Kozak i A. Strojnowski — wiceprezesa, W.Z. Sobierajski i Z. Jarczowski — sekretarze, W.J. Janin — skarbnik i F. Przytuła — zastępca skarbnika.

Nowy Zarząd zakreślił sobie obszerny program pracy koleżeńkiej i społecznej.

KOŁO SPK W RIO DE JANEIRO

W dniu 27.V. br. odbyło się Walne Zebranie Koła, w czasie którego został wybrany nowy Zarząd w składzie następującym:

Kol. J. Pawełekiewicz — prezes, K. Nowina-Szczerbiński i Wł. Dzieciolowski — wiceprezesa, H. Kozankiewicz — sekretarz, H. Syrkis — skarbnik.

Z obszernego sprawozdania z rocznej działalności Koła zanotować należy: obchody polskich uroczystości narodowych jak: Tysiąclecie Polski chrześcijańskiej, obchód 3-go Maja, Święto Żołnierza oraz własne zebrania towarzyskie, jak oplatek i jajko kombatanckie.

Ponadto brano udział w uroczystościach narodowych brazylijskich i międzykombatanckich (brazylijskich, brytyjskich, francuskich i włoskich), w których występowała delegacja Koła, często z poczem sztandarowym.

Z TEATRU

POŻEGNALNY „BIEG PRZEZ PŁOTKI“

Emigracyjnego Teatru Ref-Rena

Ledwie sztuka Mariana Hemara „Piękna Lucynda“ zesza ze sceny, jak rozpoczęły się występy Teatru Emigracyjnego Ref-Rena w programie rewiowym „Bieg przez płotki“. Zatem wygląda na to, że jak za dawnych lat — nie się nie zmieniło. Jednakże pewne zmiany są. Pierwsza to ta, że jest to już tylko gościnny występ Ref-Renów w Londynie, gdyż przenieśli się oni na stałe do Ameryki i wrócili tylko, aby zlikwidować swoje sprawy. A druga zmiana — że choć to może nie ostatni ich występ w Londynie, to jednak trudno przypuścić, żeby z tym samym zapałem robili wypad z Ameryki do Europy, jak to mieli powody czynić w przeciwnym — bardziej lukratywnym kierunku. Zatem trzeba przyjąć, że był to ich pożegnalny występ i program niewątpliwie był tak pomyślany, aby pozostawić po sobie jak najlepsze wrażenie.

Zespół był więc dobrze dobrany, numery starannie przygotowane, i oprawa dekoracyjna na wyższym niż dawniej bywało poziomie. To ostatnie zapisać należy na szczególne dobro Jana Smarskiego, wspomaganego w efektach świetlnych przez Feliksa Stawińskiego. We wcale obfitym programie wyróżniał się tradycyjny wiersz Ref-Rena, będący dobrym pastiche'm analogicznych wierszy satyrycznych Hemara. W programie znalazł się też przytyk do niedokonanego na ziemi, a spełnionego na księżycu Zjednoczenia, w wykonaniu R. Ratschki, Ref-Rena i S. Zięciakiewicza

(Dokończenie na str. 34)

Rada Jedności Narodowej uczciła pamięć Stanisława Lisa

Na posiedzeniu Rady Jedności Narodowej, przewodniczący Rady dr T. Bielecki poświęcił zmarłemu w lutym br., Stanisławowi Lisowi dłuższe wspomnienie, którego tekst zamieszczamy poniżej.

Śmierć płk. Stanisława Lisa, wiceprzewodniczącego Rady Jedności Narodowej, stanowi dużą wyrwę w kurczącej się z roku na rok polskiej emigracji. Ubył bowiem nie szarak, ale czołowy działacz społeczny o zacięciu politycznym.

Pochodził spod Lwowa, gimnazjum ukończył w Żółkwi, a studia wyższe rozpoczął na Wydziale Rolniczo-Leśnym Politechniki Lwowskiej. Po uzyskaniu absolutorium poszedł wzorem ojca na praktykę leśną. Ale niedługo w lasach pozostał. Ciągnęło go do ludzi, w szeroki świat.

Udał się przeto do Warszawy, gdzie pracował w Biurze Sejmowym i gdzie otarł się o politykę. Skorzystał też z pobytu w stolicy i ukończył, nie zaniedbując pracy zarobkowej, Wydział Prawny Uniwersytetu Warszawskiego z tytułem magistra.

Przywiązany był całe życie do Polski, a zwłaszcza do swej bliższej ojczyzny — Lwowa. Dawał temu wyraz w licznych przemówieniach, jakie wygła-

szał z okazji różnych uroczystości i rocznic. Na jednym z obchodów listopadowych, w Święto Niepodległości, stwierdzał z mocą: „W dniu dzisiejszym przypada również 40-ta rocznica obrony dumnego ze swej historii i zawsze wiernego miasta Lwowa. Naród polski nigdy nie zrezygnuje z powrotu tego ukochanego polskiego grodu, jak i całych kresów wschodnich do wolnej Rzeczypospolitej“. Wiara w odzyskanie wolności nigdy go nie opuszczała.

Również tradycje rycerskie wyniósł z hetmańskiego grodu Żółkwi. Wojować zaczął wcześnie, bo już jako 16-letni chłopiec bierze udział w obronie Lwowa jako kanonier i odznaczony zostaje Krzyżem Walecznych. W roku 1920 służy w 205 pułku artylerii lekkiej, a w czasie ostatniej wojny bierze udział w kampanii polskiej (1939) i francuskiej (1940) w Pierwszej Dywizji Grenadierów.

Po wojnie osiadł w Anglii i od razu rzucił się w wir pracy społeczno-politycznej. To był jego żywioł i nawet choroba serca, jakiej się ostatnio nabawił, nie zdołała go w tej pracy ograniczyć. Umarł właściwie na posterunku, czynny do ostatnich chwil życia.

O szerokich zainteresowaniach Zmarłego i bogactwie jego działalności świadczy samo wyliczenie funkcji, jakie pełnił. A więc był wiceprezesem Światowej Federacji S.P.K., członkiem Głównej Komisji Skarbu Narodowego, sekretarzem Kół Oddziałowych, prezesem Związku Polskich Grenadierów, członkiem Związku Dziennikarzy R.P., a nawet — założycielem Związku Polskich Filatelistów. W ciągu czterech lat (1954-59) stał na czele Zjednoczenia Polskiego i za jego to właśnie prezesu-

ry odbył się słynny „pochód milczenia“ na znak protestu przeciw okupacji sowieckiej w Polsce w czasie pobytu w Londynie Bułganina i Chruszczowa. Był to największy i najbardziej udany wysiłek organizacyjny śp. prezesa Lisa, z którego miał prawo być dumny. O udziale w pracach Jedności Narodowej, w której zasiadał z ramienia Niezależnej Grupy Społecznej, już wspominałem. Często też wyjeżdżał na kontynent, zwłaszcza do Francji.

Suche wyliczenie organizacji, w których Zmarły pracował, to tylko ramy tego ruchliwego, bogatego żywota. Obracał się w nich i wypełniał je treścią żywy, niezwykle sprawie oddany człowiek. Ale pozostaje pamięć o dobrym Polaku-patriocie, przywiązany do ojczyzny, Kościoła i wiary oraz rodziny: żony i sióstr i przyjaciół, których miał wielu. Obdarzony czułym, miłującym sercem, nie żywił do nikogo nienawiści, umiał obcować z ludźmi i wiązał ich we współpracy. Chciał jednoczyć, a nie rozbijać. Można by powiedzieć, że miał duszę bogatą, a nie rogatą. Cechował go ludzki stosunek do otoczenia. Odczuwał osobistą przykrość, ilekroć miał komuś coś niezbyt przyjemnego powiedzieć. Pamiętam, jak raz na Prezydium Rady miał wystąpić krytycznie wobec mnie w imieniu swojej grupy politycznej; jak się po prostu wiał, aby mnie nie uraził i ile go to kosztowało: jego — nie mnie. Ta subtelna natura jednała mu ludzi i ułatwiała współpracę, o co nie łatwo w naszych swarliwych, oderwanych od własnej ziemi, stosunkach emigracyjnych.

Ta pamięć o nim jako o uczynnym, dobrym człowieku, obok dorobku na polu społeczno-politycznym, pozostanie na długo po śp. Stanisławie Lisie i będzie wśród nas żywa. Łagodzi to w pewnej przynajmniej mierze żal po przedwcześnie zmarłym, tak wybitnym działaczu społecznym.

(Dokończenie ze str. 33)

występującego w efektownej postaci Pana Twardowskiego. Była także odprawą dana Zbawidowi.

Nina Oleńska miała dwa popisowe numery w „Debiutantce“ i „Powrocie“. Stanisława Horwat w efektownych strojach wykonała szereg pieśni i piosenek, nie zawsze z najszcześliwszym tekstem i wykonane przy nie najlepszym głosie. Ewa Suzin miała kilka udatnych występów w skeczach, w których wykazywała dużą swobodę, jednakże nie podołała dramatycznej solówce pod tytułem „Rozstanie“. Ref-Ren w swej konferansjerce podał cały szereg kawałów, które podnosiły ogólną atmosferę widowiska przepojonego niefrasobliwym humorem.

Bernard Czaplicki dwoił się i troił, jako pianista, akompaniator i współaktor w skeczach. Organizacja Kollera jak zwykle bez zarzutu, zapewniła widowisku powodzenie na widowni od pierwszych przedstawień. W chwili pojawienia się tej recenzji Ref-Renowie będą już „nawsiadanego“. Oby im się nadal tak szczęściło jak dotychczas...

J.O.N.

**SZYBKIE PRZEKAZY PIENIĘŻNE
PRZEDSTAWIGIELSTWO BANKU TRANSFEROWEGO**

Przesyłki Wolne od Cła

Paczki „Do Wyboru“



HASKOBA LTD.

81, Cromwell Rd., London, S.W. 7. —

Tel. FRE 7888

KŁANIAM SIĘ NISKO SZKOCKIM PIŁKARZOM

W OSTATNIM felietonie sportowym pisałem, że przez najbliższych kilka miesięcy nie będę wracał do piłki nożnej, zwłaszcza że finałem o Puchar Anglii skończył się w tym kraju sezon piłkarski. Odwołuję to twierdzenie i mam nadzieję, że kibice piłkarscy mi to wybaczą. Miałem bowiem rację tylko o tyle, że istotnie w Anglii skończył się sezon piłkarski, ale przecież nie na kontynencie europejskim, a Anglia wciąż jeszcze — jak twierdzi gen. de Gaulle — do Europy nie należy. W sensie politycznym i gospodarczym — oczywiście (choć mam wątpliwości czy autorytatywne zdanie francuskiego prezydenta jest tak absolutnie słuszne), w sensie piłkarskim natomiast — nikt chyba temu dziś nie zaprzeczy — Anglia bezapelacyjnie góruje nad europejską piłką nożną.

Dziesięć lat temu, a nawet pięć, piłka nożna w angielskim wydaniu należała do najnudniejszej w świecie. W całej Anglii obowiązywał szablon, podstawą była kondycja, ostra gra ciałem, wślizgiwanie się pod nogi przeciwnika, co zwykle kończyło się koszeniem przeciwnika i właściwie to było wszystko. Poza tym był banał, nuda, prymitywna technika, zagrania nie poparte inteligencją, błyskotliwością czy nawet improwizacją. A tymczasem piłka nożna na całym świecie, zwłaszcza w krajach południowo-amerykańskich, jak i w całej Europie, dokonała olbrzymiego kroku naprzód, Anglicy kroczyli za wszystkimi tymi krajami jak kopciuszki. Pamiętna klęska z niezapomnianą reprezentacją węgierską przed 15 laty na stadionie londyńskim, kazała chyba po raz pierwszy myśleć angielskiemu kieroownictwu, że coś się na świecie zmieniło od czasu gdy Anglicy „wynaleźli” piłkę nożną, co zresztą niech będzie dla nich tytułem do wiecznej sławy. Wiele więc wody upłynęło, zanim spostrzeżono się w Anglii, że tak dalej być nie może. Że wiecznie nie można grać tylko ze swymi własnymi zespołami na ziemi angielskiej, że nie można unikać spotkań międzynarodowych (pamiętny był zakaz brania udziału znanemu klubowi londyńskiemu, Chelsea, mistrzowi I ligi, w europejskim turnieju o Puchar Europy przed 10 laty). Dziś spotkania międzynarodowe ściągają tysiące kibiców, a kasy klubowe pęcznią od wpływów z tych meczów. Kluby angielskie biorą udział we wszystkich turniejach międzynarodowych — od Pucharu Europy począwszy, a na turniejach mniej ważnych skoń-

czywszy (np. dla zdobywców pucharu). Rok ubiegły był niewątpliwie rokiem kulminacyjnym w historii angielskiego piłkarstwa, bo zdobycie mistrzostwa świata stało się niezwykle zastrzykiem i napełniło dumą, uczuciem zadowolenia, a piłka nożna stała się ponownie najpopularniejszym sportem na tej wyspie.

Myślę, że triumf ubiegłoroczny piłkarstwa angielskiego przyczynił się także w znacznym stopniu do podniesienia poziomu w piłkarstwie szkockim. W roku bieżącym w małej Szkocji wybiły się przede wszystkim dwa kluby: protestancki Rangers i katolicki Celtic. Między tymi dwoma klubami panuje od wielu lat taka sama rywalizacja jak np. między Anglią a Szkocją. Wiemy, że finałowe spotkania Anglia-Szkocja należą do wydarzeń, o których mówi się tygodniami — przed i po meczu. Dla Szkotów zwycięstwo nad Anglią (tak było w tym roku) jest jakby wygranym wielkiej, decydującej bitwy od której zależy rzekomo cała przyszłość Szkocji, a przegrana równa się niemal katastrofie i tragedii narodowej. Nie wiem jak to się stało, lecz podobno w Rangers nie ma ani jednego katolickiego gracza (taka obowiązuje zasada), natomiast Celtic, uchodzący za klub ultra-katolicki i proirlandzki, nie ma w zasadzie protestantów, co w protestanckiej Szkocji musi być zjawiskiem niezwykle. Podobno jednak — jak pisze Hunter Davies na łamach „The Sunday Times” — w Celtic gra jednak 3 czy 4 graczy protestanckich, ale tylko dlatego, że nie ma lepszych graczy katolickich. Gdyby byli — nie byłoby na pewno ani jednego protestanta w barwach Celtic. Najkapitałniejsze jest to, że sam menażer Celticu, Jock Stein, jest protestantem. Jest to pierwszy nie-katolicki menażer klubu. Podobno Celtic założyli emigranci irlandzcy i stąd kolor zielony jak w Irlandii spotyka się w tym klubie na każdym kroku, nawet listek koniczyzny znajduje się na odznace klubowej. Ma Celtic także swojego „męczennika”, którym jest bramkarz John Thompson. Kopnięty w czasie meczu w głowę przez protestanckiego (o zgrozo!) gracza Rangers — zmarł w 1931 roku. Jak pisze Davies, jeszcze dziś kibice mówią o jego śmierci tak, jakby zmarł wczoraj.

By się przeciwstawić skutecznie katolikom z Celtic, protestanci z Rangers śpiewają — katolikom na złość — hymn angielski w rytmie szlagieru (bo lepiej się śpiewa), a ich sztandarem jest

Union Jack (Irlandczykom na złość). Lecz sztandaru tego nie wolno wywieszać w czasie meczu Rangers—Celtic, bo istnieje niebezpieczeństwo „podniecenia kibiców do gwałtów”. I jeszcze jeden niezwykle szczegół, przypominający nam naszego niezapomnianego Zygmunta Nowakowskiego, który kiedyś napisał czy powiedział, że chciałby być pochowany na polu bramkowym swojej Cracovii. Otóż kilka miesięcy temu zmarł Arthur Dixon, były gracz Ranger. Wyraził on życzenie, aby prochy jego były złożone na końcu boiska Ibrox w Glasgow. Co znaczy fanatyzm klubowy, zresztą w tym wypadku nieszkodliwy.

Toteż w końcu maja br. z olbrzymim napięciem czekaliśmy wszyscy na wynik finałowego spotkania o Puchar Europy, jaki rozegrany został w Lizbonie. W finale tym bowiem nie znalazł się londyński Tottenham, ani Manchester United (choć zasługiwali na to), a właśnie szkocki Celtic. To była sensacja! I powszechna była opinia, że Szkoci jadą do Lizbony właściwie tylko po to, by odebrać solidne lanie, skazywano ich z góry na śmierć, na przegraną. Przecież przeciwnikiem jego był nielada przeciwnik. Sławny Inter Milan, dwukrotny zdobywca pucharu, który w poprzednich 11-tu finałach znajdował się w rękach takich potęg piłkarskich jak Real Madrid, Benfica Lizbona i AC Milan. Gdzież tu jest miejsce dla szkockiego Celticu!

A przecież ktokolwiek oglądał ten mecz w telewizji (100 milionów kibiców śledziło transmisję telewizyjną) ten musi przyznać, że nie tylko iż zapisana została nowa karta w historii piłkarstwa brytyjskiego, co więcej w historii piłkarstwa szkockiego, ale że triumf Szkotów nad drużyną włoską był zupełnie wyjątkowy. Klęska stylu gry, jakim holdowała od lat ta sławna drużyna włoska, była absolutnie słuszną. To Włosi przede wszystkim wprowadzili do gry styl defensywny: szybko zdobyć bramkę, a potem murować, i nie dać przeciwnikowi podejść pod bramkę, zwalniać tempo gry, nie atakować by przypadkowo nie odsonić własnej bramki, podawać piłkę od nogi do nogi własnego gracza itp. Tym stylem obniżony został poziom gry i publiczność została zniechęcona. Ten styl próbował trener Herrera wprowadzić do finału. I tu właśnie spotkała go niespodzianka, a właściwie klęska. Szkoci byli po prostu wspaniali, nie tylko że po pierwszej bramce, zdobytej z

SPRAWĘ obszaru kilkuset hektarów w pobliżu Montrealu potrzebnego na pomieszczenie Światowej Wystawy, Expo 67, z okazji 100-lecia Kanady rozwiązano przez utworzenie dwu wysp na rzece św. Wawrzyńca. Wyczyn ten, jakkolwiek kosztowny, nie był specjalnie trudnym zadaniem; zacho-

dziła obawa, że pojawienie się dwu nowych wysp zwiększy groźbę niebezpieczeństwa powodzi, która co roku u schyłku zimy zagraża Montrealowi na skutek zatoru lodowego tworzącego się jakieś 60 mil poniżej miasta. Fala powodziowa dociera do Montrealu w ciągu 4-6 tygodni, a poziom wody w porcie montrealskim może się podnieść ponad 20 stóp. Szczegółowe obliczenia inżynierów i próby przeprowadzone na specjalnie zbudowanym modelu wykazały, że ani rozmiary zatoru lodowego ani poziom wody nie ulegną zmianie, — no i projekt wykonano.

SZTUCZNE „MORZA“

karnego przez Włochów, nie załamali się, ale tak fantastycznie nacierali, napierali, atakowali, ba, oblegali włoską bramkę, że nie ulegało żadnej wątpliwości, iż to był ich dzień i że ten dzień musiał się zakończyć zwycięstwem. Tego meczu szybko nie zapomnimy! Wprawdzie wynik brzmiał tylko 2:1 dla Celtic (oczywiście!), ale to wystarczało, by siedmio i pół kilogramowy puchar z czystego srebra zawędrował do Glasgowa. Wiemy z telewizji, co się działo po meczu. Blisko 10.000 kibiców szkockich zalało boisko, całowali ziemię, na której zwyciężyli ich rodacy, wyrwali kawałki murawy, by zabrać ją na pamiątkę do domu, tańczyli, płakali, całowali się, wpadali sobie w ramiona. Mnie samemu podchodziło serce pod gardło, bo rozumiałem ich doskonale i cieszyłem się razem z naszymi Szkotami. Ten puchar im się należał: za postawę, za to, iż się nie załamali, za to że do ostatniej chwili, do utraty tchu w piersiach biegali za piłką, grali jakby na skrzydłach, nie było siły, która mogła być ich w tym dniu złać. I choć Włosi dla komedii — byle tylko zwolnić grę i pozwolić się skonsolidować, najlepszej podobno na świecie, własnej obronie — kładli się na ziemię i jęczeli, że stała im się w walce o piłkę jakaś wielka krzywda, nic to nie pomogło. Tego wieczoru nie było przeciwnika dla glasgowskiego Celticu.

Zwycięstwo było tak wielkie, że nawet prasa angielska, że nawet konserwatywny dziennik „The Daily Telegraph“ poświęcił Szkotom artykuł wstępny, podkreślając, że sukces był potrójny, bo Celtic zdobył w jednym sezonie i Puchar Europy Rimeta, i mistrzostwo ligi szkockiej i Puchar Szkocji. Więcej nie było można. „Sukces Celticu był naprawdę wspaniały — pisze wspomniany dziennik angielski. Szkoci wykazali, iż są nadzwyczajnymi mistrzami w piłce nożnej“. Gratulujemy Szkotom! Mam nadzieję, iż z sukcesu kallekiego Celticu cieszą się także przeciwnicy klubowi protestanckiego Rangers. Te dwa glasgowskie kluby są dziś dumą miasta. Piłkarski Glasgow zbliżył się bardziej do Europy aniżeli polityczny i gospodarczy Londyn.

Paweł Hęciak

O ile na pewnych terenach zachodzi potrzeba utworzenia łąd, to na innych zalewa się wodą olbrzymie tereny i buduje się zbiorniki celem konserwacji wody. Światowy brak wody słodkiej na potrzeby zastraszająco wzrastającej ludności, bardziej wydajnego rolnictwa, a przede wszystkim przemysłu — bezpośrednio czy jako źródła energii, — staje się coraz bardziej palącym zagadnieniem. Na terenie Stanów Zjednoczonych A.P., gdzie powaga tego problemu parę lat temu znalazła nawet wyraz w wydaniu specjalnego znaczka pocztowego, istnieje obecnie około 1200 dużych sztucznych zbiorników wody o łącznej powierzchni 11 tysięcy mil kwadratowych. W Afryce natomiast, gdzie program konserwacji wody jest dopiero w fazie początkowej, istnieją zaledwie 4 zbiorniki, już napełnione względnie znajdujące się w fazie napełniania, ale w sumie obejmujące aż 7 tysięcy mil kwadratowych powierzchni; są to jeziora: Kariba 1700 mil kw., Volta 3200 (największe z istniejących), Nasser 1800 i Kaindži 500 mil kwadratowych. Największe jezioro Polski, Śniardwy, ma „zaledwie“ 37 mil kwadratowych (z zatokami około 10 ha), czyli stanowi jedną setną powierzchni Volty. Ci, którzy znają Śniardwy mogą więc mieć pojęcie o rozmiarach afrykańskich kolosów, które raczej zasługują na miano mórz, a nie jezior. Oczywiście, nagłe pojawienie się tak olbrzymiego szmatu wody powoduje poważne zmiany fizjograficzne i ekonomiczne nie tylko bezpośredniej okolicy, ale wpływa na warunki fizyczne, łącznie z klimatem — całego obszaru. Nabyte już doświadczenia wykazały, że czasami zdarzają się niespodziewane i niepożądane skutki, które ze względu na niezmiernie wysoki koszt budowy zapór wodnych w krajach tropikalnych, grożą katastrofą ekonomiczną; np. masowe pojawienie się wodorostu *Salvinia* na jeziorze Kariba, w jakiś czas po ukoń-

czeniu, spowodowało zatrucie wody siarkowodorem i w następstwie nie tylko zniweczyło plany rybactwa, ale także generatory siłowni elektrycznych uległy zniszczeniu. Amerykanie, opierając się na swych obserwacjach przygotowują program komputerowy, który, — jak się spodziewają — potrafi „przewidzieć“ wszystkie możliwe konsekwencje przyszłego jeziora, gdziekolwiek na świecie byłoby ono planowane i w ten sposób zapobiec nieoczekiwanym niespodziankom.

I ZNOWU WODA, ŚWIEŻA WODA

Wiadomo, że w wielu miejscowościach, np. nad morzem Śródziemnym, wyspach Greckich, itd. brak wody słodkiej jest obecnie nie tylko zagadnieniem utrzymania przy życiu tubylczej ludności, ale jest przeszkodą w rozwinięciu bardzo pożądanego i dochodowego przemysłu turystycznego. Mimo przyjemnego klimatu, pięknych krajobrazów, fascynujących tradycji, przeszłości i zabytków, brak dobrej wody i urządzeń higienicznych z góry wykreśliła je z listy miejscowości szlaków turystycznych. W połowie maja, na konferencji desalinacji wody w Atenach, dwu inżynierów z AEA (Atomic Energy Authority) z W. Brytanii przedstawiło plan statku-fabryki wody słodkiej, wyposażonego w odpowiednie urządzenia do desalinacji wody morskiej. Urządzenia takie na małą skalę używane są na statkach, ale są bardzo kosztowne. Według planów i obliczeń inżynierów z AEA taki statek jest praktycznie opłacalny. Będzie to jednostka o pojemności 1350 ton, przewidziany do obsługi 12 miejscowości odległych około 100 mil jedna od drugiej, liczących po 5 tysięcy mieszkańców. Do tych miejscowości statek będzie zawiązał 4 razy do roku, za każdym razem na 5 i pół dnia; w ciągu tego czasu będzie produkował 200 galonów słodkiej wody dziennie, którą wypełni nadbrzeżne zbiorniki. Zapas ten wystarczy na dzienną rację 12 i pół litra wody na głowę za cenę 0.8 pensa. Ta opłata pokryje koszt budowy, wyposażenia i dostawy statku oraz kosztu operacji, amortyzacji i jeszcze przyniesie dochód. Być może więc, że za kilka lat, widok takiego statku stanie się charakterystycznym elementem przybrzeżnego krajobrazu Morza Śródziemnego; bieda ludności tubylczej powoli zamieni się w dobrobyt, a turysta będzie się mógł rozkoszować wypożyczonym w miejscowościach dziś mu niedostępnych.

(Dokończenie na str. 37)

O niechwalebnym organizowaniu emigracji

W czasie doświadczeń nad związkami kwasu krzemowego w niemieckiej fabryce Degussa w Szwajcarii została przypadkowo wyprodukowana przez chemików woda w formie — dosłownie — białego proszku. Związki kwasu krzemowego w postaci tzw. hydrofilnej czyli wodochłonnej występują w przyrodzie jako główne składniki np. kwarcu i kamieni półszlachetnych, a syntetycznie wyprodukowane są używane przy wyrobie pasty do zębów, różnego rodzaju pastylek oraz paliwa rakietowego. W odróżnieniu od nich związki krzemu o właściwościach hydrofobijnych czyli wodowstrętnych tj. nie mieszające się z wodą, w przyrodzie nie występują, ale zostały syntetycznie otrzymane przez chemików w tej samej fabryce jakieś trzy lata temu i znalazły wielki popyt, zwłaszcza w przemyśle gumowym dla zwiększenia nieprzepuszczalności wody przez te wyroby. Pewnego dnia, więcej dla zabawy niż w oczekiwaniu poważniejszych wyników chemicy próbowali mieszać taki hydrofobijny krzemian z wodą, ale bez skutku. Przez przypadek naczynie zawierające 10% krzemianu i 90% wody uległo gwałtownemu wstrząśnięciu i nagle... w oczach chemików woda znikła, a pozostał biały proszek. Jak się okazało, na skutek gwałtownego wstrząsu woda została rozbita na drobniutkie kropelki około 0.002 milimetra średnicy, które natychmiast pokryły się cieniutką warstwą sproszkowanego krzemianu jakby skorupka na jaju. Proszek zawiera 90% wody i 10% krzemianu, jest biały jak mąka, chłodny i suchy w dotknięciu, za podmuchem unosi się w powietrzu jak dym z papierosa i może być przechowywany przez czas nieograniczony. Jak na razie znalazł zastosowanie jako dodatek do sproszkowanych środków żywnościowych, np. mleka, zup itd. (dodatek 5% proszku zapobiega tworzeniu się grudek przy gotowaniu) i wzbudził duże zainteresowanie w przemyśle farmaceutycznym i kosmetycznym.

Nie ma bliższych danych co do kosztów produkcji oraz innych właściwości, ale... czy możemy popuszczyć wodze fantazji i wyobrazić sobie budowanie nie jezior, ale gór z wody w proszku celem jej konserwacji?.

**Złóż ofiarę
na
Bibliotekę Polską
W LONDYNIE**

Polska prasa emigracyjna poświęca na ogół sporo miejsca omawianiu zagadnień krajowych, natomiast znacznie mniej dotąd interesowała się różnego rodzaju komitetami i stowarzyszeniami, które z błogosławieństwem reżymu warszawskiego od czasu do czasu powstawały wśród nas, przeważnie w tym samym, kilkuosobowym składzie i obrzucały ogół naszej społeczności buńczuczными w tonie, a niewybrednymi w treści epitetami, a potem z kolei apelowały o ofiary pieniężne na taki czy inny cel. A już szczególnie często przekraczali normy wszelkiego umiaru stachanowcy z owych komitetów w napaściach na naszych przywódców emigracyjnych, posadzając ich o spowodowanie nieszczęść, które nigdy na nas z ich ręki nie spadły, ale z czyjejs innej.

Ostatnio sytuacja zmieniła się nieco, kilka organów prasowych uznało za stosowne dać wyraz stanowisku Polaków w tym kraju w stosunku do nowej próby „zorganizowania“ nas, tym razem w tworze, który został ochrzczony mianem „Zrzeszenia Polonii Brytyjskiej“. Słowem, niedźwiedz postanowił wyjść z matecznika i to z większym niż dotąd hałasem i naturalnie, spotkał się z reakcją, która nie powinna pozostawić krzty wątpliwości, gdzie trzeba: społeczność polska w tym kraju nie da się wciągnąć w nastawione na nią sieci.

Ma ona od lat swoje własne formy organizacyjne. W ich ramach żyją i działając dorobiła się dobrego imienia i uznania ze strony gospodarzy, którzy na pewno patrzą na nią okiem życzliwym, ale krytycznym.

Gdyby w Polsce dzisiejszej powstała któregoś dnia organizacja, która byłaby nie w smak reżymowi, to z miejsca zostałaby rozpedzona, a jej przywódcy znaleźliby się za kratami. W W. Brytanii istnieje nieograniczona swoboda zrzeszania się. Stąd może tu nawet powstać organizacja, która na dobrą sprawę nikomu nie jest potrzebna. Tak właśnie ma się ze „Zrzeszeniem Polonii“. To masło, którym nas smarują, nie chce przylegać do emigracyjnego chleba. Ale reżym koniecznie chce mieć przyjaciół w raj, po tamtej stronie i w piekle, po tej stronie. Toteż widząc taką totalną niechęć zewsząd, „Naprzód“, nowy organ tego „Zrzeszenia“ piekli się sam na każdej z czterech stron swej objętości na wszystkich, którzy dali wyraz swej niechęci w sto-

sunku do świeżo lansowanej organizacji. Gromi więc T. Borowicza, za to, że w korespondencji do „Narodowca“ ośmielił się wyrazić pogląd, iż „Zrzeszenie“ ma na celu „generalne rozluźnienie Londynu“. Oczywiście, jak niemal zawsze, tak i w tym wypadku mało jest argumentów ad rem zato dużo ad personam. Klasyczny chwyt: jeśli nie masz wiele do powiedzenia na jakiś temat, obrzuć błotem przeciwnika. Oberwały także „Wiadomości“ na łamach których znalazły się uwagi Pandory, co prawda, „delikatne i pisane bez namiętności“, aliści stwierdzające, że „to robota tych bezsilnych komunistów, którzy w końcu wymyślili Polonię, by odebrać emigracji jej polityczny charakter“. Lecz najpocześniejsze wyróżnienie przypadło „Dziennikowi Polskiemu“, który bierze ciężki w kilku miejscach, to za Bregmana, to za posądzanie reżymu o niewysyłanie ambasadorowi USA zaproszenia na odsłonięcie pomnika ku czci ofiar Oświęcimia, to znowu za „obronę“ rumuńskich „kudłaczy i brodaczy“ i Bóg wie, za co. Tyle wysyp, że starczyłoby ich nawet, by święty zaczął kłąć, a cóż dopiero redakto-rzy „Naprzodu“, którzy przecież nie są świętymi.

Reszta pocisków w tymże samym organie i to najcięższych jest wystrzelona w stronę wrogów bezimiennych, określanych tylko ogólnie jako „elementy, które stale i konsekwentnie utrudniają Polonii włączanie się w nurt życia narodu i państwa“. „Elementy“ te wespół z Niemcami Zachodnimi nie uznają „obecnej państwowości polskiej“; wychowują młodzież we „wrogiej negacji do Polski... i w nienawiści do Rosji“; „narzucają Polakom rolę zaciężnego żołnierza... w celu zburzenia obecnego status quo w Europie“; „szerzą przekonanie, że zasadą polonijnego życia powinno być istnienie jednego tylko kierunku myślenia politycznego...“; „wykorzystują możliwości handlowe między Polską a krajem osiedlenia dla wzmocnienia antypolskiej działalności“.

Zrzeszenie powstało poto, by „mierzyć się z wrogą siłą mającą do dyspozycji półtoramilionowy majątek, półtoramilionowy budżet roczny, 220 płatnych pracowników, dwa dzienniki, 10 periodyków i jedną radiostację“.

Nota bene, autor używa tej statystyki jak pijany latarni: więcej dla

(Dokończenie na str. 38)

ZACZEŁO się, naturalnie, gdzieś po Bożym Narodzeniu. Byliśmy z żoną na skromnym przyjęciu u Sewilskich i rozmowa, jak to zazwyczaj o tej porze roku, zesłała na tory urlopowo-wakacyjne.

— Jasna rzecz, że jedziemy zagranicę

(Dokończenie ze str. 37)

podtrzymania siebie, niż dla oświecenia prawdziwego stanu rzeczy. Gwałtu, co się dzieje — powiedziałyby Fredro! Emigracja polska w tym kraju wespół z Niemcami i za obce pieniądze dąży do podpalenia świata, a po drodze wykorzystuje przysyłaną tu kielbasę i ogórki do „wzmacniania antypolskiej działalności“. Diogenes zgasił lampę i poszedł do domu...

Wielu z nas pamięta czas spędzony w więzieniach sowieckich, kiedy to z ust tępych śledowateli padały podobnie absurdalne zarzuty. Ponura groteska oskarżeń zastępowała wtedy brak całkowity jakichkolwiek konkretnych dowodów winy. Wierzyli się jednak nie chce, że dziś, po latach, znowu ktoś wrzyskuje nam w ucho te same brednie.

Kłamstwo wymierzone przeciw drugiemu, w końcu obraca się zawsze przeciw jego autorowi. Jeśli w którymś z krajów demokracji ludowej błędy systemu doprowadzą do powszechnego nieszczęścia np. głodu, katastrofalnego braku mieszkań lub tp., wówczas wypróbowanym sposobem, dla odwrócenia uwagi od właściwego winowajcy, puszcza się bajdę o sabotażach, o działaniu obcych agencji itd. — że przypominamy tu choćby słynne posądzenie Amerykanów o rozprzestrzenianie stonki ziemniaczanej jakiś czas temu. Zrzeszenie istnieje już dobre pół roku, ale nie zdołało przyciągnąć do siebie tłumów emigracyjnych. Nie mogą pochwalić się żadnym sukcesem poza kilkoma konferencjami z przedstawicielami ZBoWiDu i patronowaniem dwom czy trzem panom przysłanym tu z kraju, wodzowie jego korzystając z wyżej wspomnianych wzorów, tłumaczą to „przeciwdziałaniem wrogich czynników“. Pociuszają się jednak, że „przedwojenne partie polityczne z prawdziwego zdarzenia w akcji tej udziału nie wzięły i na formowanie się Zrzeszenia patrzył z zainteresowaniem i cichą przychylnością“. Nie wymieniono tylko żadnej z tych partii z imienia, wobec tego będziemy nadal błądzić po omacku domysłów. Chyba, że w następnych biuletynach redaktorzy „Naprzodu“ zlitują się nad nami i powiedzą, które to partie „z prawdziwego zdarzenia“ przeszły na ich stronę. To jednak nie jest takie pewne, nie popełnimy natomiast błędu, jeśli powiemy, że uraczą nas nową porcją „wrogów“, bo wrogowie są ich największą specjalnością.

WOJCIECH STEFAŃSKI

Podróże kształcą

cę — powiedział z przekonaniem Astra-chański. — Nie można przecież cały rok tkwić w tym deskami zabitym kącie.

— Chociażby już ze względów kulturalnych — poparł go inżynier Cyfówko. — Nic tak nie rozszerza horyzontów i nie wzbogaca zasobów kulturalnych, jak podróże.

— Weźmy chociaż taką Hiszpanię — wtrąciła szybko Szponderska. — Ileż tam zabytków! Nie to, co w takim Londynie! W dwa tygodnie człowiek więcej zobaczy, niż przez cały rok na tym swoim Actonie.

Posypały się głosy, gorąco podtrzymujące wypowiedź Szponderskiej. W powietrzu krzyżowały się pełne głębokiej treści kulturalnej nazwy: Torremolinos, Marbella, Benidorm, Estarrit, Tossa de Mar. Naturalnie, ja i żona siedzieliśmy cicho, ponieważ — wstyd się przyznać — nigdy jakoś nie mieliśmy się okazji wybrać do Hiszpanii. Za to chłoniliśmy nabożnie perły informacji, rzucane przez niezmordowanych poszukiwaczy kultury.

— Butelkę wina można dostać za półtora szylinga!

— A koniaku za siedem!

— Sandały plażowe za dwanaście!

— Buty męskie za dwa funty!

— A jaką paellę podają w Benidorm w restauracji El Brillante!

— Najlepsze gazpacho jest w Sitges w Casa Pepe!

Wszyscy mówili równocześnie, szczęśliwi i podnieceni. Spojrzałem na żonę i odczytałem w jej wzroku jakże mi dobrane znany wyrzut:

— Widzisz, to wszystko przez ciebie! Ludzie jeżdżą, podróżują, a my dobrze, jak do głupiego Bournemouth się wybieramy! A po tem aż wstyd się przyznać!

Zawstydzony, odwróciłem głowę. I nagle usłyszałem wyraźnie niski głos męski, pytający:

— No, a co państwo powiecie o katedrze w Burgos? Jeśli chodzi o importowany gotyk francusko-niemiecki, to wolę już Toledo.

Zapadła nagle, jak nożem uciął, głucha cisza. Głowy obecnych zwróciły się ku mówiącemu.

— Kto to? — przenikliwym szeptem zapytała gospodarza Piszczkowska.

— To nasz nowy znajomy, Barceloński. Nasze dzieci chodzą do tej samej szkoły — wyjaśnił Sewilski.

Doktor Dojda, który lubił uchodzić w naszym gronie za autorytet w dziedzinie sztuki, odchrząknął i powiedział:

— Burgos? Owszem, niczego. Toledo także nieźle.

— Zastanawia mnie nieraz, dlaczego wszyscy tak się zawsze pchają na południe Hiszpanii, kiedy tak dużo ciekawego historycznie i artystycznie materiału można znaleźć na północy — mówił dalej Barceloński. — Weźmy chociażby taką Avilę...

Zebrani zaczęli się otrząsać z pierwszego szoku, ale czar, najwyraźniej, przysł. Daremnie Szponderska zaczęła opowiadać z przejęciem o fenomenalnie taniej bransoletce, którą kupiła u handlarza ulicznego na Majorce; daremnie Eweryński usiłował obudzić w nas entuzjazm dla jakiejś winiarni w San Feliu, gdzie miejscowe czerwone wino sprzedawano za bezcen na kieliszki — nastrój się popsuł. Barceloński zresztą musiał to sam zauważyć, bo po kilku jeszcze uwagach na temat rzymskiego amfiteatru w Tarragonie, pozostałości architektury wizygockiej w pobliżu Palencji i wpływów mozarabskich na budownictwo w Valladolid, których zresztą nikt nie podjął, wyszedł mówiąc, że musi wracać do domu, bo żona czuje się nieświeżo. Zaledwie drzwi się za nim zamknęły, w bawialni Sewilskich zawrzało:

— No, wiecie państwo, na chwilę mnie zamurowało — strzeliła z miejsca Szponderska. — Nie miałabym też po co jeździć do Hiszpanii, jak żeby oglądać jakieś stare kościoły! Mało to tego w Anglii?

— Przyznam się, że przez chwilę myślałem, że facet żartuje — uśmiechnął się Astrański. — Ale wygląda na to, że gość mówił zupełnie poważnie.

Sewilski usiłował bronić swego gościa.

— Ostatecznie, proszę państwa, są gusta i guściki — rozłożył ręce. — Ja, szczerze mówiąc, jak już jestem na południu, to wolę siedzieć na słońcu, niż łązić po jakichś rozpadających się ruinach. Nie po to wydaje się ciężko zarobione pieniądze...

Kropkę nad i postawiła jednak żona doktora Dojdy, kobieta energiczna i nie owijająca słów w bawełnę.

— Nie znoszę snobów — powiedziała z naciskiem. — nie ma chyba gorszego rodzaju snoba, niż snob pseudointelektualny. Przeczyta taki jakąś broszurkę o architekturze, czy malarstwie, i potem popisuje się. A w gruncie rzeczy założy się, że taki Barceloński pojedzie z żoną i z dziećmi do jakiegoś głupiego Bournemouth i tylko opowiada o tej architekturze wizygockiej.

Opinia Dojdowej spotkała się z jak najżywszym uznaniem. Jedyne moja żona spozrzała na mnie złowrogo przy

nazwie „Bournemouth“, bo tam właśnie spędziliśmy dwukrotnie ostatnio mój urlop i mieliśmy pojechać w tym roku. Znaleźliśmy tam taki tani pensjonacik — ale to już inna sprawa. Obecni — jeden po drugim — wyrażali przekonanie, że tacy ludzie, jak Barcełoński, na pewno nigdy nosa za Anglię nie wytknęli i tylko snobują się opowiadaniem o tego rodzaju miejscowościach, do których szanujący się turysta, jako żywo, nigdy nie jeździ.

— Skoro mowa o wpływach architektury petagońskiej na hotel „Splendid“ w Benidormie — udawał z powodzeniem nieco profesorski sposób mówienia Barcełońskiego major Miecz-Szablinski. — To należy podkreślić fakt, że instalacja wodociągowa w pokojach często zawodzi.

Parodystyczny występ majora powitały huragany śmiechu. Epizod Barcełońskiego został pogrzebany. Znowu zaczęto dzielić się cennymi i rozwijającymi umysł informacjami o tanich sandałach w San Feliu i koniaku za bezcen w Cala Murada. Wieczór upłynął bez dalszych incydentów. Dopiero wracając do domu dostałem się pod huraganowy obstrzał ze strony żony:

— Widzisz? Widzisz? Oni wszyscy byli już na Costa Brava, Costa Blanca,

Costa del Sol, a my co? A po tym wstyd usta otworzyć, jak cię zapytają o projekty wakacyjne.

— Kochanie, to wszystko przecież kosztuje — usiłowałem się tłumaczyć.

— A oni to jeżdżą za darmo, co? Po prostu chodzi o to, że oni potrafili do czegoś tu dojść, a my w dalszym ciągu klepiemy biedę.

— Nie znowu taka bieda — mruknąłem. — Mamy dom...

— Dom ma każdy — krzyknęła żona, aż się ludzie na peronie kolejki podziemnej obejrżeli. — To nie jest życie, rozumiesz? To jest wegetacja! Użeranie się z lokatorami, liczenie się z każdym groszem, nawet do Hiszpanii człowiek się wybrać nie może. Mama miała rację, kiedy mnie ostrzegęła, że nie jesteś typem, któremu można zafac.

Wiedząc o tym, że użycie argumentu mamy oznacza, jak zwykle w wypadku broni specjalnych, ostatnią fazę bitwy, zacząłem się wycofywać na z góry upatrzone stanowiska.

— Pojedziemy jeszcze do tej twojej Hiszpanii, zobaczysz! — powiedziałem łagodnie. — Za rok, dwa, zobaczysz!

— Znam te twoje obietnice! — odpowiedziała tragicznie i ponuro.

Wszystko to przypomniało mi się teraz, bo wczoraj Sewilski w biurze podszedł do mojego biurka i powiedział:

— To prawda!

— Co takiego? — zdziwiłem się.

— On to robi na prawdę — dodał i rzucił mi na biurko widokówkę.

Widokówka przedstawiała wnętrze jakiegoś kościoła. Po drugiej stronie wypisany był adres Sewilskich i „pozdrowienia z Salamanki“. Podpisane: Barcełońscy. Stempel pocztowy stwierdzał wyraźnie: Salamanca.

— Każdy może przysłać widokówkę z kościołem, a siedzieć na plaży — zbagatelizowałem ten dowód rzeczowy.

— Człowieku, czy ty wiesz, gdzie jest Salamanka? — zirytował się Sewilski. — Od Madrytu na północny zachód. Sprawdzalem na mapie. Do morza z każdej strony przeszło dwieście kilometrów. Na plażę się tam na pewno nie jeździ.

Pokiwałem powątpiewająco głową.

— Ale, ale — przypomniał sobie Sewilski. — Za dwa tygodnie jedziemy z żoną do Torremolinos. A wy gdzie się wybieracie?

Przez sekundę zastanowiłem się. Jeżeli powiem „Bournemouth“, żona mi tego do końca życia nie wybaczy. Więc gdzie? Tak, żeby tam pod gwarancją nie spotkać nikogo ze znajomych?

— Do Salamanki — powiedziałem stanowczo.

Sewilski zemdlał.

Wojciech Stefański

KSIĄŻKI i WYDAWNICTWA NADEŚLANE

DUSZPASTERZ POLSKI ZA GRANICĄ, rok XVIII, nr 3, lipiec-wrzesień 1967, Rzym. Zawiera artykuły: Ks. Abp. B. Kominek — Znaczenie Konstytucji: „Gaudium et spes“ dla duszpasterstwa; ks. S. Kluz — Duszpasterstwo polskie na emigracji, a sprawa integracji; ks. dr J. Manthey — Polscy święci ze Śląska, oraz — Dwie święte siostry na tronie: bł. Kinga i bł. Jolanta. Dział sprawozdawczy. Różne. Dodatek — Dział kaznodziejski.

THE POLISH REVIEW, vol. XII, No 1, Winter, 1967. Kwartalnik wydawany przez Polish Institute of Arts and Sciences in America. Zeszyt zawiera: Bela K. Kiraly — Prussian diplomatic adventure with Poland and the feudal revolt in Hungary in 1790; Arthur R. Nitzburg — Polish systems of inheritance; Z. A. Grabowski — S.I. Witkiewicz: a Polish prophet of doom; L. Dudek — Poetry and nationality: A personal view; B. Taborski — Polish plays in English translations a bibliography; Jurzykowski Millennium Awards 1966. First Scholarly congress convened by Polish Institute. Book reviews. Chronicle of Events.

BRON I BARWA, No 17, Londyn, 1966. Wydawnictwo Sekcji Muzealnej P.T.H. w W. Brytanii. Treść: J.K. Domański — śp. S.K. Gepner, śp. A.B. Peszke; A. J. Dąbrowski — Chorągiewka na lancy pułku 5 ul. im. Zamoyskich 1830-31; M. Paszkiewicz — Heraldyka i bronioznawstwo; St. B. Meyer — Raper gwardii Stanisława Leszczyńskiego; C. Jarnuszkiewicz — Parę słów o projektach umundurowania dla mającego tworzyć się wojska polskiego w oparciu o Legiony walczące przeciw Rosji; J. Grobicki — Elementy polskie w odznace austriackiego pułku ułanów; J.K. Domański — Oznaki rozpoznawcze Polskich Sił Zbrojnych poza granicami kraju w Drugiej Wojnie Światowej.

POD SZTANDAREM NIEPOKALANEJ. Nakładem Zgromadzenia OO. Marianów, Stockbridge, Mass, U. S. A., 1966, str. 165, ilustr. życie O. Stanisława Papczyńskiego, założyciela Zgromadzenia OO. Marianów.

Eugeniusz Jarra, MYŚL SPOŁECZNA Ojca STANISŁAWA PAPCZYŃSKIEGO, ZAŁOŻYCIELA MARIANÓW. Zgrom. OO. Marianów, Stockbridge, Mass, U.S.A., 1962, str. 104. Charakterystyka Osoby i analiza zasad O. St. Papczyńskiego.

N O W O Ś C I !

Tom 141

BIBLIOTEKI KULTURY

OLGA SCHERER

W CZAS MOROWY

Cena: £1.0.0, \$3.00

Tom 142

BIBLIOTEKI KULTURY

ALICJA

ZAWADZKA-WETZ

REFLEKSJE
PEWNEGO ŻYCIA

Cena: £1.4.6., \$3.50



Świat się śmieje

Najlepszy okres.

Klient do urzędnika w agencji podróży:

— Kiedy byliby najlepiej pojechać na Tahiti?

— Według mnie, za jakieś 20-30 lat.

Kiedy dialog jest monologiem.

Przyjaciel zwierza się przyjacielowi:

— Moja żona mówi do siebie.

— Moja to samo — odpowiada drugi

— ale ona nie wie o tym, myśli że ja słucham.

Gdy dwoje mówi to samo.

Lekarz wychodząc z sypialni, w której badał męża, do oczekującej w sąsiednim pokoju żony chorego:

— Mąż pani nie podoba mi się...

Żona: Mnie także się nie podoba, panie doktorze, ale on taki dobry dla dzieci...

Trudny temat.

W klasie ośmiolatków nauczyciel poleca dzieciom, by przedstawiły za pomocą rysunku — jak sobie wyobrażają swój zawód gdy dorosną.

Kiedy nadeszła chwila oddawania rysunków, jedna z dziewczynek oddała białą kartkę. Zapytana przez nauczyciela o przyczynę, powiedziała:

— Ja chcę wyjść za mąż, ale nie wiem jak to narysować.

Kołyśnianka.

Matka do swej malutkiej pociechy, kładąc ją do łóżka:

— A teraz zamknij oczęta, mój skarbie, i śpij. A gdybyś w nocy potrzebowała czego, to zawołaj mamusię... i tatuś przyjdzie do ciebie.

Szlachetne zdrowie.

Wczesnym rankiem prowadzą na egzekucję skazanego na śmierć przestępcę. Dyrektor więzienia pyta go:

— Czy ma pan jakieś ostatnie życzenie?

— Tak — odpowiada skazany — chciałbym napić się kawy.

— Doskonale, ile dać cukru?

— Cukru? — krzyczy skazaniec — czy pan zwariował? z moją cukrzycą? Chce mnie pan zabić?

Znak rozpoznawczy.

W wielkim domu towarowym, pełnym kupujących, mała dziewczynka zgubiona w tłumie, woła rozpaczliwie: Marysiu! Marysiu!

Nadbiega jej matka i mówi surowo: Dlaczego jesteś niegrzeczna i wołasz mnie po imieniu? Powinnaś wołać „mamo“, jak cię uczyłam i jak zawsze to robisz.

— Ja wiem, mamo — odpowiada mała — ale sklep jest pełen różnych mamusi i myślałam, że mniej jest tutaj Marysi.

Sprawca znany.

Pędzący samochód przewrócił złodzieja kieszonkowego, ale kierowca nie zatrzymał się i zwiął. Wokół pokiereszowanego, leżącego na trotuarze, zebrał się tłumek ludzi komentujących wypadek. Jakaś starsza dama woła w podnieceniu: — Tak szybko uciekł, że nie mogłam zauważyć jego numeru. — To nie — mówi słabym głosem złodziejczek — w prawej kieszeni mojej marynarki jest jego portfel.

Definicje i refleksje.

Kiedy kobieta cierpi w milczeniu — mówi Dean Martin — to znaczy, że prawdopodobnie telefon jej nie funkcjonuje.

Aby żyć szczęśliwie na prowincji, trzeba mieć duszę poety, umysł filozofa, smak pustelnika i dobry samochód.

Optymista — to szef biura, który żeni się ze swoją sekretarką i myśli, że w przyszłości również będzie mógł jej dyktować.

Chaos: trzy kobiety dyskutujące dwie strony jakiegoś zagadnienia.

Według pewnego eksperta ekonomicznego, tajemnica powodzenia finansowego polega na wydawaniu tego co pozostało po zaoszczędzeniu zamiast oszczędzania tego co pozostało po wydaniu.

Gdybyśmy nawet myśleli o sobie tak, jak myślą o nas inni, to na pewno nie stalibyśmy się przez to lepszymi. Po prostu, nie uwierzylibyśmy w to.

Grunt to zasady.

Mały Jaś wraca z płacem ze szkoły, ponieważ w klasie ukradziono mu ołówek. Ojciec daje mu nowy ołówek, ale następnego dnia historia się powtarza. Zirykowany rodzic udaje się z zażaleniem do nauczyciela.

— Wstyd i hańba!! Złodzieje są w pana klasie. Nie idzie mi już o ołówek, ale o zasadę. Ołówek mogę zawsze przynieść dziecku z biura!

W autobusie.

Pasażer ustępuje miejsca starszawej i nieco otyłej damie. Dama ujęta tym dowodem uprzejmości dziękuje: — Jak to miło, że jest pan inny od wielu!

Młodzieniec, rumieniąc się z zakłopotania: — Dziękuję, nie cierpię tych, którzy ustępują miejsca młodym i ładnym.

Szybka reakcja.

Dwaj robotnicy zajęci są naprawą linii, na przydrożnym słupie telegraficznym. W pewnej chwili, właśnie gdy ku nim zbliża się samochód prowadzony przez kobietę, robotnicy zaczynają wspinać się w górę.

Zgorszona i obrażona dama:

— Bezczelne typy, zachowują się jak gdybym pierwszy raz była za kierownicą.

Adres WYDAWNICTWA: PCA Publications Ltd., 20, Queens Gate Terrace, London, S.W.7, gdzie mieści się także adres redakcji. Korespondencję z Redaktorem Naczelnym kierować można na: 171, Battersea Church Road, London, S.W.11 (telefon: BAT 0879 lub BAT 1445). Adres ADMINISTRACJI: „Gryf“ — 171, Battersea Church Road, London, S.W.11. Tel. BAT 1445. Oddział Redakcji we FRANCJI: „Syrena“ — 20, rue Legendre, Paris, 17-e. Tel. WAG 0045, Editions ELKA S.A.R.L. c/c p. No. 5507-30 Centre Paris, oraz na pld. Francję — S. Horodyski, Ecole des Filles, La Penne s/Huveaune (B. du Rh.);

W BELGII: J. Korab Bzozowska-Csáky, 19, Rue Amédée Lynen, apt. 67, Bruxelles 3, konto poczt. 7315.20.; w NIEMCZECH: S. Mikiciuk, Muenchen, 45, Gablonzerstr. 7/I; w NORWEGII: Narvesens Kiosk Komp. POBox 115, Oslo; w SZWAJCARII: Association des Combattants Polonais en Suisse, Biel-Bienne 4, Gurzelen. Case postale 2; w SZWECJI: Polski Kom. Pomocy, Jungfrugatan 30/II, Stockholm; w WŁOSZECH: W. Zahorski, Ass. Comb. Polacchi, Via Liccia 19, Roma; w ARGENTynie: „Libreria Polaca“, Serrano 2076, Buenos Aires; w AUSTRALII: „Vistula (Australia) Pty Ltd.“, Daking House, Rawson Place, Sydney; w KANADZIE: T. Krychowski, 101, Islington Ave South, Toronto 18, Ont. lub „Gryf“, Londyn; w STANACH ZJEDN.: J. Bieńkowski, 627, Tracy St., Utica, N.Y.; Polish-American Book Co., 1136 Milwaukee Ave, Chicago 22, Ill.; „Księgarnia Ludowa“, L. Zukowski, 5347 Chene St., Detroit 11, Mich. ORAZ OGNIWA S.P.K. W POSZCZEGÓLNYCH KRAJACH. Egzemplarz pojedynczy: 3/6, \$ 0.50, Fr 2.50. PRENUMERATA — kwartalnie: £ 0.10.6, \$ 2.00, Fr 7.00; półrocznie: £ 1.1.0, \$ 4.00, Fr 14.00; rocznie: £ 2.2.0, \$ 8.00, Fr 26.00 — względnie według przeliczenia waluty miejscowej. Dopłata za przesyłkę lotniczą według taryfy.

Przedstawicielstwo w Wiedniu: Stowarzyszenie Polskiej Kultury, Fr. Schmidplatz 4, Wien VIII.

Listy do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze,

Pragnę poruszyć jedną sprawę, już niejednokrotnie przeze mnie wszczynaną w polskiej prasie uchodźczej, ale, niestety stale dotąd dalej nie podejmowanej. Sprawa ta, moim zdaniem, powinna być, szczególnie przez byłych kombatantów, stale ponawiana bez względu na brak, w obecnych warunkach, widoków na pomyślne rozwiązanie.

Chodzi tu o uznanie obowiązku władz sowieckich wypłaty odszkodowań żyjącym wojskowym i cywilnym obywatelom polskim lub rodzinom po zmarłych takich obywatelach.

Notorycznie jest wiadomo, że od dnia 17 września 1939 r. — daty wtargnięcia wojsk sowieckich do Polski — zaczęło się masowe pozbawianie przez władze sowieckie wolności wojskowych i cywilnych obywateli polskich, deportowanie ich w głąb Związku Sowieckiego. Traktowanie pozbawionych wolności kończyło się bestialską masakrą niektórych — kilkanaście tysięcy oficerów polskich, trzymanych w charakterze jeńców wojennych w obozach w Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkowie, uśmierconych w Katyniu — jeńcy z Kozielska, i w innych dotąd nie ujawnionych miejscowościach — jeńcy ze Starobielska i Ostaszki. Masakra ta miała wszystkie cechy ludobójstwa. Skazywano innych deportowanych, bez sądowego postępowania, administracyjnie i zaocznie, na pobyt przez kilka lub kilkanaście lat w tak zwanych poprawczych obozach pracy („łagrach“). Było to krzyżącym bezprawiem, bo nie udawano winy, określając ją w taki sposób, jak uznanie za społecznie niebezpieczny element (dlaczego i dla kogo niebezpieczny?) lub podejrzenie o szpiegostwo (gdzie, kiedy i w jaki sposób?). Albo bez jakiegokolwiek określenia winy.

Prawo do odszkodowania dla tych osób, jeżeli żyją, lub dla rodzin po nich jest bezsporne, obowiązującym zaś do wypłaty odszkodowań jest rząd Związku Sowieckiego.

Dotychczasowy brak akcji w tej sprawie nie powinien zwalniać od jej wszczynania i prowadzenia. Szczególnie teraz, gdy agenci Zbowidu rozszerzają swą penetrację wśród kombatantów. Zbowid początkowo nęcił sloganem, że krew wszystkich byłych kombatantów ma jedną barwę. Ale gdy ten slogan ośmieszono przez powiedzenie, że jednakową barwę ma krew orla i świni, ale nigdy świni nie zostanie orlem, to Zbowid teraz głosi, że krew przelana pod Monte Cassino i Lenino ma jedną wartość.

A krew tych kilkunastu tysięcy polskich oficerów zamordowanych w Katyniu i w innych na terenie Związku Sowieckiego nie ujawnionych dotąd miejscowościach jest bez wartości? Czy wolno o tej krwi zapominać? Może by pan Demkow Moczar w swych usiłowaniach zlania w jeden zespół i tych, co walczyli o wolność Polski i tych, co grasowali jako ubeci i męczyli niepodległościowców, zechciał nie za-

Fraszki

B.D.I.C

Kwestia kierunku

*Świat idzie naprzód — to jest przesądzone —
Ale w którą stronę?*

Dożywotnie zobowiązanie

*Raz zaprosił na kolację
I już zawsze chce mieć rację.*

W dobie wysokich cen alkoholu

*To dobry gość:
Prędko ma dość!*

Przeostrożność przed doborem zbyt zamożnych przyjaciół

*Kto z kim przestaje,
Ten tyle, co i tamten, wydaje.*

RAWICZ

KRZYŻÓWKA Nr 595/67

ZNACZENIE WYRAZÓW

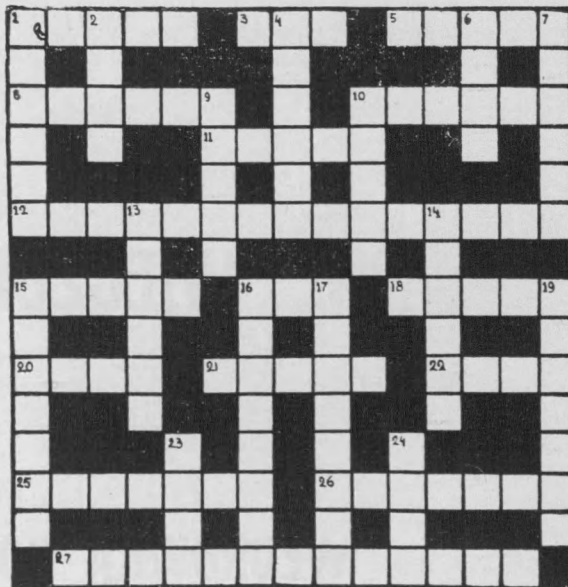
Poziome: 1) i 5) w balcecie, u Mickiewicza wieiórka; 3) i 16) bąk, duszek; 8) rejon ostatniej ofensywy niemieckiej na Zachodzie w drugiej wojnie światowej, 10) nie może istnieć bez zapasów alkoholu; 11) zjawisko nowoczesnego miasta; 12) ze słabymi siłami na potęgę (1, 6, 2, 6); 15) i 18) urzędniczy dworscy; 20) i 22) ozdoby haremów; 21) smuga z włosów?; 25) z orkiestry wojskowej, l.m.; 26) przychodzi za zasługi; 21) kompromis, gdy obie strony tyle samo ustąpią (9, 4).

Pionowe: 1) figura geometryczna; 2) i 6) optymistyczna ocena przyszłości. 4) nie może go mieć lisy, ale może nim być; 7) czerwonoskóry z Paryża, l.m.; 9) wady, usterki (wspak); 10) uroda; 13) zgłębienie; 14) zasłanianie widoków, lub uniemożliwienie obiektywnej oceny (wspak); 15) przywileje; 16) pracuje w kopalnictwie (wspak); 17) ziolo; 19) znak imienny; 23) nie zwalczy kamienia? (wspak); 24) kamień pólslachetny.

pominać o zamęczonych także w bolszewickich obozach, więzieniach i łagrach!

Były jeńiec pierwszego Kozielska, a potem trzymany w więzieniach i łagrach

(Nazwisko i adres znane redakcji)



ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Nr 594/67

Poziome: 1) pasja, 3) i 16) kraksa, 5) Fedra (wspak), 8) rokoko, 10) Macieja, 11) braki, 12) służba nie drużba, 15) gunia, 18) słota, 20) i 22) obludnik, 21) myszy, 25) troczek (wspak), 26) Izabela, 27) u schyłku życia.

Pionowe: 1) Parnas, 2) i 6) szkodnik, 4) rumaki, 7) fujara, 9) objaw, 10) miedź, 13) lupież (wspak), 14) układy, 15) groszki, 16) kryształ, 17) ucieczka (wspak), 19) Alkazar, 23) i 24) pochwały.

Generalne Przedstawicielstwo Instytutu Literackiego w Paryżu
na Wielką Brytanię
GRYF — KSIĘGARNIA S. P. K.
20, Queens Gate Terrace, London, S.W. 7.

ZESZYTY HISTORYCZNE

DOKUMENTY
PAMIĘTNIKI
WSPOMNIENIA

RECENZJE
POLEMIKI
NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Ukazują się dwa razy do roku. Dotąd ukazało się 11 Zeszytów.
Cena pojedynczego zeszytu — 22 sh., 3 dol., 15 Fr.

KSIĄŻKI DLA MŁODZIEŻY!

GRYF — KSIĘGARNIA S. P. K.
20, Queens Gate Terrace, London, S.W. 7. Tel. KNI 3500

poleca dla córki
dla syna dwie znakomite książki:

Zygmunta Nowakowskiego

WIECZORY POD DĘBEM

Opowieść o naszej tysiącletniej przeszłości w formie błyskotliwej,
potocznej, pełnej humoru gawędy.

Cena: £ 2.2.0; \$ 3.00; Fr. 30.00

Józefy Mękarskiej

WĘDRÓWKA PO ZIEMIACH WSCHODNICH RZECZYPOSPOLITEJ

Przewodnik serdeczny po Wileńszczyźnie, Polesiu, Wołyniu, Podolu, Podkarpaciu.

„Przeczytałem ją ze wzruszeniem podziwiając też
pieczołowite, artystyczne wydanie“ — O. Halecki

Cena: 16/6; \$ 2.50; Fr. 15.00.

OBIE KSIĄŻKI MOGĄ SŁUŻYĆ STARSZEJ MŁODZIEŻY JAKO POMOC W NAUCE
HISTORII I GEOGRAFII POLSKI.